



Chciałem tylko wyjąć portfel - wyjął Arno.
Bosse pomacał kieszeń i rozluźnił uścisk.
Nigdy nie można mieć pewności - powiedział.
Pytałem, czy rzeczywiście wydawało ci się,
że możesz mnie oszukać.

Wcale nie próbowałem cię oszukać.

Owszem, Ing-Marie, o ile się nie mylę, żyła

jeszcze wczoraj,

a tyś mówił, że nie żyje
od kilku dni.

Olle
Högstrand

**zamaskowana
zbrodnia** CZYTELNIK

Olle

Högstrand

zamaskowana zbrodnia

przetłoczyła Maria Olszańska

Czytelnik

Warszawa

1978

Tytuł oryginału szwedzkiego Maskerat brott

© Olle Hogstrand 1971

wyd. oryg. AB PA Norstedt and Söners Förlag, Stockholm

Okładkę projektował

ZBIGNIEW CZARNECKI

© Copyright for the Polish edition by

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”,

Warszawa 1978

„Czytelnik”,

Warszawa 1978.

Wydanie I.

Nakład 120320 egz. Ark, wyd. 10,6, ark, druk. 15 ,

Papier offsetowy, ki. VII, 60 g, 93 cm

Oddano do składania 4 II 1978

Podpisano do druku 25 IX 1978

Druk ukończono w listopadzie 1978

Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego” w Warszawie.

Zam, wyd. 422; druk. 1979/78; S-100

Cena zł 33-

Printed in Poland

Dziewczynka

- Kiedy tatuś przyjedzie? - spytała.

Wychowawczyni spojrzała znad gazety z odrobiną irytacji.

- Wiesz przecież, że wyjechał i wróci dopiero jutro.

- Dlaczego on wciąż wyjeżdża - zastanawiała się dziewczynka. - A tatuś Petera i Johana to co wieczór przychodzi do domu.

- Twój tatuś ma taką pracę, że dużo podróżuje. Wiesz przecież, że jest teraz w Ameryce.

Dziewczynka wzięła kolorowy ołówek i grubą niebieską kreską przekreśliła świnkę w książce z wzorami do rysowania. Potem przekreśliła ją jeszcze raz żółtą kreską.

- Co ty robisz? - zgorszyła się wychowawczyni. - Świnki nie bywają ani niebieskie, ani żółte.

- Robię, co chcę - powiedziała dziewczynka wydymając usta.

- Jak zwykle - westchnęła wychowawczyni. - Pora już na kolację. Będziesz jeść kwaśne mleko z płatkami?

- Tak, ale żeby to były płatki śniegu.

Wychowawczyni wstała i podeszła do szafki wiszącej nad kuchenką w standartowej willi. Wyjęła paczkę corn-flakesów i postawiła na stole.

- A czy w paczce jest piesek?

- Nie, przecież niedawno coś znalazłaś, zresztą to głupota wkładać zabawki do paczki z płatkami. Dziecko może połknąć i zadławić się.

- A czy od tego się umiera?

- Można umrzeć, jeżeli się nie wydostanie zabawki.

- Zupełnie jak mama - powiedziała dziewczynka z bardzo zadowoloną miną.

- Tak, mama umarła, ale nie dlatego, że się udławiła.

Dziewczynka nic nie mówiąc wsadziła palec do buzi.

Wychowawczynie postawiła przed nią talerz, naląła kwaśnego mleka, potem wsunęła rękę do paczki z płatkami i posypała nimi mleko.

- Dlaczego tak robisz, Anniko?
- Jak?
- Wsadzasz rękę. Tatuś nasypuje zawsze prosto z paczki.

Annika nie odpowiedziała. Przysunęła natomiast do stołu wysoki taboret z poręczą.

- Nie chcę śliniaka - powiedziała dziewczynka.
- Dobrze, nie włożę ci, za to ty zjesz całą porcję.
- Co to takiego porcja?
- To znaczy, że wszystko zjesz.

Dziewczynka posłusznie zabrała się do pałaszowania.

Jadła z wielkim zapałem. Czasem tylko przerywała na chwilę, żeby wgnieść tyżką płatki w mleko.

- Po co tak robisz? Nie należy bawić się jedzeniem.
- Ja się wcale nie bawię.
- Więc co robisz?
- Nie wiem.

Dobrze wiedziała, dlaczego tak robi. Zapamiętała, co Annika mówiła o zabawkach, które mogą utkwąć w gardle. Może płatki też są niebezpieczne, też mogą utkwąć. A jak je w mleku rozmoczyć, łatwiej się prześlizną.

- Myślisz, że tatuś przywiezie mi coś z Ameryki?
- Na pewno. Zawsze coś ci kupuje.
- Tego niedźwiadka z Islandii nie lubię, ma głupią mi-nę.
- Może ci kupi lalkę, Indianina.
- A Indianie są źli?
- Nie. Skądże znowu.
- A Peter i Johan mówią, że Indianie każdego zabijają.
- To tylko w zabawie. Zjedz, pójdziemy się kąpać.
- A poczytasz mi, jak będę leżeć w łóżku?
- Poczytam, ale tylko jedną krótką bajkę.

- Chcę, żebyś mi przeczytała, jak Mathias piekł ciastka. Przed chwilą było siedem, a teraz tylko sześć, mówi Mathias. Pewnie pies zjadł jedno.

- Umiesz tę bajkę na pamięć.
- Chcę, żebyś mi przeczytała o Mathiasie.
- Dobrze, dobrze, jedz.

Wreszcie Annika przeczytała bajkę, otuliła dziewczynkę i dała jej miękki gałganek. Mała ściskając gałganek ssała wielki palec.

- Drzwi zostaw otwarte i w hallu niech się świeci - powiedziała.

- Oczywiście. Pozmywam i sprzątnę w kuchni. Dobranoc.

- A nie możesz mnie uściskać od tatusia?
- Pewnie że mogę.

Otrzymawszy uścisk mała położyła się na brzuchu i po paru minutach już spała.

Właściwie niczym osobliwym nie odznaczała się mała Krystyna Sundelin. Jeżeli, to chyba tym, że jej ojciec, wdowiec w średnim wieku, był prezesem rady ministrów królestwa Szwecji.

Ojciec

Bengt Sundelin siedział w pokoju hotelowym w Chicago razem ze swym sekretarzem od spraw prasowych i jednym z dziennikarzy.

- Jak poszło waszym zdaniem? - spytał premier.
- Uważam, że udało się ponad wszelkie spodziewanie - odpowiedział sekretarz, którego Sundelin wynalazł w jakiejś dogorywającej gazecie prowincjonalnej.

- A ty co sądzisz, Per? - zwrócił się Sundelin do dziennikarza.

Dziennikarz - wysoki szatyn w jasnobrązowym welwetowym ubraniu i okularach, których oprawa była pęknięta i sklejana taśmą - wyjął z kieszeni tabakierkę i wsunął pod górną wargę spory kawałek prymki.

- Masz jeszcze trochę whisky? - spytał.

Sekretarz skwapliwie nalał mu pół szklaneczki.

Per Lund od razu wypił wszystko z wyraźnym zadowoleniem.

- Dobrze - powiedział.

- Pytałem, jak poszło, twoim zdaniem - powtórzył premier.

Lund spojrzął na Sundelina piwnymi, powiększonymi przez soczewki okularów oczyma. Wyglądał niemal na nierozgarniętego. Naiwność, stanowiąca nieoszacowaną pomoc w jego pracy dziennikarskiej, była w części prawdziwa, ale tylko w części.

- Czy ich minister spraw zagranicznych był wściekły? - spytał.

Sundelin się roześmiał, a sekretarz uśmiechnął.

- Ministrowie spraw zagranicznych nie bywają wściekli, mój drogi. Na tym stanowisku wyraża się tylko głębokie zaniepokojenie.

- A czy mówił coś o wysłaniu nowego ambasadora do Sztokholmu?

- Nie wprost, ale napomknął.

- Mogę o tym napisać? - pośpiesznie spytał Lund.

- Tak, tylko bez cytowania czyjejkolwiek wypowiedzi.

Lund wstał natychmiast i bez słowa opuścił pokój. To należało do jego obyczajów, przerywać czasem w pół zdania i gdzieś biec. Sundelin dawniej już bywał świadkiem takiego zachowania i wcale nie zareagował. Sekretarz natomiast wyglądał na nieco oszołomionego.

- On taki jest - powiedział Sundelin - nie przejmuj się

tym. Jest niewątpliwie najlepiej poinformowanym dziennikarzem szwedzkim od spraw politycznych. Bądź z nim w dobrej komitywie.

Sundelin miał około pięćdziesiątki. Dość korpulentny, ruszał się z podziwu godną żywością. We włosach, niegdyś kruczoczarnych, zaczynały pojawiać się siwe pasma. Nie kierował się intuicją, tylko jak nikt inny umiał dosłyszeć, co w trawie piszczy. Chciwie chłonał wszelkie umiejętności.

- Powiniennem się podciągnąć w angielskim - powiedział. - Potrafię oczywiście wypowiedzieć się i wydobyć niuanse, ale za wolno.

- Z tym nie mogę się zgodzić - zaproponował sekretarz.

- Wydaje mi się czasem, że z ciebie hipokryta - sarknął Sundelin. - Dobrze wiesz, że języki nie są moją mocną stroną.

Sekretarz nie odpowiedział, wyglądał jednak na głęboko urażonego. Skulił wąskie ramiona, zmałał o dobry centymetr.

- Tak okropnie się nie przejmuj. Jako nowy, nie wiesz jeszcze, że jestem szczerzy i żądam szczerości.

Przez chwilę panowała cisza. Sundelin nalał sobie trochę whisky i parę razy umoczył usta.

- Jaki też może być człowiek, który wrzuca granat ręczny do samochodu amerykańskiego ambasadora?

- Wariat chyba.

- Cóż, tak powiadają. Policja badała jego przeszłość wszechstronnie. Zawsze był nieco ekscentryczny. Aktywny uczestnik wszelkich ruchów protestacyjnych. Nigdy jednak przedtem nie przejawiał skłonności do gwałtu. Lekarze nie mogą zrozumieć, co go popchnęło do tej zbrodni.

- Łyknął sobie po prostu.

- Być może, ale nie tylko.

- Zaczął coś zażywać. Heroina na przykład.

- Policja rozważała i tę możliwość. Nic nie wskazuje na to, że jest narkomanem.

- Czy rzeczywiście, jak powiedziałeś Lundowi, minister spraw zagranicznych napomknął, że wkrótce zostanie mianowany nowy ambasador?

- Nie. Bluffowałem. Jestem ciekaw, jaka będzie reakcja strony amerykańskiej. Przyjemnie będzie wrócić do domu i znowu poczuć się jak inni ludzie.

Sekretarz zdobył się na odwagę.

- A ty sam jak oceniasz podróż?

- Uważam, że wypadła dość dobrze. Żadnych wartych wspomnienia demonstracji i jestem pewien, że minister spraw zagranicznych rozumie, iż zamordowanie ambasadora było przypadkiem zupełnie wyizolowanym. Czy pertraktacje handlowe się udały, zupełnie mnie nie obchodzi. Wielkie przedsiębiorstwa mają tak obrotnych przedstawicieli, że sprzedają i bez mojej pomocy. Świetnie jednak, że udało się załatwić spotkanie z ministrem spraw zagranicznych. Bo uraza tkwiła głęboko.

- A teraz czekają nas wybory - rzekł sekretarz.

- Tak, mamy wybory. Mogą marnie wypaść. Chłopcy skarżą się na małe zainteresowanie.

Sundelinowi coś przyszło na myśl. Powinien nakłonić Annikę, żeby została przynajmniej na okres wyborów. Drogą asocjacji zaczął myśleć o córce.

- Do licha - powiedział - zapomniałem.

- O czym?

- Muszę przecież kupić jakiś prezent dla Krystyny. Inaczej nie miałbym odwagi w domu się pokazać.

- Czy mam iść i kupić?

- Nie, wolę to sam załatwić.

Wstał, włożył marynarkę i wyszedł na korytarz. Dwaj ludzie z przydzielonej mu obstawy dźwignęli się z krzeseł.

- Nie trzeba - powiedział Sundelin. - Schodzę tylko do westybulu, żeby kupić pamiątki.

Tamci popatrzeli na siebie.

- Musimy - powiedział jeden. - Takie instrukcje. Popętnilibyśmy wykroczenie. - Zapiął marynarkę. Na chwilę ukażał się pas od rewolweru.

We trzech weszli do windy i zjechali z dwudziestego trzeciego piętra na parter.

W westybulu było tłoczno. Na Sundelina nikt nie zwrócił uwagi prócz paru szwedzkich dziennikarzy załatwiających rachunki przy kasie. Sundelin pomachał im na pożegnanie w nadziei, że go zostawią w spokoju. W dodatku jednego z nich bardzo nie lubił. Nowojorskiego korespondenta wielkiej gazety wieczornej. Uważał go za człowieka nie budzącego zaufania, a przede wszystkim za głupca. Głupota to najstraszliwsza z ludzkich właściwości, oczywiście jeżeli nie liczyć przynależności do partii ludowej.

Sundelin podszedł do jednego z licznych kiosków, z pewnym roztargnieniem przyglądał się drobiazgom, wreszcie znalazł półkę z lalkami. Kupił lalkę ubraną w strój indiańskiego chłopca. Kosztowała osiem dolarów.

Korespondent gazety wieczornej pojawił się obok niego.

- Cóż to, kupujesz prezent dla córeczki?

- Tak - uprzejmie odpowiedział Sundelin.

Nigdy jeszcze nie dał tamtemu do poznania, że go nie znosi. Zresztą dziennikarz był zawsze tak bez reszty zajęty sobą samym, że wcale by tego nie zauważył.

- Ile ona ma teraz lat?

- Cztery. W listopadzie skończy pięć.

Sundelin widział już jutrzejszy artykuł na pierwszej stronie. Od roku, od śmierci żony, jego pozycja osamotnionego ojca w najwyższym stopniu interesowała gazety wieczorne i tygodniki dla pań.

- Lubi bawić się lalkami? - spytał dziennikarz.

- To lubią chyba wszystkie dziewczynki.

Dziennikarz wiedział przede wszystkim, czego chcą czytelnicy i kierownictwo redakcji.

- Może wkrótce będzie mieć nową mamę - podsunął.

Sundelin zapłacił za lalkę.

- Nie sądzę - powiedział. - Jestem za stary, żeby się ponownie ożenić. Czy jedziesz dziś z nami do Sztokholmu?

- Nie, wracam do Nowego Jorku. - Dzięki Bogu, pomyślał Sundelin. - Jaka szkoda - powiedział. - Muszę jechać na górę i dokończyć pakowania. Jeżeli już się nie zobaczymy, zegniam do następnego miłego spotkania.

Wziął pudełko pod pachę i pojechał do swego apartamentu razem z dwoma strażnikami z obstawy.

Znalazłszy się w pokoju pożałował, że nie kupił mniejszej lalki. Wiedział oczywiście, że mógłby komuś ze „święty” polecić zajęcie się paczką, gardził jednak takim wykorzystaniem swego stanowiska. Spojrzał na zegarek. Dochodziła szósta. A więc w domu, w Stureby, jest teraz północ. Na myśl o córce usta ułożyły mu się w miękki, czuły wyraz.

Przyjemnie jest wracać do domu, pomyślał i zadzwonił na jednego z „chłopców”. Oddał mu paczkę.

- Coś przecież musisz robić za swoją wysoką pensję - powiedział do młodego radcy ministerialnego wręczając mu pudełko. - Nie zapomnij oddać mi na Arlandzie.

Radca ministerialny Sven B. Eng (skrupulatnie przestrzegając, by nie opuszczano B.), wysoki blondyn, którym partia zajęła się, gdy tylko ukończył studia na wydziale politycznym, był człowiekiem zdolnym, dobrze wychowanym i wielce dbałym o swą karierę.

- Czy jeszcze w czymś mógłbym pomóc? - spytał swego pracodawcę.

- Nie, nie wydaje mi się. Przypilnuj oczywiście, żebyśmy wszystko zabrali. Konsul generalny obiecał odwiedzić nas

na lotnisko. Wpisz go na listę osób, które mają po zakończeniu podróży otrzymać podziękowanie.

Eng kiwnął głową. Trochę jednak urażony. O takich rzeczach sam wiedział, bez przypominania. Sundelin był chyba wyposażony w jakiś niezawodny detektor do wykrywania zmian nastroju. Uniósł krzaczaste brwi.

- Uważasz pewnie, że niepotrzebnie wtrącam się w takie drobiazgi. Ale taki już jestem. Chcę mieć pewność, że wszystko gra. Przedtem mogłem w stu procentach polegać na własnej pamięci, teraz już nie.

Zadzwoił jeden z białych aparatów telefonicznych. Eng podszedł, odebrał, krótka wymiana zdań.

- Konsul generalny - powiedział - będzie tu za pół godziny.

Po paru minutach znowu zadzwonił telefon. Eng przyjął i natychmiast podał słuchawkę Sundelinowi zakrywając mikrofon.

- Minister spraw zagranicznych.

- Jaki znowu minister?

- Eriksson.

Sundelin uśmiechnął się.

- Cześć, Gote - powiedział.

Suchy trzeszczący głos Erikssona, siedzącego w swym gabinecie w Sztokholmie przy placu Gustawa Adolfa, w pałacu następcy tronu, słychać było wyraźnie poprzez Atlantyk i kontynent amerykański.

- Właśnie przed chwilą w ostatnich wiadomościach podano, że Stany Zjednoczone, cytat: „w najbliższej przyszłości”, koniec cytatu, mianują nowego ambasadora.

- Nic o tym nie wiem. To Lund musiał zasłyszeć jakąś plotkę.

- Co mam powiedzieć dziennikarzom? - zapytał minister.

- Powiedz, jak jest. Że nic w tej sprawie nie wiesz.

Dwaj dostojnicy chwilę jeszcze rozmawiali. Sundelin wyglądał na znudzonego.

- Muszę już kończyć. Za chwilę jadę na lotnisko. Trwaj na posterunku, póki nie wrócę.

Koniec rozmowy. Premier, śmiejąc się ukradkiem, podniósł słuchawkę i zażądał połączenia z pokojem Lunda. Poinformowano go, że wężący dziennikarz już pojechał na lotnisko.

Radca wciąż jeszcze był w pokoju. Ogromnie zaintrygowała go zadowolona mina premiera. Co się też stało? Wkrótce się dowiedział.

- Dwie godziny temu powiedziałem Lundowi, że amerykański minister spraw zagranicznych napomknął o mianowaniu wkrótce nowego ambasadora. Teraz Gote już o tym wie i nie posiada się z zadowolenia.

- Czy rzeczywiście nowy ambasador przyjedzie do Sztokholmu?

- Nie, wypuściłem tę wiadomość, żeby sprawdzić reakcję Amerykanów. Osobiście przypuszczam, że minie ze trzy miesiące, nim się sprawa mianowania kogoś nowego wyklaruje.

Gdy cała grupa przybyła na lotnisko, Sundelin dostrzegł Lunda. Popijał whisky w barze sali odlotów.

- Szybki jesteś - skostatował premier. - Twoją wiadomość o mianowaniu ambasadora już podano przez radio.

Lund wyszczerzył poźółtkie zęby. Miał uzębienie, które go upodabniało do śmiejącego się konia.

- Zawsze jestem szybki. Dostałem z ojczyzny polecenie, by cię poprosić o komentarz.

- No comments.

- Tak właśnie przypuszczałem.

Ogłoszono odlot do Sztokholmu. Sundelin zajął miejsce w przedziale pierwszej klasy. W dwie minuty później spał głęboko. Obudził się dopiero, gdy steward podszedł pytając, jaki napój podać przed jedzeniem.

Sundelin zjadł szybko, wypił kilka kieliszków wina, a potem ułożył się na dobre.

- Proszę mnie nie budzić, sam się obudzę.

I tak gdy w Sztokholmie dniało, wielki samolot śmieszył na spotkanie porannemu słońcu, a premier Szwecji spał spokojnie i nic mu się nie śniło.

Trio

W centrum Sztokholmu w zmodernizowanym mieszkaniu przy Döbelnsgatan znajdowały się trzy osoby: dwaj mężczyźni i kobieta. Jeden z mężczyzn, lat około trzydziestu kilku, ubrany był z fircykowaną elegancją. Ciemne, gęste włosy gładko zaczesane, na palcu masywny złoty sygnet.

Drugi mężczyzna był starszy, w brązowych welwetowych spodniach i w brudnej wiatrówce. Silnie zbudowany, włosy ostrzyżone na jeża, trochę szpakowate. Bawił się pękiem kluczy.

Kobieta - młoda, najwyżej dwudziestoletnia, o zgrabnej figurze i włosach zrobionych na platynowo, w białych spodniach i białym pulowerku - wyglądała na niezupełnie trzeźwą. Nerwowo paliła papierosa.

- Mogłabyś chyba choć dzisiaj nie wstawić się - burknął elegant.

- Wczoraj pracowałam do jedenastej, jeden z ostatnich klientów przyniósł butelkę wódki, parę kolejek musiałam wypić.

- A cóż to za usprawiedliwienie. Po pijanemu możesz wszystko zepsuć. Nie rozumiesz, ty dziwko!

- Spokojnie, Arne - powiedział starszy. - Nic ci z tego nie przyjdzie, że jej nawymyślasz.

- To prawda, ale nie mogę pozwolić, żeby wszystko popsuła.

Przez chwilę było cicho. Cała trójka milczała. Dziewczyna patrzyła na podłogę.

- Idź do ubikacji i umyj się zimną wodą - powiedział ten, którego nazywano Arne.

Dziewczyna wstała z wysuniętego na środek pokoju tapczanu i zniknęła.

- Baby! - parsknął młodszy.

- Przecież to ty chciałeś ją wciągnąć - powiedział starszy.

- Chciałem i strasznie żałuję, chociaż na trzeźwo jest sprytna.

- Szkoda tylko, że to się jej rzadko zdarza.

Ing-Marie wróciła do pokoju. Można było poznać, że płakała. Nieśmiało spojrzała na starszego z mężczyzn.

- Masz papierosa, Bosse?

Zapalił i dał jej papierosa. Zaciągnęła się parę razy głęboko.

- Rozumiesz chyba, że jestem zdenierwowana - powiedziała. - Ale możesz na mnie polegać. Przyrzekam.

- Złożyłaś moje kupony? - spytał Arne.

Mina dziewczyny stała się jeszcze nieszczęśliwsza.

- No więc, jak na tobie można polegać. A jeżeli padnie wygrana!

- Może zdążymy jutro rano - spróbowała dziewczyna ostrożnie.

- Nie udawaj głupszej niż jesteś. A skąd czas na to weźmiemy?

Zmieszanie Ing-Marie zaczęło zmieniać się w gniew. Dwie czerwone plamy wystąpiły jej na policzki.

- A kto finansuje twoje kupony, twoje samochody i twoje przesiadywanie w, knajpie? No, czy nie twoja dziwka?

Arne wstał. Wyglądał, jakby zamierzał jej dobrze przy-

łóżyć. Drugi z mężczyzn go przytrzymał. Arne uwolnił się, ale opuścił podniesioną rękę.

- Uspokój się.

Arne coś warknął. Najwyraźniej jednak usiłował posłuchać rady towarzysza. Wyciągnął grzebień z tylnej kieszeni i pedantycznie przyczesał włosy, cały czas przeglądając się w wielkim lustrze umieszczonym na wprost tapczanu.

Wciąż był wściekły na Ing-Marie. Najgorsze, że miała rację. Od wielu miesięcy żył przeważnie z jej pozowania. Wprawdzie od czasu do czasu udawał mu się jakiś samochodowy interes, ale rynek już nie był taki jak dawniej. No, za parę dni nie będzie się musiał z nikim liczyć. A już najmniej z Ing-Marie.

- Może za bardzo się tym przejąłem - powiedział z uśmiechem, który zdawał się szczery, otwarty, trochę żartobliwy.

Z dużym zadowoleniem stwierdził, że Ing-Marie topnieje. Twarz Bossego natomiast dalej nic nie wyrażała. Nigdy nie wiadomo, co ten głąz myśli, Arne bardzo by pragnął znać myśli tamtego. W obecności Bossego zawsze czuł się trochę niepewnie.

- Zarobiłam dziś więcej niż patola - powiedziała Ing-Marie. - Jakiś stary przyk dał trzy stowy, żeby obejrzeć mnie i jeszcze jedną dziewczynę jednocześnie. Czy to ma jakiś sens?

- Nie ma - przyznał Bosse, raz jeszcze owijając wokół małego palca łańcuszek od pęku kluczy.

Bosse niewiele się spodziewał tak po Arnem, jak po jego dziewczynie. Z zasady nie polegał na frajerach, a Arne to przecież lichi amator. Potrzebował ich jednak, żeby przeprowadzić swój plan. Wszystko można było Arnemu zarzucić, tylko nie to, że nie umie prowadzić samochodu. A Ing-Marie potrzebna była do innego celu.

- Pierwsza niedługo - powiedział Bosse - trzeba się

położyć. Pamiętajcie, że jutro musimy wstać bardzo wcześnie.

Podniósł się na całą swą wysokość. Utykając trochę zniknął w jednym z przyległych pokoi nie powiedziawszy dobranoc.

Arne i Ing-Marie siedzieli na tapczanie. Dziewczyna ziewała, że aż ciemne plomby łyskały w ustach.

- Chodź się położyć. Tu przecież nie możemy zostać.

Przeszli z salonu do pozowania do prywatnego pokoju Ing-Marie, zatłoczonego mnóstwem przedmiotów, świadczących zarówno o złym smaku posiadaczki, jak o dużych możliwościach ekonomicznych. Na gustawiańskiej komódce, która z pewnością kosztowała masę pieniędzy, wśród wielu innych drobiazgów stała fotografia dwuletniego chłopczyka.

Arne szybko się rozebrał i ułożył w szerokim podwójnym łóżku. Ing-Marie jak zwykle urządziła strip-tease, zwierzył się jej raz, że to go podnieca. Teraz jednak nie mogła zauważyć żadnej reakcji. Położyła się zachmurzona. Arne patrzył w sufit.

- O czym myślisz? - zapytała przysuwając się do niego.

- O niczym - odpowiedział. I znowu ten przelotny uśmiech.

Dotknęła gęstych włosów na jego piersi. Przesunęła rękę niżej. Zrobił ruch, jak gdyby chciał się odsunąć, zaraz jednak odwrócił się do Ing-Marie.

Ugryził ją w pierś. Zdziwiłby się, gdyby zobaczył uśmiech na jej ustach. Nieładny uśmiech, pogardliwy i złośliwy. Triumfujący zresztą także.

W chwilę później Arne zasnął. Ing-Marie leżała z otwartymi oczami. Wstała ostrożnie i podeszła do okna. Ulica była pusta; słyszała jednak szum pojazdów z Odengatan.

Niech nie będzie taki mnie pewny, pomyślała wracając do łóżka.

Najpóźniej z całej trójki zasnął Bosse. Miał ból głowy, dopiero parę tabletek kodeiny pomogło. Przed zaśnięciem sprawdził budzik.

Morderca

I jeszcze jeden człowiek leżał nie śpiąc. W więzieniu na Långholmen w celi oddziału psychiatrycznego. Wysoki, chudy, z zaczesanymi do tyłu włosami. Ze szpecącą go rudą brodą.

Człowiek ten nazywał się Jens Fors, miał dwadzieścia dwa lata, był studentem filozofii. W całej historii szwedzkiej kryminalistyki o nikim nie napisano tyle, co o nim. Cztery tygodnie temu wrzucił granat ręczny na tylne siedzenie samochodu ambasadora Stanów Zjednoczonych. Ambasador zmarł w kilka minut później, wnętrzności z niego wypłynęły.

Z rozkazu najwyższych władz Fors miał pozostawać pod nieustannym nadzorem. Dlatego drzwi jego celi były otwarte. A pod drzwiami siedział młody pielęgniarz. Czytał powieść jednego z awangardowych pisarzy szwedzkich. Pielęgniarz też był właściwie studentem, dorabiał sobie tylko w Långholmen. Od czasu do czasu podnosił, głowę znad książki.

- Nie możesz zasnąć? - zapytał wreszcie.
- Nie.
- Ale dostałeś tabletkę nasenną?
- Tak.
- A jednak nie możesz zasnąć?
- Nie.

Pielęgniarz już w czasie swych poprzednich nocnych dyżurów usiłował nawiązać rozmowę z Forsem, zawsze jednak otrzymywał takie jednosylabowe odpowiedzi. Właściwie pielęgniarz, który nazywał się Sven Johansson i głosował na Komunistyczną Frakcję Marksistowsko-Leninowską, miał ogromną ochotę wypytać Forsa o jego zamach, jednak instrukcje zarządu więzienia surowo zakazywały podejmowania tego tematu. Gdyby natomiast Fors sam zaczął o tym mówić, co samo przez się zrozumiałe, odpowiadać możliwie najobjętniej.

Ani Johansson, ani Fors nie wiedzieli, że nad łóżkiem więźnia umieszczono mikrofon. Przewód mikrofonu prowadził do innego pokoju, gdzie szumiał włączony magnetofon. W tamtym pokoju zawsze był ktoś z personelu służby bezpieczeństwa.

Teraz właśnie siedział tam młody blondyn w niebieskich dżinsach i w zamszowej kurtce. Od dwóch prawie lat pracował w Sapo*. I on też studiował, pracując jednak na pełnym etacie jako zwykły policjant. Jego kierownictwo zauważyło wkrótce, że młody aspirant mimo miernych świadectw ma pewne uzdolnienia wywiadowcze. Po czterech latach służby w policji pracował teraz w Sapo jako asystent. Płaca była w dalszym ciągu marna, ale dużo jeździł i nieźle mu się żyło z diet.

Sapo - skrót nazwy: służba bezpieczeństwa (*przyp. tłum.*).

Ta strasznie nudna praca w Långholmen zupełnie się nie opłacała. Polegała na tym, że dzień po dniu trzeba było pilnować magnetofonu, który co najwyżej od czasu do czasu ujawniał, że zabójca ambasadora onanizuje się w samotności.

Młody agent Sapo nie zastanawiał się nad swym zadaniem. Gdy go po raz pierwszy wysłano do Långholmen, żeby pilnował podsłuchu w celi Forsa, zapytał swego przełożonego, czy takie zabiegi są właściwie dozwolone.

- Ależ oczywiście - odpowiedział szef. - Robimy to na podstawie rozporządzenia dającego nam między innymi prawo podsłuchiwania podejrzanych o narkomanię.

- Tu przecież nie mamy do czynienia z narkomanią.

- Nie, ale to rozporządzenie można zastosować i w podobnym wypadku.

- Na pewno?

- Otrzymaliśmy wyraźną wskazówkę od najwyższych czynników.

Jan Olsson nie pytał więcej. Znał swego szefa, wiedział, że jest to człowiek uczciwy. Najwyższe czynniki to nikt inny, tylko naczelny szef policji, może nawet minister spraw wewnętrznych.

Przypuszczenia Olssona były słuszne. Rozkaz założenia podsłuchu pochodził od naczelnego, który ze swej strony porozumiał się przedtem z ministerstwem. Natomiast minister spraw wewnętrznych, który - łagodnie określając - miał mocne stanowisko w rządzie, ani myślał zwracać się z zapytaniem do swego szefa. Nie dlatego, żeby to mogło mieć większe znaczenie, premier z pewnością by się zgodził. Zawsze doskonale mu się współpracowało z ministrem spraw wewnętrznych.

Jakiś trzask w mikrofonie. Cenny magnetofon wirował dalej. Olsson słyszał rozmowę pielęgniarki z Forsem. Nie zdziwił się, już wiele razy przysłuchiwał się tym próbom nawiązania kontaktu.

Słyszał pytanie pielęgniarki: „a jednak nie możesz zasnąć” i zwięzłą przeczącą odpowiedź.

Potem chwila ciszy. Johansson wrócił do czytania powieści. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że dochodzi druga.

- Dziś akurat pięć tygodni - zupełnie niespodziewanie powiedział Fors. - Pięć tygodni temu kupiłem granat.

- Co mówisz?

- Przecież słyszysz. Akurat pięć tygodni temu kupiłem granat.

W pokoju o piętro wyżej agent Olsson nadstawił uszu. Nareszcie, pomyślał i spojrział na magnetofon. Funkcjonował i na szpuli było jeszcze sporo taśmy. Zmieniając taśmę, włączył dodatkowy mały magnetofon.

- Gdzie? - spytał pielęgniarz.
- Tu w mieście - odpowiedział Fors trochę niewyraźnie.
- Zamierzałeś już wtedy - pielęgniarz przeciągał słowa - zrobić to, co zrobiłeś?
- Tak mi się wydaje.
- Wydaje ci się?

Przez chwilę nic nie było słychać. Fors leżał wpatrując się w sufit wielkimi jasnoniebieskimi oczami. Bluza jego piżamy była przybrudzona.

- Mogę dostać papierosa? - spytał.

Ze względu na surowe przepisy bezpieczeństwa Fors nie miał własnych papierosów, zapalek oczywiście także. Pielęgniarz wyciągnął paczkę i podał Forsowi, który dźwignął się na łokciu. Zapalwszy papierosa ułożył się z powrotem i wydmuchiwiał dym w sufit.

- Zastanawiałem się nad tym trochę - powiedział mordca. - Coś trzeba było zrobić.

- Chyba nic się nie zyskuje przez takie akty gwałtu - powiedział pielęgniarz, zadając sobie jednocześnie pytanie, czy nie popada w konflikt z własnymi rewolucyjnymi ideałami.

- Rzucić granatem w ambasadora to drobiazg w porównaniu z tym, co Amerykanie robią w południowo-wschodniej Azji.

- Być może. Ale ja pytałem, coś ty zamierzał przez to zyskać.

Właściwie ta rozmowa była odbiciem dyskusji, jakie miały miejsce, gdy Johansson próbował zgłębiać podobne problemy ze swymi partyjnymi towarzyszami. Byli wśród nich tacy, którzy otwarcie i z całym przekonaniem

opowiadali się za przemocą. Sam Johansson nie podzielał ich poglądów.

Parę razy jeszcze próbował podjąć rozmowę, ale nic więcej z Forsa nie wydobył. Rudobrody posiadacz najbardziej obecnie znanej w Szwecji twarzy leżał milcząc. Parę razy poruszył powiekami i zasnął.

Pielęgniarsz wstał, podszedł do jego łóżka. Popatrzył badawczo i stwierdziwszy, że tamten naprawdę śpi, wrócił na swoje miejsce.

Przez chwilę rozważał, czy powinien zadzwonić do kogoś z przełożonych. Doszedł do wniosku, że nie jest to konieczne. O szóstej, kiedy go zmienia, zdąży powiedzieć, co się zdarzyło. Jeszcze cztery godziny, pomyślał i wrócił do książki.

Olsson w swej ciupce przez chwilę jeszcze trwał w napięciu, potem wyciągnął z panującej ciszy słuszny wniosek, że Fors zasnął. Wyjął więc z teczki paczkę gotowych kanapek w plastikowej torebce i średnioprocentowe piwo. Jedna z kanapek obłożona była serem z ćwiartką zielonej oliwki pośrodku. Pod oliwką ser był obrzydliwie biały i wilgotny.

- Cholera - powiedział Olsson - i za coś takiego biorą 2,75.

Z przyjemnością pomyślał, że ma przed sobą dwa dni wolne. Postanowił sobie jutro dobrze podjeść w knajpie.

Fors odwrócił się we śnie i cicho jęknął. Johansson przełotnie spojrzał na niego. Ciekawe, co też mu się śni.

Fors słyszał we śnie dobrze znany głos: „Wpadniesz z całą pewnością, ale obiecuję, że tysiącrotnie zostanie ci, to oddane. Polegaj na mnie. Ufaj mi”.

- Tak, tak, - wymruczał Fors przez sen i zapanowała cisza.

Powrót

W czasie wieloletniej działalności politycznej Sundelin odbywał częste loty. Uważał, że nie ma nic nudniejszego niż lecieć godzinami. Denerwujące były zwłaszcza nocne loty, kiedy nic się w kabinach nie działo. Toteż odczuł wielką ulgę, gdy około siódmej samolot wylądował na Kastrup. Godzinne oczekiwanie i znowu lot do Sztokholmu.

Ponieważ Sundelin był osobistością oficjalną, został wprowadzony do salonu na półpiętrze, nad wielką halą tranzytową. Kilku dziennikarzy go nie odstępowało, między innymi niez mordowany Lund, który wyglądał na wypoczętego i zupełnie trzeźwego, choć dzielnie popijał całą noc. Właściwie miał bilet do klasy turystycznej, lecz Sundelin zaprosił go do kabiny pierwszej klasy. Lund pozostał tam do końca lotu.

Do salonu wniesiono kawę, piwo, kanapki. Lund rozejrzał się wkoło krótkowzrocznym spojrzeniem.

- Czyżby tu nie było whisky? - wyraził zdziwienie głośno i wyraźnie.

- Ależ, oczywiście - powiedział kelner i po chwili wrócił z butelką Johny Walkera.

Lund wypłuł do kosza grudkę prymki i pozwolił sobie na lać solidną porcję. Ze szklanką w ręce podszedł do premiera, który razem ze swymi „chłopcami” siedział przy niskim stoliku.

- Tu się oczywiście robi politykę, to rozumiałe - zauważył.

Nikt nie odpowiedział. W oczach Sundelina zamigotał błysk zniecierpliwienia, ale znikł równie szybko, jak się ukazał.

- Nie, mówiliśmy właśnie o tym, jak przyjemnie jest wracać do domu.

- Przecież wybory się zbliżają.
- Nie ma nic bardziej podniecającego niż prawdziwie ostra walka wyborcza - rzekł Sundelin. - Oby była gorąca.
- Słyszałem jednak, że wasi leaderzy mają trudności z podwyższeniem temperatury.
- Tak słyszałeś? A jak ci się zdaje, z czego to wynika?
- Z braku istotnych różnic światopoglądowych między partiami.
- Trzeba więc będzie jakąś różnicę wynaleźć - powiedział Sundelin uśmiechając się szeroko.

Samolot do Sztokholmu był jak zwykle opóźniony. Młody dyrektor SAS-u wyglądał niemal na obrażonego, gdy Sundelin niecierpliwie sarknął na opóźnienie.

- Zdaje się, że będę musiał postąpić jak inni, zafundować sobie samolot. W ten sposób uniknę czekania godzinami na każdy samolot SAS-u.

Nikt się nie odezwał. Zapanowała nieco kłopotliwa cisza. Przerwał ją premier.

- Może mi ktoś załatwić połączenie telefoniczne?
- Kilka osób zerwało się zapewniając, że natychmiast.
- Zresztą nie - rozmyślił się Sundelin. - Chciałem zadzwonić do domu, ale to zbędne. Przecież wkrótce tam będę.

Dopiero około dziewiątej ogłoszono odlot do Sztokholmu. Całe towarzystwo ruszyło. Sundelin ze stoicyzmem stwierdził, że samolot podstawiono na samym końcu linii B, możliwie najdalej. Przez chwilę bawił się myślą pożyczania sobie służbowej hulajnogi, odrzucił ją jednak, rozumiejąc, że premierowi nie wypada.

W poczekalni przed krytym przejściem do samolotu siedziało i stało mnóstwo osób. Ukazanie się szwedzkiego premiera wywołało małe zamieszanie. Szybko odprowadzono go do samolotu.

- To na tego ważniaka czekaliśmy - usłyszał Sundelin w gromadzie pasażerów.

- Dlaczego na litość boską nie pozwolono tym ludziom zająć miejsc!
- Sądziliśmy, że...
- Nie chcę, żeby ludzie tkwili pod ścianami jak trofea myśliwskie po to tylko, żebym ja mógł wejść pierwszy do samolotu.

Młody dyrektor SAS-u miał minę coraz bardziej urażoną. Ten Szwed zupełnie nie dbał o swoją godność.

- Następnym razem weźmiemy to pod uwagę - powiedział, jak przystało na człowieka dobrze wychowanego.

Sundelin przez parę sekund patrzył gniewnie na dyrektora. Potem nagle odtajał i klepnął go po ramieniu dobrze skrojonej marynarki.

- Rozumiesz, to nie wytwarza korzystnego obrazu - powiedział z przelotnym uśmiechem.

Wreszcie wszystko było gotowe do odlotu. W niespełną godzinę samolot wylądował na Arlandzie. Sundelina znowu przeprowadzono do salonu na krótki wywiad dla środków masowego przekazu w związku z powrotem do Szwecji.

Wśród środków masowego przekazu dominowało Radio Szwedzkie. Byli przedstawiciele pierwszego i drugiego programu, programu specjalnego, ostatnich wiadomości, kilku reporterów z wiadomości politycznych i paru innych.

- Zastanawiam się czasami, czy nie byłoby dobrze zreformować obsługę ostatnich wiadomości w Szwedzkim Radio - szepną Sundelin do swego sekretarza prasowego.

Wywiad przebiegał starym, dobrze znanym Sundelinowi trybem. Z góry wiedział, jakie pytania mu postawią, toteż i wszystkie odpowiedzi miał gotowe. Dzięki świadomości, że dobrze się prezentuje w telewizji, był w swych wystąpieniach zupełnie swobodny.

- Rozeszła się wieść, że Waszyngton zamierza mianować

nowego ambasadora w Sztokholmie - powiedział reporter wyglądający jak przedsiębiorca pogrzebowy.

- Słyszałem - odpowiedział premier - ale chwilowo nie mogę służyć komentarzem.

- Chwilowo - powtórzył niewłaściwie zatrudniony przedsiębiorca pogrzebowy. - To znaczy, że wiadomość jest bliska spełnienia.

Sundelinowi udało się zrobić filuterną minę.

- Tego nie powiedziałem.

- A jak się przedstawia sprawa procesu przeciw zabójcy ambasadora? - spytał inny.

- Wiadomo przecież, że na to pytanie nie mogę odpowiedzieć - zareplikował premier. - Nie mieszam się do wymiaru sprawiedliwości. Sądownictwo samo daje sobie radę.

- Jednak oskarżyciel nie wniósł jeszcze oskarżenia?

- Nie. Doskonale to rozumiem. Wobec tak wielu aspektów, jak w tym wypadku.

Premier spojrzął na zegarek. Większość zrozumiała ten znak i zaczęto zbierać notatki. Tylko młoda dziewczyna ze źle widzianego tygodnika nie poddała się.

- Czy kupił pan jakiś prezent dla swojej córki? - spytała.

- Zawsze to robię - padła krótka odpowiedź.

Po wywiadzie Sundelin szybko przeszedł do oczekującego samochodu. Szofer otworzył tylne drzwiczki, Sundelin przywołał sekretarza.

- Jadę na parę godzin do domu. Po południu będę w prezydium. Gdyby wypadło coś ważnego, wystarczy zadzwonić. Partia miała przeprowadzić analizę przedwyborczą, chciałbym przeczytać te materiały.

Zająwszy miejsce Sundelin zamknął oczy. Samochód szybko jechał w kierunku standartowego domku jednorodzinnego w Stureby, jednym z południowych przedmieść Sztokholmu.

- Co się tu działo podczas mojej nieobecności? - spytał kierowcę, który zrozumiał, że Sundelin ma na myśli sytuację na froncie futbolowym.

- Nic specjalnego poza tym, że w rozgrywkach Djurgården jak zwykle grał poniżej wszelkiej krytyki.

- To nie ma znaczenia, byle się trzymali na ogólnokrajowych.

Dom Sundelina stał przy małej uliczce w pobliżu szkoły. Kupił ten dom, gdy się ożenił. To znaczy osiem lat temu. Krystyna wkrótce skończy pięć. Żona umarła przed rokiem na raka. Wciąż jeszcze na myśl o tym czuł klucie w sercu.

Gdy samochód wyjechał z Huddingevägen, zaczął padać deszcz. Zagrzmiało. Premierowi znów przyszła na myśl zmarła żona. Straszliwie bała się burzy. W przeciwieństwie do Krystyny, która na ogół robiła wrażenie spokojnego i harmonijnego dziecka. Było to wielką pociechą dla Sundelina, gdyż zawsze miał wyrzuty sumienia, że nie dość czasu pozostawiało mu dla córki.

Samochód stanął przed domem. Mieszkańcy przywykli już, że mają premiera za sąsiada, i rzadko ktoś mu się przyglądał. To było przyjemne. Reprezentację wolał ograniczać do gmachów państwowych.

- Mam zaczekać? - spytał szofer.

- Zamierzam wprawdzie ostro popracować po południu, ale pojedę metrem. Dziękuję.

Samochód odjechał. Sundelin spodziewał się ujrzeć córkę w którymś z okien, ale jakoś nie było jej widać. Otworzył drzwi. Żaden dźwięk nie dochodził z wnętrza domu.

- Krystyno! - zawołał.

Żadnej odpowiedzi. Wszedł do kuchni. Może Annika wyszła po zakupy.

Na stole kuchennym leżała brązowa koperta. Jeszcze nim ją otworzył, zrozumiał, co zawiera. Rozdarł, przeczytał.

Wyciągnął z kieszeni notes. Podniósł słuchawkę i nakręcił numer.

- Komenda Główna, gabinet szefa policji - powiedział kobiecie głos.

- Tu premier. Muszę natychmiast pomówić z szefem.

- Ma pan szczęście, panie premierze. Właśnie wrócił z posiedzenia. Chwileczkę.

Trzask w telefonie i usłyszał suchy głos komendanta.

- Cześć, Richard - powiedział Sundelin. - Potrzebna mi pomoc. Moja córka została porwana. - Usłyszał głośny oddech. - Żądają zwolnienia chłopaka, który zabił ambasadora. - I premier wybuchnął głośnym płaczem.

Przestępstwo

- Chwilowo nic nie rób. Zadzwoń do ciebie za pięć minut - wykrztusił Sundelin między atakami szlochu.

- Rozumiem - odpowiedział komendant i odłożył słuchawkę. - Wiedziałem, że się coś takiego zdarzy i u nas w Szwecji - mruknął potem sam do siebie.

Wyszedł, by wyjaśnić sekretarce, jak niezmiernie ważne jest, by połączyła go natychmiast, gdy premier zadzwoni. Sekretarka była ogromnie ciekawa, dostatecznie jednak wzmusztrowana, by powstrzymać się od pytania, co się stało.

Dokładnie po pięciu minutach premier znowu zadzwonił. Był już zupełnie opanowany, w zwykłej dobrej formie. Przez te pięć minut zdążył pośpiesznie rozejrzeć się po domu - nic przy tym nie znalazł - łyknąć dużą whisky i uważnie przeczytać list, w którym porywacze żądali Jensa Forsa w zamian za życie jego córki Krystyny.

List był napisany na maszynie, na zwykłym białym papierze

biurowym. Najwidoczniej piszący nie miał wprawy. List roił się od mylnie odbitych czcionek i zaiksowanych błędów.

- Przeczytam ci list - powiedział premier do najwyższego zwierzchnika policji.

- „Córka pana znajduje się w naszych rękach. W zamian żądamy uwolnienia Jensa Forsa. Chcemy, żeby mu pozwolono wyjechać do jakiegoś kraju. Pan sam wie, jakie kraje wchodzi w grę. Córka pana czuje się dobrze i nic się jej nie stanie, jeżeli będzie się pan stosować do naszych instrukcji. Skontaktujemy się z panem ponownie”.

- Wszystko? - spytał komendant.

- Wszystko.

- Przypuszczam, że jesteś teraz u siebie w domu. Zostań tam, zaraz przyjadę.

- Czekam cię.

- Słuchaj - powiedział komendant - coś mi przyszło na myśl. Ktoś się przecież musiał dzieckiem zajmować w czasie twego pobytu w Stanach.

W słuchawce zapanowała cisza.

- Zupełnie o niej zapomniałem. Też zniknęła.

- Przeszukałeś cały dom?

- Oczywiście. Nikogo tu nie ma, łóżko Krystyny puste. Wydaje mi się, że zgarnęli część jej sukienek i zabawek.

- To dobry znak.

- Co masz na myśli?

- To znaczy, że małej nic nie grozi.

Skończyli rozmowę, komendant obiecał, że za kwadrans będzie u Sundelina.

- Wiem, że nie muszę cię prosić, byś chwilowo zachował tę wiadomość dla siebie - takie były ostatnie słowa premiera.

Sundelin raz jeszcze przeszukał cały dom. Ani śladu Krystyny i wychowawczynie. Ani śladu czegoś, co mogłoby świadczyć o walce.

Przeszedł do wielkiego gabinetu, w którym przeważały półki z książkami, sięgające aż do sufitu. Czytanie było ostatnio jedyną przyjemnością, na jaką sobie pozwalał, a raczej, dokładniej rzecz określając, jedyną przyjemnością, na jaką mógł sobie pozwolić. Usilnie starał się - jeśli praca i stanowisko nie wymagały jego obecności - przesiadywać w domu z córką.

Osunął się w fotel z wysokim oparciem i zamknął oczy. Jego twarz wyrażała dziwny spokój. Oczywiście wcale nie był spokojny. Tylko taki miał sposób zbierania sił, zwierania się wobec trudności, które sobie uświadamiał.

Wstał, przesunął ręką po włosach. Wciąż miał ten osobliwy wyraz twarzy. Zdawał się przebywać w jakimś zamkniętym własnym świecie.

Niewiele było osób, które by naprawdę dobrze znały Sundelina. Jego żona - gdyby żyła - wiedziałaby, że mąż teraz intensywnie zastanawia się nad jakimś problemem i chwilowo nie widzi rozwiązania.

Sundelin raz jeszcze przesunął ręką po gęstych włosach, otrząsnął się jak pies i znowu sięgnął po słuchawkę, zajrzawszy przedtem do notesu.

- Cześć - powiedział. - Zastanawiałem się właśnie nad pewną sprawą. Sądzę, że ty mógłbyś mi pomóc. Wiesz pewnie, że dziś rano wróciłem ze Stanów Zjednoczonych. Jak sprawy stoją w tej chwili?

Rozmowa była bardzo krótka, bo odezwał się dzwonek u drzwi. Zjawił się komendant policji w uroczystym garniturze w niktę paski i w granatowym kapeluszu.

- Chodź, chodź - powiedział Sundelin. Wyprzedzając gościa wszedł do sypialni. Usiedli naprzeciw siebie. - Chcesz drinka? - spytał premier.

- Prawdę mówiąc wydaje mi się, że potrzebuję czegoś na wzmocnienie - odpowiedział komendant, który nigdy nie wylewał za kołnierz.

- No, więc co zrobimy?

W tonie, jakim pytanie zostało postawione, i w oczach premiera był niepokój.

- Jasne, że musimy ratować życie twojej córki. Jej bezpieczeństwo przede wszystkim.

Sundelin pobrzękując kostkami lodu patrzył w sufit. Na suficie wisiała pajęczyna, o której usunięciu nie pomyślała ani dochodząca sprzątaczką, ani tym bardziej wychowawczyni.

- Sprawę komplikuje to, że i wychowawczynie zniknęła - powiedział komendant.

- Jestem tego świadom. Nie mogę żądać specjalnego postępowania ze względu na mnie.

- Co wiesz o tej wychowawczynie?

- Akurat tyle, żeby uważać za wykluczony jej udział w tym przestępstwie.

- Czy jest dla ciebie czymś więcej niż zwykłą wychowawczynią?

- Jeżeli myślisz, że jest moją kochanką, mylisz się. Zawsze unikam brania do łóżka osób pracujących tutaj.

- Rozumiem. Pojmujesz chyba, że długo nie da się tego utrzymać w tajemnicy. Im prędzej podamy to do wiadomości, tym lepiej. Takie jest moje zdanie.

Premier westchnął.

- Oczywiście. Masz rację. Sam zadzwonię do Agencji Telegraficznej i podam komunikat, żeby wszyscy dostali jednocześnie. Później ty ze swej strony będziesz mógł urządzić konferencję prasową. A co właściwie z Forsem?

- Nic nowego - odpowiedział komendant, który jeszcze nie otrzymał raportu o tym, że zabójca ambasadora pomału zaczyna otwierać serce przed pielęgniarzem z nocnej zmiany.

- Do diabła, i jeszcze w takim okresie, jaki mamy przed sobą - podjął premier. - Nie wiem, jak ja to wytrzymam. Chętnie bym zrezygnował z wszelkich występów, ale to przecież niemożliwe.

Komendant milczał. Rozumiał niepokój Sundelina z powodu najbliższych dni. Przyczyną milczenia była jednak raczej myśl o tym, skąd teraz w okresie urlopowym weźmie tyle personelu, ile będzie trzeba.

- Jedno nie jest dla mnie jasne - powiedział.

- Co mianowicie?

- Jaki kraj zechce przyjąć Forsa.

- Myślisz, że i ja się nad tym nie zastanawiałem? - powiedział premier. - Albanię trzeba brać pod uwagę. Chodzi przecież o życie albo śmierć. Może uda nam się dojść do porozumienia z jakimś krajem afrykańskim.

- Tak - powiedział komendant - to chyba chwilowo wszystko. Przyślę tu ludzi, przeprowadzą oględziny. Potem trzeba będzie oczywiście puścić w ruch dość duży aparat. Zresztą ty sam będziesz mógł decydować, jak daleko można się posunąć w poszukiwaniach i jakie ma być ich nasilenie.

- Przede wszystkim trzeba ustalić, co się stało z wychowawczynią.

Komendant wstał, podziękował za drinka i poprawiwszy kanty swych pasiastych spodni opuścił rezydencję premiera.

Sundelin podszedł do biurka, na którym stała mała podręczna maszyna do pisania. Szybko wystukał komunikat dla Prasowej Agencji Telegraficznej. Przeczytał tekst kilkakrotnie, potem zadzwonił do biura telegramów przy Hötorget.

- Dzień dobry, tu premier - powiedział. - Chciałbym mówić z redaktorem naczelnym. -

Naczelny, który kiedyś prowadził redakcję PAT w sejmie, był starym przyjacielem Sundelina.

- Cześć - powiedział premier. - Tu Sundelin. Chcę podać komunikat. - I odczytał krótki tekst.

- Poznaję po głosie, że to ty - powiedział naczelny - ale

to rzecz tego rodzaju, że muszę poprosić o zgodę na zadzwonienie do ciebie. Jesteś w domu?

Otrzymał zgodę i w parę sekund później w mieszkaniu premiera zadzwonił telefon.

Redaktor naczelny PAT, zahartowany w ciągu wielu lat pracy, po przeprowadzeniu rozmowy kontrolnej był dość niezadowolony. Spojrzawszy na zegarek stwierdził, że jest jeszcze trochę czasu do własnego programu radiowego agencji o trzynastej. Zadzwonił więc do Kancelarii Państwa i poprosił o połączenie z jednym z „chłopców” premiera. Otrzymał potwierdzenie, że szef rządu rzeczywiście jest teraz w swoim mieszkaniu, puścił wiadomość.

Do trzynastej brakowało minuty, był więc zupełnie pewien, że w radio nie zdążą odczytać tej wiadomości przed programem własnym PAT. Będą go za to krytykować, ale ma zupełnie czyste sumienie. Lepiej dla pewności dwa razy sprawdzić i zabezpieczyć się.

W kilka minut po pierwszej redakcji wszystkich gazet w kraju były w stanie pełnego wyczerpania.

Wychowawczyni

Wychowawczyni nazywała się Annika Bogren, miała dwadzieścia dwa lata i była ogromnie dumna i zadowolona, że dostała pracę u samego premiera. Płaca dobra i właściwie nie musiała nic robić, poza tym, że zajmowała się Krystyną.

Annika była z natury rannym ptaszkiem. Usłyszała szelest w skrzynce na listy. Spojrzała na zegarek. Parę minut po piątej. Tak wcześnie dziś przynieśli gazety, pomyślała i włożyła szlafrok. Poszła aż do ogrodzenia, by wyjąć ze skrzynki „Nowiny Dnia” i „Szwedzką Gazetę Codzienną”. Wracając

czytała po drodze pierwszą stronę „Nowin”.

Właśnie brała za klamkę, gdy usłyszała za sobą spokojny głos:

- Proszę się nie bać, proszę wejść do domu. Jeżeli nie będziesz stawiać oporu, nic się nie stanie. Trzymam pistolet wymierzony w twoje plecy. Rób, co ci każę.

Annika weszła do domu jak lunaticzka. Słyszała za sobą ciche kroki, stuk zamykanych drzwi.

- W porządku - powiedział głos miękko. - Tu jest walizka, proszę do niej włożyć ubrania dziewczynki.

- Nie - wykrztusiła Annika i odwróciła się.

Wzdrygnęła się na widok postawnego mężczyzny w sztruksowych spodniach i szarej marynarce. Twarz miał ukrytą pod wesołą maską Kaczora Donalda.

- Rób, co ci każę - powtórzył napastnik. - Włóż do walizki ubrania na parę dni, trochę zabawek zresztą też. I ubierz się.

Oboje weszli bezszelestnie do pokoju, gdzie spała Krystyna Sundelin.

- Czy pan nie rozumie, że ona się śmiertelnie przestraszy, kiedy zobaczy pana w tej masce - szepnęła Annika wkładając sukienki do starej walizki, którą jej napastnik wręczył.

- Zgoda - powiedział głos spod maski. - Stanę za drzwiami. A ty ją zbudź. Powiedz, że to zabawa, zresztą mów, co ci się podoba. Samochód czeka.

Annika ostrożnie potrząsnęła śpiącą dziewczynkę. Mała trochę pomruczała, ale obudziła się nieoczekiwanie szybko.

- Jest u nas wujek, chce się z nami bawić, udaje, że jest Kaczorem Donaldem - powiedziała Annika - pojedziemy z nim samochodem.

Ubrała się szybko. Nieznajomy wszedł do pokoju. Trzymał w ręku czapkę, Annika nie musiała się długo zastanawiać, dlaczego czapka jest tak wydęta i co się pod nią kryje.

Myślała, że Krystyna okropnie się przestraszy fizjonomii skrzywionego w uśmiechu kaczora, lecz czterolatka okazała wyraźne zadowolenie.

- Pies Pluto i Świnka czekają w samochodzie - przyjaźnie powiedział Kaczor Donald.

- A dla mnie też masz taką śmieszna twarz? - spytała Krystyna zwracając się do Anniki.

- Nie, ty będziesz tylko udawać - odpowiedział przyjazny głos spod gumowej maski.

Mała natychmiast zauważyła walizkę.

- Czy będziemy tam nocować? - spytała.

- Tak - odpowiedziała Annika, z rozpaczą spoglądając na stojącego o krok od niej mężczyznę.

- Wyjdziemy przez garaż - rozkazał.

Jedną ręką prowadząc Krystynę, w drugiej trzymając walizkę, przeszła Annika do korytarza stanowiącego bezpośrednie połączenie z garażem. Stało tam volvo Sundelina, który niezmiernie rzadko używał prywatnego wozu.

- Na podjeździe garażu stoi samochód. Proszę zająć tylne miejsce, obok Świnki - powiedział nieznajomy.

Annika otworzyła wrota garażu. Samochód stał na podjeździe. Usiadła z tyłu obok kobiety w masce Świnki. Na przednim siedzeniu siedział Pies Pluto. Kaczor Donald spokojnie zajął miejsce za kierownicą. Samochód szybko potoczył się przez Sturebygatan.

- Teraz się zaczniemy bawić - powiedziała po chwili Świnka do Krystyny. - Zwiążemy Annice oczy, a ty możesz patrzeć.

Kobieta wyjęła ciemny jedwabny szalik i zawiązała oczy wychowawczyni. Annika czuła, że ta obca kobieta ma wypięlgnowane ręce i jest uperfumowana.

- Bo to ma być przed nią tajemnica, dokąd jedziemy - wyjaśnił Kaczor Donald.

Pies Pluto jeszcze się nie odezwał. Dopiero gdy szalik

szczelnie zasłonił jej oczy, Annika usłyszała głos, który jej się nie podobał.

- Nareszcie można się pozbyć tej cholernej maski.
- Bardzo brzydko jest mówić „cholernej” - zauważyła

Krystyna.

Annika usiłowała rozpoznać drogę, wkrótce jednak zupełnie straciła orientację. Raz wyraźnie słyszała huk pociągu kolei podziemnej, przypuszczała, że samochód jest na moście Skanstull. Później zupełnie już nie mogła ustalić, dokąd jadą. Kaczor Donald przez cały czas prowadził samochód z jednakową szybkością. Krystyna paplała, ale mówiła o domach, sklepach, jeziorach i samochodach, wszystko razem mieszając.

Po pół godzinie samochód zjechał na boczną drogę, tego Annika była niemal pewna.

- Zatrzymaj - powiedział Pies Pluto. - Zamienisz się ze mną, Ing-Marie.

Annika usłyszała, jak mężczyzna przy kierownicy zaklął pod nosem. Zrozumiała, że daje w ten sposób wyraz niezadowolaniu, ponieważ Pies Pluto zdradził imię Świnki.

Dziewczyna imieniem Ing-Marie i mężczyzna z przedniego siedzenia zamienili się miejscami. Annika niemile odczuła dotknięcie męskiego uda.

- A tatuś też przyjedzie tam, gdzie będziemy nocować?
- spytała Krystyna.

- Nie. Dziś w nocy jeszcze nie. Musiał zostać parę dni dłużej w Ameryce. Ale nie martw się, zobaczysz, tam, gdzie jedziemy, są małe pieski i kocięta.

Annika pomyślała, że kierowca umiałby obchodzić się z dziećmi. Wie, zdaje się, jak dzieci reagują.

- A kocięta już widzą?- spytała Krystyna.
- Oczywiście - powiedział Kaczor Donald. - Jest ich troje.

- A jakiego są koloru?

- Dwa czarne a jeden pręgowany.

Minął jeszcze z kwadrans, Annika czuła, że jadą teraz po jeszcze bardziej wyboistej drodze.

- Tu jesteśmy na miejscu - powiedział Kaczor Donald.
- A gdzie kotki? - spytała Krystyna.
- W chacie - powiedziała melodyjnym głosem dziewczyna w masce Świnki.

Mówi, jakby często rozmawiała przez telefon, pomyślała Annika nie wiedząc, jak bliska jest prawdy.

Annika została razem z Krystyną wprowadzona do domu, gdzie wychowawczynie poczuła zapach przypominający jej lata spędzone u babki na wsi. Zapach koni.

- Tu będziecie mieszkać - usłyszała uprzejmy, spokojny głos Kaczora Donalda. - Kiedy zamkniemy za sobą drzwi, możesz zdjąć opaskę.

Zgrzytnął zamek, Annika zsunęła szalik. Światło oślepiło ją, po chwili dopiero dojrzała, że znajdują się w staromodnie umeblowanym pokoju. Rozkładana kanapa, komoda z fotografiami w okrągłych ramkach, piec z kafli w kwiatki, na ścianach parę kiczowatych obrazów, na podłodze ładny szmaciany dywanik.

Krystyna już siedziała na podłodze. Oczy jej się śmiały do trójki baraszkujejących z sobą kociąt. Annika wyjrzała przez okno i zobaczyła łąkę, na której pasły się trzy konie. Widać też było parę zagonów, a dalej ciemny iglasty las z domieszką brzóz i nielicznych dębów.

Drzwi się otwarły. Weszła Świnka. Kobieta poruszała się jak manekin. Wniosła tacę.

- Musicie być głodne - powiedziała. - Proszę, kawa, kanapki, a dla Krystyny mleko i płatki.

Postawiła tacę na stole przykrytym obrusem w czerwonej kratkę i wyszła kołysząc biodrami.

- Siadamy do jedzenia - powiedziała Annika.
- Dlaczego dostałam kwaśne mleko rano? - spytała dziewczynka. - Ja chcę czekoladę.

- Nie ma nic innego, tylko kwaśne mleko, maleńka.

Krystyna wzięła się do jedzenia. Kociaki, konie na łące, las i pola, wszystko tchnęło spokojem, wiejskością. Idylla. Annikę jednak aż do szpiku kości przenikała groza.

Muszę być mocna, myślała. Ale tak się boję tego w masce Psa Pluto.

- Jedz porządnie - powiedziała do Krystyny. - Nie paćkaj.

Policjant

Asystent policji kryminalnej Jan Olsson siedział w swym nad wyraz nienowoczesnym mieszkaniu przy Högbergsgatan na Söder. Podnajmował to mieszkanie z drugiej ręki i płacił niemiłosiernie wygórowane komorne, był jednak uszczęśliwiony, że w ogóle ma gdzie mieszkać. A dawno już sprzykrzyły mu się ciekawe paniusie będące właścicielkami sublokatorskich pokoi.

Godzina pierwsza. Olsson właśnie zamierzał wyjść, włączył jednak radio, żeby posłuchać wiadomości. Spiker narzmiętym ważnością głosem opowiedział, co się wydarzyło. Przecież to nieprawdopodobne, pomyślał Olsson i przekonawszy się, że w dalszych wiadomościach nie ma nic prócz codziennych spraw, zamknął radio.

Podszedł do telefonu, zadzwonił do swego przełożonego. Z pewnym trudem uzyskał połączenie.

- Słuchałem przed chwilą wiadomości. Czy jestem potrzebny?

- A cóż ty sobie myślisz? - odpowiedział szef. - W najbliższym czasie będziemy pracować dzień i noc.

- Rozumiem. Pójdę tylko coś przekąsić i zaraz będę.

- Tylko się nie zalej. Staw się trzeźwy i przyzwójcie

ubrany. - (Olsson ubrany był w elegancki popielaty garnitur).
- Właściwie nie musisz się spieszyć. Żadnych wyraźnych instrukcji jeszcze nie otrzymaliśmy. To się pewnie rozstrzyga na dużo wyższym szczeblu.

Olsson poszedł przez Högbergsgatan do Gøtgatan i minąwszy ją skręcił w Høkens gata. Tam wsiadł w kolejkę podziemną i pojechał do Centralnego. Minąwszy podziemny plac, gdzie handel narkotykami odchodził na całego, wjechał ruchomymi schodami na Drottninggatan. Ale dopiero po stoczeniu z sobą walki wewnętrznej skręcił do „Brunkebergskiej Piwnicy”. No, jeszcze tyle czasu zostaje, że mogę równie dobrze tu coś zjeść, rozgrzeszył się ostatecznie.

Zamówił drogie danie mięsne i wypił karafkę czerwonego wina. Jeszcze mały spacerek do domu towarowego Alena i stamtąd autobusem pojechał do Komendy Głównej.

Na Kungsholmgatan przy wejściu stał nowy strażnik. Nie poznał go.

- Przepraszam, ale takie mnóstwo obcych ludzi się tu dziś kręci - usprawiedliwiał się strażnik w zielonym mundurze, raz jeszcze sprawdzając legitymację służbową Olssona.

Normalka. Olsson przywykł już do takich omyłek. Wcale nie wyglądał na policjanta ani tym bardziej na asystenta. Robił wrażenie bardzo młodego.

Wjechał windą do swego pokoju, postawił teczkę, zawierającą kanapki i dwa wzmocnione piwa, które kupił w sklepie monopolowym na Agnegatan. Poszedł potem na koniec korytarza i zadzwonił do ostatnich z szeregu drzwi.

- Wejść! - ryknął asystent Bengt Johansson.

I on wcale nie wyglądał na policjanta. Korpulentny czterdziestolatek o dobrodusznej twarzy. Siedział bez marynarki, krawat rozluźnił. Na ręku miał złoty zegarek z grubą bransoletką. Kupił go na raty. Kosztował więcej, niż wynosiła jego miesięczna pensja.

- A, ty - powiedział.
Stwierdzenie to nie wymagało żadnego komentarza.
- Mam dla ciebie robotę - ciągnął Johansson. - Będziesz dziś wieczorem w ratuszu czymś w rodzaju goryla. Sundelin tam pojedzie. I ty też.
- Sam?
- Nie. Zabierzesz ze sobą Berga.
Johansson przyjrzał się Olssonowi.
- Wyglądasz schludnie i przyzwoicie. Nie musisz więc jechać do domu, żeby się przebrać.
- Kiedy to w ratuszu się zaczyna?
- O dziewiętnastej. Ale masz być w Kancelarii Państwa już o wpół do siódmej. Pojedziesz razem z Sundelinem.
- A co, boją się, że Sundelinowi też może się coś stać?
- Nie wiem. Zresztą wcale mnie to nie obchodzi - odpowiedział Johansson. - Wypełniam tylko rozkaz. Studiujesz, wykształcony z ciebie facet, więc ciebie posyłam do ratusza.
- Idź do diabła - powiedział Olsson. - Koło ratusza będzie pełno dziennikarzy. Jak tam wepchniemy Sundelina? Wyobrażam sobie, że na rozmowy z prasą nie ma wielkiej ochoty.
- Sapo myśli o wszystkim. Dostarczymy czcigodnego szefa rządu małą motorówką.
- Sprytnie - powiedział Olsson. - A nie sądzisz, że dziennikarze są dostatecznie sprytni, żeby przejrzeć ten plan?
- Nie przypuszczam. Będą pilnowali wejścia od Hantverkargatan i od placu Ragnara Östberga, ale nie od strony morza.
- Nie byłbym tego taki pewny. Z doświadczenia wiem, jak trudno jest im umknąć. No, ale przyjdzie pora, znajdzie się rada. A co mam robić do wpół do siódmej?

- Napisz raport, o czym ci się żywnie podoba, tylko zostaw mnie w spokoju - ryknął Johansson, nie tracąc przy tym wyglądu pocziwego Świętego Mikołaja.

Olsson nie spiesząc się zbytnio wrócił do swego pokoju. Wyjął z teczki piwo i wlał w gardło wprost z puszki. Zawsze pił piwo marki Falcon. Nauczył się je cenić na Cyprze w czasie sześciomiesięcznej służby w korpusie ONZ-u.

Otworzył szufladę biurka i wyciągnął blok z mnóstwem hieroglificznych zapisków. Widniało tam na przykład tylko dla niego zrozumiałym charakterem wypisane: duż, sam, rak, nz, dobru, nz, 40. Na podstawie tych sześciu skrótów i dwóch cyfr napisał raport wypełniający cały niemal arkusz papieru maszynowego. Pisał szybko i zrozumiale. Niektórzy przełożeni uważali, że trochę zbyt lekko mu przychodzą te raporty, wkrótce jednak zauważyli, że młody asystent wydobywa w nich to, co najistotniejsze. Posiadał on ponadto trudną do zdefiniowania właściwość, która sprawia, że policjant umie śledzić.

Do pewnego stopnia wynikało to może stąd, że nie wyglądał na policjanta. Łatwo wtapiał się w każde środowisko.

Zapiski, z których teraz sporządzał raport, też były wynikiem powierzonego mu śledzenia. Rak, oznaczało „Rakietę”, małą, zapuszczoną piwiarnię przy Mäster Samuelsingatan. Nz, oznaczało nieznaną. Śledzony odbył czterdzieści minut trwającą rozmowę z dobrze ubranym ciemnowłosym mężczyzną, który przyjechał dużym samochodem. Numer rejestracyjny Olsson też zapisał. Okazało się, że samochód był wynajęty i wynajmująca firma niewiele z tej transakcji zapamiętała. W każdym razie był to cudzoziemiec.

Obecnie kolega przejął ten wypadek. Co Olssona ucieszyło. Miał bowiem całkowitą pewność, że śledzony jest najzupełniej niewinny i że obserwowanie wszelkich jego poczynañ

jest stratą czasu.

Kwadrans po szóstej Olsson i jego kolega, Berg, pojechali taksówką do gmachu Kancelarii. Zgodnie z instrukcją poszli się tam zameldować u jednego ze współpracowników Sundelina w Urzędzie Premiera. Młody blondyn, któremu wyłożyli sprawę, zrobił na nich niemiłe wrażenie.

- Powinniście być tu dopiero o wpół do siódmej - powiedział.

- Chętnie zaczekamy - odrzekł Olsson. - Gliny mają w tym wprawę.

- I taki bałwan z pewnością ma o dziesięć szczebli lepsze niż my uposażenie - szepnął Berg, gdy znaleźli się sami.

Dokładnie o osiemnastej trzydzieści otwarto się jakieś drzwi i dwaj policjanci podnieśli się szybko, widząc, że sam Sundelin z nich wychodzi. Obaj już miewali służbę przy premierze w związku z zagranicznymi wizytami.

- Dzień dobry, chłopcy - pozdrowił ich Sundelin.

Olsson i Berg wymamrotali coś niezrozumiałego w odpowiedzi. Potem powiedzieli, że premier ma udać się do ratusza motorówką.

- Mamy nadzieję, że w ten sposób poradzimy sobie ze sforą dziennikarzy - wyjaśnił Olsson Sundelinowi, który odniósł się do tego sceptycznie.

- Nadzieję można mieć zawsze, ale widzieliście chyba to stado wilków przed wejściem.

- Tak - odpowiedział Olsson, myśląc przede wszystkim o aroganckim młodym człowieku, który ich przyjął. - To Międzynarodowa Izba Handlu Młodzieżowego aranżuje dziś obiad, nieprawdaż?

Sundelin kiwnął głową w odpowiedzi. Premier wyglądał na wyczerpanego. Świadczyły o tym jaskrawe rumieńce. Bawił się parą gumek do opakowań, które w skomplikowany sposób przewijał między palcami. Ubrany był w lekki letni

popielaty garnitur.

- No, więc chodźmy - powiedział.

Dołączył do nich jeden z ludzi z obstawy rządowej i przeprowadził ich do nabrzeżu. Czekala tam mała motorówka. Olsson rozejrzał się. Wszystko w zupełnym porządku. Jak okiem sięgnąć ani śladu dziennikarza. Szybko się załadowali i wzięli kurs na nabrzeże ratuszowe. Nikt się nie odezwał. Olsson był dotkliwie świadom tego, że przy wsiadaniu fio motorówki przesunął mu się pas przytrzymujący rewolwer.

I przecież ja nie umiem trafić nawet do nieruchomej tarczy celowniczej, pomyślał i znalazł pewną pociechę w tym, że Berg jest dobrym strzelcem.

Olsson zawsze odczuwał lęk przed tego rodzaju zleceniami. Wiedział, że w praktyce jest zupełnie niemożliwe ochronić kogoś przed mordercą, który nie lęka się o własne bezpieczeństwo.

Przeprawa do ratusza udała się lepiej, niż Olsson i Sundelin przypuszczali. Tylko jeden jedyny dziennikarz pomyślał o możliwości wodnego transportu i oczekiwał wraz z fotografem. Była to właściwie dziennikarka, dwudziestopięcioletnia dziewczyna, z „Expressu”.

- Czy można prosić o jakiś komentarz? - spytała.

Sundelin wydobywał się z motorówki przy pomocy Berga, a fotograf robił zdjęcie za zdjęciem. Premier potrząsnął głową. .

- Nic, nic prócz tego, co już wcześniej podałem do wiadomości.

Dziewczyna próbowała zadać jeszcze kilka pytań, ale nie otrzymała odpowiedzi. I tak była uszczęśliwiona, że właśnie jej udało się przyłapać premiera. Po takim wyczynie rosną jej szanse w dzienniku. Ma zapewniony wstępniak.

„Błady, z zaczerwienionymi od płaczu oczami, przybył premier do ratuszowej przystani w czwartkowy wieczór.

H

Podczas gdy do poszukiwań jego córki powołano olbrzymie rezerwy policji, on musi wygłosić mowę o międzynarodowej koniunkturze. Polityków obowiązują takie same reguły jak aktorów: The show must go on”.

Reporterka już była bardzo dumna z tego wstępu i pewna, że sekretarz redakcji również go zaaprobuje. A koniec końców to przecież najważniejsze.

Premier został przeprowadzony do pokoju na drugim piętrze ratusza. Zwykle siadywał tam sekretarz Rady Miejskiej, teraz jednak miał urlop. Z tego pokoju premier mógł łatwo przedostać się do Złotej Sali.

- Jest dopiero za dziesięć siódma, więc czasu mamy dość - powiedział nienagannie uczesany reprezentant gospodarzy wieczoru. - Czy pan premier życzy sobie drinka?

- Nie, dziękuję. Gdzie ci chłopcy będą siedzieli podczas obiadu?

- Załatwiliśmy im miejsca przy stole prasowym.

- Czy to aby słuszne? - zapytał Olsson.

Gospodarz nieznacznie wzruszył ramionami.

- Bardzo trudno coś na to teraz poradzić. Wszyscy już właśnie zajmują miejsca.

- Myślę, że zaczekamy z wejściem do pięć po siódmej - powiedział Olsson spoglądając na premiera.

- O tym wy decydujecie. Jestem zahartowany po wizycie w Stanach.

Olsson uśmiechnął się. Został teraz sam z premierem. Berg poszedł do Złotej Sali na rekonesans.

- Odjedziemy przed kawą - ciągnął Olsson.

- Znowu łodzią?

- Nie, samochodem. W willi pana w dalszym ciągu przeprowadzają badania techniczne. Musi tam być niezły bałagan.

Premier wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Rozumiem - powiedział z pewnym roztargnieniem.

- Dlatego dla pewności zamówiliśmy mały apartament w Hotelu Parkowym przy Karlavägen - ciągnął Olsson.

- Wprawdzie nieco mi się sprzykrzyło mieszkanie w hotelu, ale jest to może najlepsze rozwiązanie.

Pięć po siódmej Olsson i premier zostali wprowadzeni do Złotej Sali. Policjant wszedł pierwszy i szybko odnalazł stół, przy którym miał miejsce. Zapanowała zupełna cisza, gdy w kilka sekund później w bocznych małych drzwiach ukazał się Sundelin.

- Którędy on się u licha tu dostał - zdumiał się jeden z dziennikarzy przy stole Olssona.

- Jutro będziesz to mógł zobaczyć w „Expressie” - odpowiedziała reporterka, która miała tyle sprytu, by oczekiwać na przystani.

- Jaka szkoda, że „Express” nie ukazuje się rano.

Przyjęcie przebiegało zgodnie z planem. Przed deserem premier, zadzwoniwszy w szklanę, wygłosił mowę o międzynarodowej sytuacji ekonomicznej i o wadze dobrych stosunków handlowych.

Powitalne przemówienie na początku uroczystości wygłosił przewodniczący władz miejskich, socjaldemokrata, wyglądający nieśmiało i kiepsko władający angielskim.

Gdy ukazali się kelnerzy z dzbankami kawy, Olsson wstał, podszedł do honorowego stołu. Sundelin bez wielkich ceregieli podniósł się także i podążył za nim.

Arne

O tej samej mniej więcej porze, gdy premier opuszczał ratusz w ogniu lamp błyskowych, dyrektor Arne Risefelt siedział przy kuchennym stole w niewielkim wiejskim domku niedaleko od Arlandy. Towarzyszyli mu Ing-Marie i Bosse.

Na stole prócz resztek jedzenia stała butelka wódki i rozkręcone na cały regulator radio tranzystorowe. Było parę minut po dziewiątej.

- Przystaw na pierwszy program - powiedział Arne do Ing-Marie. - Zaraz będą wiadomości.

Dziewczyna sięgnęła poprzez stół i nacisnęła klawisz. Jakiś przesadnie ożywiony męski głos prowadził konkurs polegający na telefonicznym udzielaniu odpowiedzi na najdziwniejsze pytania.

Arne nalał sobie wódki i rozcieńczył pommakiem.

- Cholera - powiedział - nie ma nic innego do picia? Przecież to trucizna.

Nikt się nie odezwał. Bosse siedział z przykniętymi oczyma. Ing-Marie z utęsknieniem zerkała na butelkę. Arne srogo na nią spozjrzał.

- Dla ciebie koniec. Dość już w siebie wlałaś. Pamiętaj, że ty przede wszystkim jesteś odpowiedzialna za małą.

Właściwie Arne był dość zadowolony z minionego dnia. Jak dotąd wszystko odbywało się dokładnie tak, jak było zamierzone. Plan był właściwie dziełem Bossego - do tego był dobry - ale to on, Arne, wpadł na pomysł.

- Kiedy kupiłeś tę posiadłość? - spytał nagle Bosse nie otwierając oczu.

- Cztery lata temu. Hodowaliśmy tu konie na dużą skalę.

- Hodowaliśmy? Kto?

- Miałem wspólnika i trenera. Potem ich spłaciłem. Mam teraz człowieka, który koni dogląda, ale wyjechał wczoraj na dwa tygodnie.

- Nie ma więc ryzyka, że się tu zjawi?

- Nie.

Ostatnie stwierdzenie niezupełnie pokrywało się z prawdą. Arne winien był pieniądze trenerowi, Hessemu Morénowi. Ściśle biorąc, to konie Hessego pasły się na łące. Morén był

w interesach nieustępliwy i zawsze żądał koni pod zastaw jako zabezpieczenia w wypadku zalegania w opłatach za treningi, a miał tu i inne należności.

- Cicho, teraz podadzą wiadomości - powiedział Arne.

- Policja nie trafiła jeszcze na ślad porwanej córki premiera Sundelina i jej dwudziestoletniej wychowawczynie, Anniki Bogren. Porywacze żądają, by zabójca ambasadora amerykańskiego został zwolniony i odtransportowany do innego kraju. Ministerstwo Spraw Zagranicznych prowadziło już dziś rozmowy z krajami, które przypuszczalnie mogłyby wyrazić zgodę. Agencja Reutera donosi z Waszyngtonu, że rząd szwedzki może natrafić na duże trudności w znalezieniu odpowiedniego kraju. Między wchodzącymi w rachubę krajami wymienia się Albanię, Algierię, Koreę Północną i Syrię. Komentatorzy polityczni w Waszyngtonie nie sądzą jednak, by Stany Zjednoczone zamierzały wnieść sprzeciw w sprawie wydania zabójcy.

W środę wieczorem trwało jeszcze wstępne śledztwo w sprawie porwania - mówił dalej głos w radio. - Policja otrzymała mnóstwo informacji, które są obecnie opracowywane. Żadnych wiadomości o nawiązaniu przez porywaczy ponownego kontaktu z premierem nie podano.

Wysłuchali wiadomości do końca.

- Policja nic nie wie - powiedział Arne.

- Tak się zdaje - przyznał Bosse - ale z glinami nigdy nic nie wiadomo. Dlaczego sprzedałeś?

- Sprzedałem? Co?

- Wszystkie szkapy, jakie miałeś.

- Nie opłacało się - odpowiedział Arne. - Żarty tylko i złamanego grosza nie wybiegały.

- A ty wydawałeś na prawo i lewo - powiedziała Ing-Marie zjadliwie. - Za dużo miałeś pieniędzy, kupowałeś byle truposza, każdy koński handlarz cię nabierał.

- Zamknij gębę, co ty wiesz o interesach.

- W każdym razie tyle, że nie można wydawać więcej,

niż się ma - odpaliła dziewczyna.

Ledwie widoczny uśmiech przemknął po ustach Bossego. Arne znów sobie nalał.

- Co do picia, to nie tylko Ing-Marie ma dość - powiedział Bosse.

Arne odstawił kieliszek zaciskając szczęki. Ten przeklęty kryminalista zaczyna przybierać rozkazujące tony. Cóż, trzeba dalej robić dobrą minę.

- Może i masz rację - powiedział. - Czeka nas jeszcze i jutro.

- Wódki z pracą nie pogodzisz - powiedział Bosse. - Zwłaszcza wtedy, kiedy wszystko musi klapować, żeby interes się udał. Grasz na wyścigach, stawiasz na konie, więc wiesz, że nie powinno się pogarszać i tak złej sytuacji.

- A ty już kiedy wpadłeś?

- Tak. Raz tylko i to właściwie za głupstwo. I nie przez wódkę mnie przymknęli.

Arne zwrócił się do Ing-Marie.

- Jadły coś? - spytał.

- Mała tak. A dziewczyna ledwie tknęła.

- Trzeba z nią uważać - powiedział Bosse. - To bystra dziewczyna.

- Pierwszorzędna - skwapliwie dodał Arne. - Zgrabna.

Bosse zmarszczył brwi i zaczął masować sobie kark.

Mięśnie naprężyły się pod skórą ciemnowłosionego ramienia. Ing-Marie spojrzała na Arnego ze złością.

- Już się do niej pali - powiedziała. - Trzeba by go związać. Ledwie spojrzy na dziewczynę, zaraz go ogarnia ochota.

Arne uśmiechnął się jednym ze swych najbardziej ujmujących uśmiechów. Wyglądał na wcielenie niewinności i zawstydenia.

- Owszem, lubię dziewczęta - powiedział - ale nie myślicie chyba na serio, że mógłbym się zaawanturować w coś

takiego. Może mnie podniecać, ale przecież me jestem wariat.

Bosse wciąż rozcierał kark krótkimi, mocnymi palcami.

- Przestańmy się kłócić - powiedział.

Arne wstał, otworzył lodówkę, wyjął piwo, wypił wprost z butelki. Gdy tak stał z przechyloną głową i przytkniętą do ust flaszką, w dobrze dopasowanych dżinsach, w żółtej tenisowej koszulce, zdrowy, wąski w biodrach, wyglądał jak reklama jakiegoś browaru.

Ing-Marie ma rację. Palę się do tej dziewczyny. A ona nie ma u licha powodu, żeby tak nosa zadzierać. Ciekaw jestem, czy już miała chłopca. Pewnie miała.

- Wyjdę łyknąć trochę powietrza - powiedział. - A potem się kładę.

- Tylko nie odchodź za daleko - powiedział Bosse. - Na drodze mogą być ludzie.

- Nie o tej porze. A jeżeli nawet, to ludzie, którzy mnie znają. Musiałbym mieć źle w głowie, żeby ich unikać. To by dopiero wzbudziło w nich podejrzenie.

- Masz słuszność do pewnego stopnia. Musimy być jednak ostrożni.

Arne włożył zamszową kurtkę i wyszedł. Zadużniła mu nad głową dacota. Gospodarstwo leżało w prostej linii na przedłużeniu pasów startowych Arlandy.

Otworzył furtkę i podszedł do koni. Były to dwie klacze i siedmioletni wałach. Wyjął z kieszeni kilka kostek cukru. Poklepał jedną z klaczek, a ona pchnęła go lekko nosem w pierś.

- No, no, spokojnie - powiedział - to więcej dostaniesz.

Zawsze doznawał dziwnego uspokojenia, gdy miał do czynienia z końmi. Wystarczyło im byle co i nie stawiały żądań. Wychował się wśród koni. Ojciec, właściciel świetnie rozwijającej się firmy samochodowej, zawsze trzymał konie wyścigowe. Oczywiście traktował je jak wszystko inne:

stanowiły przedmiot, na którym można zrobić interes. Gdy się przestawały opłacać, sprzedawał je.

A ja wszystkie jego pieniądze przetrwoniłem, pomyślał Arne opuszczając pastwisko.

Poszedł brzegiem lasu. Znowu zahuczał nad nim samolot. Zabawiając się kopaniem kamieni szedł dalej, aż okrążywszy swe gospodarstwo znalazł się po drugiej stronie domu. W tym pokoju świeciło się.

Stały tam dwa łóżka. W jednym spała Krystyna Sundelin, w drugim leżała Annika Bogren. Była zmęczona, śmiertelnie zmęczona, ale nie mogła i nie chciała zasnąć. W skroniach jej waliło, miała skurcze żołądka.

- Przecież w Szwecji się takie rzeczy nie zdarzają - mruzczała sama do siebie.

Sierpniowy wieczór stawał się coraz ciemniejszy.

Arne ukryty za drzewem usiłował zajrzeć przez okno. Widział łóżko małej, ale Anniki nie. Zobaczył natomiast, że drzwi się otwierają i ukazuje się Ing-Marie w masce Świnki. Podeszła do okna i zaciągnęła zasłony. Przez krótką chwilę oczy Świnki patrzyły wprost w niego.

Ciekawe, czy mogła mnie dojrzeć, pomyślał.

Hotel

Hotel Parkowy - niedawno wybudowany - znajdował się przy Karlavägen tuż koło parku Humlegården. Tam właśnie Olsson zawiózł premiera po przyjęciu w ratuszu. Samochód prasowy usiłował jechać za nimi, ale odpadł w wyścigu, bo Olsson włączył syrenę wozu policyjnego i przejechał Tegelbacken przy czerwonych światłach.

- Dobrześ się spisał - powiedział Sundelin - ale oni przecież i tak wkrótce wywęszą, gdzie jestem.

- Pewnie. Przyjemnie jednak będzie mieć święty spokój, póki się da.

Przybyli do hotelu tuż przed wpół do dziesiątej. Paru czekających tam pracowników policji przeprowadziło ich przez dziedziniec.

- Wejdziemy pieszo - powiedział jeden z tajniaków. - Pan premier ma mieszkać na trzecim piętrze.

- Mów mi ty. Jestem ze wszystkimi na ty. Piszą przecie o tym w gazetach - powiedział Sundelin.

Całe towarzystwo szybko weszło na górę. Olsson zauważył, że premier ma dobrą kondycję. Ledwie odrobinę się zadyszał.

- Tyle przynajmniej korzyści z grywania w tenisa - uśmiechnął się Sundelin.

Weszli na korytarz. Jedne z drzwi były otwarte. I tam stał tajniak i kiwnął na nich.

- Więc jesteśmy - powiedział premier. - Czy zostajesz tu na noc?

To ostatnie pytanie było zwrócone do Olssona, który nie był na nie przygotowany. Szybko spojrzął na zegarek i stwierdził, że już mu lecą nadgodziny.

- Mogę oczywiście - odpowiedział. - Muszę jednak porozumieć się z moją władzą.

- Myślałem tylko, że przyjemnie byłoby mieć przy sobie kogoś znajomego.

Olsson wyczuł w stłumionym głosie, że premier bardziej jest duchowo i fizycznie wytrącony z równowagi, niż na to wyglądał. Podniósł słuchawkę. Johansson przyjął telefon i wysłuchał sprawy.

Nic nie mam przeciw temu, ale nie wiem, czy ci za nadgodziny zapłacą. Uważaj, może to pedał.

- Ciężki masz czasem dowcip - powiedział Olsson. - Co nowego w poszukiwaniach?

O ile mi wiadomo, nic. Oczywiście coraz to jacyś idioci

dzwonią, że widzieli tajemnicze samochody z dziećmi i młodymi kobietami, ale nic godnego uwagi.

- Więc co robicie?
- Przeszukujemy kartoteki.
- No i co znaleźliście?
- Niewiele. Chociaż, czy ja wiem. Czy pamiętasz tego faceta, który wczoraj wieczorem pilnował Forsa?
- Tak. A co z nim?
- Należy do KFML. Jest tam bardzo aktywny.
- A jak się o tym dowiedzieliście?
- Ktoś zadzwonił - odpowiedział Johansson niejasno.

Będzie dalej dyżurować przy Forsie. Mamy przecież stałą nadzór, więc może się to nawet okazać pożyteczne, choć nie przypuszczam.

- To rzeczywiście niewiele.
- Ale ty, Olsson, miej oczy i uszy otwarte. Musisz być przygotowany na wszystko.
- Tak. Cześć.

W czasie tej rozmowy Sundelin rozgościł się w swym apartamencie, składającym się z dwóch pokoi w amfiladzie.

- Dało się załatwić?
- Tak. Bez problemu.
- Jakie wiadomości?
- Nic istotnego. Napływa oczywiście mnóstwo informacji, ale trzeba czasu, żeby je sprawdzić. Chyba nie uda im się na dłużej ukryć, to byłoby raczej dziwne.

- Ja też tak myślę - westchnął Sundelin. - Ale dlaczego się nie odzywają. Takie wyczekiwanie działa na nerwy. Jestem przyzwyczajony do trudnych sytuacji, lecz nie tego rodzaju.

Sundelin zobaczył, że na łóżku leży piżama, jego własna. W łazience były jego przybory toaletowe.

- Dobra organizacja - pochwalił. - A jak się właściwie pracuje w Sapo, Olsson? Jak masz na imię?

- Jan. Przypuszczam, że jest tak, jak w każdej innej pracy. Pensja oczywiście marna, mnie się jednak dość dobrze powodzi. Nie mam rodziny na utrzymaniu. Wtedy byłoby gorzej.

- Właściwie bardzo mało wiem o waszej pracy. To resort ministra spraw wewnętrznych. Nigdy się do tego nie mieszam. Czasem dostaję raport do przeczytania.

- Wydaje mi się, że spełniamy nasze zadanie. Ktoś musi zajmować się brudną robotą.

Sundelin zmrużył oczy i przesunął ręką po włosach.

- Ciekaw jestem, jak grube jest u was moje dossier.

- Jeżeli jest, to chyba bardzo grube być nie może.

- Nie musisz nic mówić. Ominął nas grog w ratuszu.

Zamówimy coś do picia?

- Piwo by się przydało.

- Mnie trzeba czegoś mocniejszego. Zadzwoń. Butelka whisky dla mnie i parę piw dla ciebie.

Olsson wykonał polecenie. W dziesięć minut później zapukano do drzwi. Stał w nich kelner z tacą. Olsson przyjrzał mu się od stóp do głów.

- Proszę tam postawić - powiedział wskazując stół.

Kelner ciekawie rozejrzał się po pokoju. Rozbiegane spojrzenie zatrzymało się na zamkniętych drzwiach w głębi. Sundelin właśnie przebierał się w szlafrok w przyległym pokoju.

- Nigdy tu na górze nie byłem - wyjaśnił kelner.

- Na pewno - stwierdził Olsson łagodnym głosem. - Taki z ciebie kelner, jak ze mnie Kaczor Donald.

- Co masz na myśli?

Kelner był najwidoczniej podniecony. Policzki mu płonęły, tarł ręce.

- Spływaj - powiedział Olsson. - Poznaję cię. Jesteś dziennikarzem. Sprytny chwyt. Tylko jak ci się udało przekonać dyżurny personel. Ile to kosztowało? Stówę?

- Pięć - lakonicznie odpowiedział kelner. Wskazał na drzwi do sypialni. - Czy on tam jest?

- Kogo masz na myśli? Jestem tu sam.

- Nie udawaj - powiedział zdemaskowany. - Wiem, że Sundelin tu jest.

- Wiesz więcej niż ja. Teraz możesz już iść.

Dziennikarz, człowiek w średnim wieku, przedstawiciel prowincjonalnej gazety mającej redakcję w Sztokholmie, protestował, ale niewiele to pomogło. Olsson go wyprosił.

- Jest tam więcej takich jak ty? - spytał zamykając drzwi.

- Jeszcze nie - odpowiedział dziennikarz. - Twoją obecność można jednak uważać za potwierdzenie, że Sundelin jest w hotelu.

- Nie wiem, o czym mówisz - zimno powiedział Olsson i ostatecznie zamknął drzwi.

Potem zapukał do sypialni i zawiadomił Sundelina, że przyniesiono zamówienie.

- Słyszałem urywki waszej konwersacji - powiedział premier. - Kto to był?

- Facet z „Poczty Wieczornej”. Specjalista od włazenia gdzie się da. Na szczęście niektórych z nich już zaczynam poznawać.

- Oni tylko wykonują swoją pracę.

- Ja też - krótko odpowiedział Olsson.

- Przepraszam. Nie zamierzałem nic krytykować. Nie zdejmiesz marynarki?

Olsson uśmiechnął się myśląc o przepowiedniach Johansona co do nocy z Sundelinem. A jeżeli on miał rację? Zrzucił jednak marynarkę. Poczuł się jak zwykle głupio, gdy pas z bronią stał się zupełnie widoczny. Sundelin przyglądał się pistoletowi, ale powstrzymał się od wypowiedzi. Wypił parę łyków whisky.

- Czy wiadomo coś o tego rodzaju politycznych porwanach? Czy porywacze zwykle oszczędzają swe ofiary?

Olsson dosłyszał niepokój w głosie Sundelina.

- Przecież leży w ich własnym interesie, by porwany został przy życiu. Inaczej stracą towar umożliwiający przetargi.

- Charlesowi Lindberghowi to nie pomogło.

- Nie, ale to przecież nie było polityczne porwanie. Chodziło o pieniądze.

Sundelin nie odpowiedział, wypił natomiast do dna i znowu sobie nalał. Tym razem znacznie więcej. Ten człowiek doszedł do granicy wytrzymałości, jest bliski załamania się, pomyślał Olsson.

- Może postaram się o coś na sen - powiedział ostrożnie.

Bał się, że Sundelin źle to przyjmie, ale nie, wyglądał niemal na wzruszonego.

- Dziękuję za troskliwość, chyba jednak dam sobie radę i bez tego. Cały czas zmuszam się, żeby nie myśleć o Krystynie, a nie jest to łatwe. Mam tylko ją.

Olsson zobaczył łzy w oczach premiera i poczuł się zmieszany. Wstał. Wziął z tacy butelkę piwa. Duńskie.

Rozmowy

Cały wieczór i całą noc dzwoniły telefony u pięciu policjantów, z których każdy siedział przy innym aparacie, żeby przyjmować wskazówki pochodzące od społeczeństwa - zwanego niekiedy Wielkim Detektywem.

- Widziałem samochód pędzący przez most zachodni - donosił jakiś urzędnik z Hasselby.

- Kiedy to było?

- O czwartej rano.

- Zdążył pan zauważyć numer?

- Nie, ale to było volvo.

- I dlaczego pan powziął podejrzenie?
- Widziałem wyraźnie, że coś leżało na tylnym siedzeniu.

Jakaś pani z Hagsätra zadyszczonym głosem opowiadała, że jej sąsiad tak dziwnie się zachowuje w ostatnich dniach. Wciąż coś przybija i piłuje.

- Ale cóż to ma wspólnego...?
- Nie rozumie pan? Urządza dźwiękoszczelny pokój, żeby tam trzymać tę biedną dziewczynkę.

Kobieta prowadząca duży pensjonat w Vasastaden wystąpiła ze zdecydowanymi podejrzeniami wobec jednego ze swych lokatorów.

- A cóż on takiego robi?
- Jest lewicowy.
- Przecież to nie przestępstwo.
- No, ale tak się dziwnie zachowuje.
- Jak?
- Wciąż tylko patrzy na mnie.

Policjant z obowiązku zapisał nazwisko i adres dziwnie patrzącego lokatora.

I tak godzina za godziną. W czwartek o drugiej trzydzieści sześć zanotowano informację numer 344. Brzmiała tak:

- Halo, czy policja?
- Tak. Moje nazwisko Svensson.
- A moje Gustaw Enberg. Mam sklep z zabawkami przy Tulegatan.

- I czego pan sobie życzy?
- Parę dni temu pewna kobieta kupiła u mnie trzy ««maki.

- To interesujące - powiedział policjant ironicznie.
- Wydało mi się to dziwne. Na co dorosłej kobiecie trzy maski, wyobrażające Kaczora Donalda, Psa Pluto i Świnę.
- To rzeczywiście mogło dać do myślenia. A nie

przyszło panu do głowy, że ona urządza maskaradę?

- Możliwe, oczywiście. Jednak wydało mi się to dość osobliwe.

- Rozumiem - powiedział policjant nic nie rozumiejąc.

- Zbadamy to. Zna pan może tę kobietę?

- Nie. Osoba w wieku około dwudziestu pięciu lat. Dość elegancka.

Gdyby właściciel sklepu z zabawkami mówił całą prawdę, gdyby powiedział, że zna dziewczynę bardzo dobrze, gdyż bywa stałym gościem w jej burdeliku, może policjant okazałby większe zainteresowanie. Ale ponieważ Enberg był żonaty - żona bawiła na urlopie na Skärgården - nie chciał być w to wmieszany.

Uważał, że uczynił zadość swemu sumieniu. A swoją drogą w dalszym ciągu zastanawiał się, na co Ing-Marie potrzebne były te maski.

Gdy rano zaświtało i minęła doba od uprowadzenia Krystyny Sundelin i Anniky Bogren, policja wciąż nie miała żadnej wskazówki, która mogłaby stanowić punkt zaczepienia.

Większość sąsiadów Sundelina - wszystko ludzie dobrze sytuowani - była na urlopie. Pewien słomiany wdowiec o północy słyszał warkot ruszającego samochodu. Jakaś kobieta słyszała to samo około piątej rano.

Policja przesłuchiwała chłopaka, który w okresie wakacyjnym roznosił gazety na tej ulicy. Nie, nic niezwykłego nie słyszał ani nie widział.

- A jakiegoś samochodu w pobliżu?

- Nie, w, każdym razie żadnego, na który bym zwrócił uwagę.

- A zauważyłeś coś w domu Sundelina?

- Nie, mnie takie rzeczy nie obchodzą. Nawet nie wiedziałem, że tam mieszka premier.

I tak było ze wszystkimi. Nikt nic nie widział, nikt nic nie

słyszał. Nikt nie przywiązywał wagi do tego, co jakiś pomyłony sprzedawca zabawek powiedział o kobiecie, która kupiła maski. Pewnie na zabawę rakową*.

Wszyscy czekali, że porywacze ponownie dadzą o sobie znać.

Do tradycji szwedzkich należy urządzenie zabaw, na których podaje się raki (*przyp. tłum*).

Långholmen

Jens Fors wciąż nie miał pojęcia, że ma wszelkie widoki wyjścia na wolność w najbliższej przyszłości. Tak jak poprzedniej nocy leżał w swej celi nie śpiąc. Siedział przy nim ten sam dyżurny.

Fors rozczesywał rudą brodę. Był trochę podobny do Jana III. A w każdym razie miał tak samo błękitne oczy i rozrztargnione spojrzenie jak trochę narwany i interesujący się sprawami religijnymi przedstawiciel rodu Wazów.

Tej nocy Sven Johansson nie czytał powieści. Zastanawiał się nad tym, co czeka małowównego człowieka siedzącego w celi. Dokąd go wyślą? Albania? Korea Północna?

Jens Fors dalej rozczesywał brodę. Jego oczy miały wyraz marzycielski. Spojrzenie szukało kogoś czy czegoś w dali.

- Myślisz, że oni zrobią ze mnie niepoczytalnego?

Johansson spojrzał na niego. Nie oczekiwał, że Fors podejmie rozmowę.

- Trudno powiedzieć. Nie mam żadnych uprawnień, żeby wyrażać opinię co do tego.

- Uważam, że jestem zupełnie zdrowy. Trudno mi się czasem skoncentrować, ale to nie ma znaczenia.

- A ty sam czego byś chciał?

- Wszystko mi jedno. I tak zamkną mnie na wiele lat.

Gdyby on wiedział, pomyślał Johansson.

W pokoiku, gdzie umieszczono podsłuch, tej nocy było dwóch pracowników. Obaj z napięciem słuchali dialogu między Forsem i Johanssonem. Policja wiedziała już, że Johansson ma radykalne lewicowe poglądy. Sprawa ta była w ciągu dnia rozważana na najwyższym szczeblu. Uzgodniono, że Johansson ma dalej pracować jako dyżurny.

Johansson wiercił się na krześle. Ciężko było nie zwierzyć się temu człowiekowi. Johansson nie mógł zrozumieć, dlaczego nikt nie powiedział Forsowi o tym, co się wydarzyło. To właściwie przestępstwo, w ten sposób go traktować.

- Ty tu chyba dorabiasz extra?

- Skąd wiesz?

- Nie wyglądasz jak inni pielęgniarze. Studiujesz chyba?

- Tak. Widać to po mnie? - uśmiechnął się Johansson. Rozejrzał się. - Wydaje mi się, że ty i ja mamy jednakowe poglądy polityczne - powiedział.

Fors długą chwilę leżał milcząc. Wreszcie wsunął grzebień do szufladki na żółto polakierowanego stolika nocnego. Miał ładne ręce. Paznokcie krótko obcięte, tylko na kciuku nie.

- Aha - powiedział. - Nie przypuszczałem.

- Tak, przez parę lat byłem członkiem Komunistycznej Frakcji Marksistowsko-Leninowskiej.

W pokoju nad nimi taśma magnetofonu przewijała się z szumem, a dwaj tajniacy słuchali. Jednym z nich był małomówny komisarz, mieszkający w Skärholmen z żoną i trojgiem dzieci. Tego dnia był bardzo zadowolony. Udało się załatwić miejsca w przedszkolu dla dwojga młodszych. Żona będzie mogła znowu zacząć pracować. Może w przyszłym

roku stać ich już będzie na kupno willi.

- Trudno właściwie mieć inne poglądy - ciągnął dalej Johansson, trochę speszony, że Fors bez komentarza przyjął to, co mu przedtem ujawnił.

- Czy dziś było ciepło? - spytał Fors.

- Owszem, dość ciepło - odpowiedział Johansson nieco stropiony tą nagłą zmianą tematu. - Mówili wieczorem w dzienniku, że będzie jeszcze cieplej.

- To dobrze - lakonicznie stwierdził Fors.

Na chwilę zapanowała cisza. U policjantów magnetofon wciąż działał.

- Ciekaw jestem, jak się dziś czuje Sundelin - powiedział ojciec rodziny marzący o własnej willi.

- Okropność. Nie chciałbym być w jego skórze.

- Ja też nie. Nie zawsze dobrze jest mieć pieniądze i wpływy.

- Pieniądze?

- Sundelin jest nadziany - powiedział ojciec rodziny. - Myślę, że ma ponad pół miliona.

- Skąd możesz wiedzieć.

- Wiem i tyle.

W celi Fors wstał z łóżka. Odsunął przykrycie i zaczął wygładzać prześcieradło. Zmiotł kilka okruszyn, wyjął z szufladki tabliczkę czekolady, odłamał kawałek dla siebie i poczęstował dyżurnego.

- Chcesz?

- Dziękuję

Johansson powziął postanowienie.

- Właściwie nie powinienem ci tego mówić, ale masz wszelkie szanse, żeby wyjść na wolność.

A więc zostało to wreszcie powiedziane. Fors nie wyglądał na zbyt zaskoczony. Dokończył prześcierania łóżka.

- Co masz na myśli?

- Córeczka premiera i panienska, która się nią zajmowała, zostały w nocy porwane.
- I porywacze chcą mnie w zamian - powiedział Fors, jak gdyby to było coś najnaturalniejszego w świecie.
- Tak. Ale dlaczego jesteś tego taki pewny?
- Przez cały czas byłem przekonany, że otrzymam pomoc. Że oni nie zostawią mnie tak na pastwę losu.
- Jacy oni?
- Chciałbyś wiedzieć, ale zatrzymam to dla siebie.
- Nie ufasz mi? Możesz na mnie polegać. Nikomu nie powiem.
- Nigdy nie można mieć pewności. Jaką mogę mieć gwarancję, że jesteś naprawdę tym, za kogo się podajesz. Równie dobrze Sapo mogło cię tu podsunąć.
- Sapo - warknął Johansson z taką pogardą w głosie, że obaj podłuchujący policjanci spojrzeli na siebie z pewnym zażenowaniem. - Jeżeli myślisz, że coś im doniosę, mylisz się. To ci mogę zagwarantować.
- Nie oburzaj się tak - powiedział Fors. - Powinieneś rozumieć, że muszę być ostrożny.
- Do jakiego kraju chciałbyś być wysłany? - spytał Johansson.
- Do Irlandii.
- Odpowiedź była tak cudacka, że zarówno Johansson, jak policjanci drgnęli.
- Do Irlandii? - powtórzył Johansson niedowierzająco. - Chyba nie myślisz tego serio. Albo chcesz mnie nabrać.
- Wcale nie. Zawsze tęskniłem do Irlandii. Wydaje mi się taka uspokajająca.
- Musisz jednak zrozumieć, że Irlandia nie zechce cię przyjąć.
- Nikt mnie nie chce - powtórzył Fors z rezygnacją. - I tak było zawsze.
- A nie chciałbyś pojechać do Albanii? To kraj, który cię na pewno przyjmie.

- Naprawdę tak myślisz?
- Oczywiście. Dlaczego nie?
- A ty byłeś w Albanii?
- Tak, w zeszłym roku.

Johanssonowi coś przyszło na myśl.

- Dobrze byłoby, gdybyś zgolił brodę. Oni tam nie lubią brodatych i długowłosych.

Zupełnie niespodziewanie Fors wybuchnął śmiechem. Johansson pierwszy raz usłyszał jego śmiech: perlisty, zaraźliwy śmiech.

- A cóż w tym tak zabawnego? - spytał Johansson i sam się ostrożnie uśmiechnął.

- Bo pomyślałem sobie, że w Albanii nie należy mieć brody, a na Kubie jest to obowiązująca moda. Nie jest łatwo być socjalistą.

Żaden z nich nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Fors leżał z zamkniętymi oczami, podciągnąwszy kołdrę pod brodę. Za oknem celi świegotały ptaki.

W ciągu tego dnia statki turystyczne przepływały obok prastarego więzienia.

- And this is the Sing Sing of Sweden - informował przewodnik amerykańskich turystów.

- Is this the place where they have the murderer of our ambassador? - spytała Amerykanka o siwiejących włosach, dźwigająca majątek na rękach.

- I don't know but I should think so - odpowiedział przewodnik.

Turyści wyciągnęli kosztowne aparaty, by sfotografować stare więzienie.

Ing-Marie

Następnego ranka Bosse podwiózł Ing-Marie do stacji kolejowej Märsta. Stamtąd miała pociąg wahadłowy do

Sztokholmu. Jechała jak zwykle pozować. Miała prócz tego inne sprawy do załatwienia.

Märsta znajduje się w odległości około czterdziestu kilometrów od Sztokholmu. Pociągiem wahadłowym jedzie się czterdzieści dwie minuty. Ing-Marie miała na sobie elegancką i bardzo drogą suknię. W drodze czytała gazety poranne. Pełno było w nich reportaży o porwaniu.

Na pierwszych stronach obu porannych gazet znajdowało się zamieszczone w ramkach zawiadomienie, że jakaś nieznaną osobą przeznaczona 50 000 koron dla tego, kto dostarczy informacji umożliwiających Krystynie Sundelin i Annice Bogren bezpieczny powrót do domu.

Cóż, pięćdziesiąt tysięcy to pieniądze, pomyślała Ing-Marie.

Przyjechawszy do miasta najpierw wysłała list zaadresowany do znanego reportera od spraw kryminalnych w „Gazecie Wieczornej”. Potem kolejką podziemną udała się na Odenplan, a stamtąd piechotą przeszła kilkanaście metrów, dzielących ją od mieszkania przy Döbelnsgatan.

W „Nowinach Dnia” regularnie ukazywało się jej ogłoszenie: „Pozowanie w przyjemnym domowym zaciszu - i numer telefonu. Od czasu kiedy na pierwszej klasie gimnazjum skończyła wykształcenie, pracowała jako modelka. Zaczęła u kwalifikowanej masażystki przy Regeringsgatan. Tam nauczyła się podstaw. W owym czasie była to dość niewinna branża, teraz było dużo ciężiej. Znacznie ostrzejsza konkurencja i klienci coraz więcej żądali.

Ing-Marie od kilku miesięcy usamodzielniała się. Przez znajomości udało jej się wynająć mieszkanie przy Döbelnsgatan. Musiała płacić przerażająco wysokie komorne, gdyż gospodarz wiedział, że mieszkanie będzie zużytkowane na „atelier”. Posiadał parę kamienic dojrzałych do remontu

kapitalnego i dzięki takim zabiegom niektóre z tych nieruchomości nieźle mu się opłacały. Gospodarz, mianujący się dyrektorem, prowadził prócz tego kilka szulerni i finansował sklepy z narkotykami. Policja coś niecoś o tym wiedziała, ale nie mogła się do niego dostać. Był na to za ostrożny i za sprytny. Mali handlarze wpadali od czasu do czasu, ale nie wielkie rekiny.

Arne Risefelt też próbował szczęścia w tej branży, niezbyt świetnie mu jednak szło. Był za wygodny, chciał zarabiać dużo i prędko. No i te wieczne niepowodzenia z końmi. Interes z narkotykami wymaga natychmiastowego wykładania dużej gotówki, a Arne jej już nie miał. Właściwie był teraz tylko alfonsem.

Ing-Marie stanowiła źródło jego dochodów i zaczynało jej się to przykrzyć. Kiedyś kochała Arnego. Może i teraz jeszcze go kochała, ale już nie tak bez opamiętania. W dalszym ciągu jednak pociągał ją erotycznie. W łóżku był doskonały. Może nawet zbyt wymyślnie doskonały.

Gdy Ing-Marie doszła do domu przy Döbelnsgatan, przed bramą kręciło się już kilku klientów. Jednego poznała. Drugi zachowywał się właśnie tak, jak większość przygodnych klientów, nim zdobyli się na odwagę, by zadzwonić do drzwi z pięknie zdobionym sztyldzikiem.

W mieszkaniu zdjęła elegancką suknię i włożyła strój roboczy, sukienkę nylonową z zamkiem błyskawicznym z przodu, łatwo dającą się zdejmować i wkładać. Czas to pieńiądz.

Odezwał się dzwonek. Pierwszy klient. Mężczyzna mający ręce wyrobnika i północny akcent. Dobry klient, pomyślała Ing-Marie, tacy nigdy nie rozrabiają. Uśmiechnęła się do niego pięknie.

- Czego sobie życzysz? - powiedziała melodyjnym głosem. - Może cię coś uwiera? - i gest w stronę jego krocza.

- Ile kosztuje? - spytał.
- To zależy co.
- Przyrznięcie.
- Co za wyrażenie. Sto pięćdziesiąt.

Otworzyła przed nim drzwi.

- Rozbierz się tam. Zaraz przyjdę. Gumy są w szufladzie.

W siedem minut później Ing-Marie zarobiła pierwsze tego dnia sto pięćdziesiąt koron. Telefon nieustannie - dzwonił. Przyszła druga dziewczyna. Dziewiętnastoletnia Finka, uszczęśliwiona, że zarabia tyle pieniędzy. Musiała dawać Ing-Marie pięćdziesiąt koron od każdego klienta, resztę zatrzymywała. A potrzebowała pieniędzy, bo paliła haszysz i zaczęła już próbować heroiny. Ing-Marie wiedziała, że dziewczyna się zmarnuje, długo nie wytrzyma, ale niech się sama o siebie troszczy.

Około drugiej Ing-Marie powiedziała dziewczynie, że dziś wcześniej wyjdzie. Finka wyglądała na uradowaną. Do dziewiątej wieczorem sporo forsy jej wpadnie. Pieniądze na najpierwszą życiową potrzebę: na narkotyki.

Ing-Marie przebrała się. Wychodząc spotkała na schodach jedną ze „zwykłych” lokatorek. Stary babsztyl zacisnęła usta odwracając od niej wzrok. Byle mi tylko nie nasłała kogoś z Urzędu Mieszkaniowego, pomyślała Ing-Marie, o nic więcej nie dbam.

W bramie znowu się na kogoś natknęła. Dobrze ubrany, trochę tysięcący pan z parasolem.

- Cześć - powiedziała. - Dziś będziesz musiał niestety zadowolić się Raiją. Też chyba będzie dobrze.

- Zupełnie to samo to nie będzie. A nie wrócisz później?

- Nie. Dziś mam wolne popołudnie.

Pan zawahał się chwilę. Potem wszedł jednak na schody. Był to ten sam właściciel sklepu z zabawkami, który w nocy dzwonił do policji z wiadomością o kobiecie, która kupiła maski.

Zobaczywszy teraz Ing-Marie poczuł się ostatecznie uspokojony. Policjant miał oczywiście rację. Wszedłszy do atelier musiał zaczekać chwilę, bo Rai ją obsługiwała innego klienta. Sprzedawca zabawek, leżąc nago na szezlongu, patrzył w sufit.

Weszła Raija. Powiedział jej, że chce, by mu zrobiła masaż członka. Raija próbowała prowadzić konwersację.

- Czy to nie okropne z porwaniem tej małej dziewczynki?

- Tak - powiedział klient, który w tej właśnie chwili wcale nie miał ochoty na rozmowę. - Zwykle chodzę do Ing-Marie - ciągnął dalej - ale dziś ma wolne.

- Wczoraj też.

- Wczoraj też - powtórzył jak echo i znowu zaczął się zastanawiać nad tymi dziwnymi maskami. - Czy była na maskaradzie?

Raija na chwilę przerwała swą dość jednostajną pracę.

- Nie rozumiem, co mówisz.

W tej samej chwili Ing-Marie stała w budce telefonicznej na Sveavågen. Nakręciła numer i zażądała, by ją z kimś połączono. Ten ktoś był widać zajęty, bo długa chwila minęła, nim się zgłosił.

- Cześć, tu Ing-Marie.

- Czy nie mówiłem ci, żebyś do pracy nie dzwoniła? - powiedział zirytowany głos.

- Wiem, ale to jest ważne.

- Chyba nie takie ważne, żebyś nie mogła poczekać do wieczora.

- A skąd mogę wiedzieć, że złapię cię wieczorem?

- Zadzwoń tu po siódmej, wtedy będzie trochę spokojniej.

Ten, z którym rozmawiała, był asystentem w obyczajówce. Parę razy pomógł Ing-Marie bez żadnej łapówki. Zadzwo niła do niego, bo chciała się umówić na spotkanie po południu. Ing-Marie westchnęła. Jednak pięćdziesiąt

tysięcy to pieniądź. I czy w gazecie nie było napisane, że nagrodę otrzyma każdy, kto dostarczy wiadomości?

Ing-Marie, która w gruncie rzeczy była dość inteligentna, natychmiast pojęła, że w takim razie także, jeżeli to będzie ktoś ze sprawców.

Chwilę stała w budce zastanawiając się, czy nie zadzwonić do kogoś innego. Natychmiast jednak opamiętała się. To nie takie proste, zadzwonić do policji i powiedzieć: Dzień dobry. Jestem właścicielką burdelu, i tak dalej. Wiem, gdzie znajduje się Krystyna Sundelin. - Tak, a skąd? - Bo brałam udział w jej porwaniu.

Jednak pięćdziesiąt tysięcy to duży pieniądź. Jasne. Nigdy na serio nie wierzyła w ich wspaniały plan. Postanowiła wieczorem zadzwonić ponownie do swego przedstawiciela władzy.

Otworzyła drzwi budki, w której tuż obok aparatu stała pusta butelka po piwie. Rozejrzała się i pomyślała, że właściwie może wrócić do pracy.

Tuż obok zatrzymał się samochód.

- A, to tu chodzisz telefonować. Domyślam się, dlaczego - powiedział Arne. - Wskakuj, jedziemy do Märsty.

Usiadła obok niego. Samochód ruszył w północnym kierunku.

Bosse

Bosse był ogromnie zirytowany, że Arne pojechał do miasta przed południem i zostawił go samego z Krystyną i Anniką.

- Nie dowierzam Ing-Marie - powiedział Arne przed wyjazdem.

Bosse był przedtem na Arlandzie i kupił gazety.

- Wydaje mi się, że powinieneś być wcześniej o tym pomyśleć - odpowiedział Arnemu.

- Ta dziewczyna dla pieniędzy zrobi wszystko. Jak zobaczy, że może mieć pięćdziesiąt tysięcy za wsadzenie nas, skorzysta z okazji. Tak mi się zdaje.

- Przecież sama też brała udział.

- Jak nas wyda, będzie mieć sympatię wszystkich po swojej stronie. Na pewno wyszłaby z tego z zawieszeniem.

Bosse pomyślał, że równie dobrze mogłoby to dotyczyć Arnego albo jego samego, ale myśl nie przekształciła się, w słowa. Doświadczenie mówiło mu, że głośno wypowiedziane podejrzenie nie jest głębą odpowiednią do harmonijnego rozwoju współpracy w sprawie skomplikowanej.

- No, więc nie zaszkodzi upewnić się. Choć ja bardziej bałbym się tego, że się wstawi i po pijanemu coś wypaple.

- Nie sądzę - powiedział Arne. - Ale kiedy poczuje zapach większej forsy, to zupełnie co innego.

- All right. Więc jedź i postaraj się jak najprędzej być z powrotem.

- Wrócę około czwartej - powiedział Arne i odjechał.

Bosse usiadł w kuchni. Wypił filiżankę kawy. Od czasu do czasu słyszał cienki głosik małej. Najwidoczniej zaczynała jej się przykrzyć siedzenie w ciasnym pokoju. Bosse nie obawiał się, że Annika spróbuje ucieczki, okna w pokoju były zabite z zewnątrz.

Bosse był człowiekiem cierpliwym, umiał czekać. Nieraz bywał do tego zmuszony. Przeważnie jednak opłacało się.

Drgnął, wyrwany z zamyślenia, gdy rozległo się pukanie. Z wewnątrz, z pokoju, gdzie siedziały Krystyna i Annika. Drzwi otwierały się w stronę kuchni. Bosse przekręcił klucz i cofnął się o kilka kroków.

- Otwarte - powiedział.

Drzwi uchyliły się ostrożnie i stanęła w nich Annika. Wyglądała na zmęczoną. Spoza niej wyrzała Krystyna, aż spocona

ze złości. Bossemu wydało się, że Annika ma jakiś dziwny wyraz w oczach i bacznie mu się przygląda.

- A gdzie Kaczor Donald i Pies Pluto? - wykrzyknęła Krystyna i została skarcona surowym spojrzeniem Anniki.

Ależ wpadłem, pomyślał Bosse. Zapomniałem włożyć maskę. Wielkie nieba!

- Sprzykrzyła nam się ta zabawa - odpowiedział, na pozór zupełnie obojętnie. - Ale jeżeli chcesz, mogę ci wyczarować Kaczora Donalda.

- Czy nie mogłybyśmy trochę wyjść? - spytała Annika.

- Nie sposób trzymać takie małe dziecko przez cały dzień w zamknięciu.

- Chcę popatrzeć na konie! - zawołała Krystyna.

- Idźcie przodem. I pamiętaj, że cały czas jestem tuż za wami.

Annika wzięła Krystynę za rękę. Bosse podążał za nimi jak cień. Rękę wsunął do kieszeni, w której miał ukryty mały pistolet. Zagryzał wargi. Jak mógł zapomnieć o masce! Nie takie ważne, że Krystyna zobaczyła jego twarz, ale Annika. Niedobrze się stało.

Nigdy właściwie nie był w pełni zadowolony, że na kryjówkę wybrano to gospodarstwo. Wciąż tu słychać przelatujące samoloty, łatwo więc zorientować się, że miejsce jest położone blisko lotniska, a tylu znowu lotnisk do wyboru nie ma, żeby policja nie trafiła wkrótce na właściwe.

To by jednak w pierwszym rzędzie dotknęło Arnego. Dopiero teraz Bosse siebie naraził na niebezpieczeństwo. Był notowany w kartotece policyjnej, Annika z pewnością by go poznała. A wtedy koniec.

Znaleźli się w pobliżu koni, pasących się na łące. Jedna z klaczy podeszła do bariery. Krystyna odskoczyła, gdy wielkie zwierzę znalazło się tuż przy niej.

- Nie bój się - powiedział Bosse swym spokojnym głosem.

- Ty mówisz jak Kaczor Donald - stwierdziła Krystyna.
- A gdzie Świnka?

- Pojechała do miasta po sprawunki, ale wróci wieczorem.

- Świnka robi zakupy! - powiedziała Krystyna roześmianym głosem. - Mogę poklepać konia?

- Możesz zupełnie spokojnie.

Krystyna wyciągnęła rękę, natychmiast ją jednak cofnęła, gdy klacz wysunęła głowę.

- Ten koń chce mnie ugryźć! - zawołała.

- Nie, wcale nie. Ona chce z tobą porozmawiać.

Głos Anniki był spokojny. Krystyna spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Skąd wiesz, że to dziewczynka?

- Poznaję po ogonie.

Krystyna miała niedowierzającą minę, ale zadowolona się tą odpowiedzią. Poklepała konia po pysku, lecz zaraz potem cofnęła rękę.

Dzień był piękny, słońce grzało. Muchy bzyczały, beładnie krążąc nad głowami koni. Bosse pocił się i wycierał czoło rękawem kraciastej koszuli. Przez cały czas trwał w napięciu, ani na chwilę nie spuszczał Anniki z oczu.

Gospodarstwo leżało na zalesionym wzgórku. Na wąskiej drodze u stóp wzgórza rozległ się warkot samochodu. Bosse nastawił ucha. Chyba ciężarówka. Wielka platforma transportowa. Dostrzegł ją, gdy mijała zakręt w odległości jakichś dwustu metrów.

- Szybko do domu! I ani mru mru. Pamiętaj, inaczej może się to źle skończyć dla ciebie i dla dzieciaka.

Bosse był tuż za Anniką, czuła jego oddech na karku. Krystyna ciekawie patrzyła na wielki samochód. Annika szybko pociągnęła ją za sobą.

- Prędko do domu! - powiedziała przerażonym głosem.

- Ja chcę tu zostać!

Dopadły drzwi, gdy samochód wjeżdżał w podwórze.

Przy kierownicy siedział ciemnowłosy mężczyzna o ostrych rysach i bokobrodach sięgających aż po kąciki ust. Bosse zamknął drzwi na klucz. Ogromny pojazd właśnie niezdarnie wykręcał. Bosse był pewien, że kierowca nie widział ich na łące.

- Do pokoju - rozkazał szeptem.

Weszli do pokoju. Bosse ostrożnie wyjrzał przez szparę w zasłonach. Widział, jak mężczyzna wyskoczył z szoferki i zniknął za samochodem. Po paru minutach opuścił tylną ścianę platformy. Podeszedł do furki w ogrodzeniu łąki, otworzył. Wprawną ręką wziął za uzdę jedną z klaczy. A ona bez oporu dała się wprowadzić na pomost platformy. Powtórzywszy ten zabieg jeszcze dwa razy kierowca nie bez trudu zamknął platformę i wyciągnął z kieszeni kamizelki paczkę papierosów. Z kieszeni dżinsów wyłowił zapalniczkę. Spod kracastej czapki wysuwały się gęste czarne kędziory. Oparwszy się o samochód spokojnie wypalił papierosa. Starannie zdeptał niedopałek.

Bosse przez cały czas przyglądał się temu z ukrycia. Przekłęty Arne. Jak zwykle bujał. Przysięgał na wszystkie świętości, że nikt tu nie przyjedzie. To pewnie jakiś stary znajomy i wspólnik. Musi mu być winien pieniądze.

Przypuszczenia te były najzupełniej słuszne. Był to dżokej, Hasse Morén, przyjechał po konie, które Arne oddał mu w zastaw za nie opłacone treningi. W takich sprawach Morén postępował bez żadnych ceregieli, to pewnie było powodem, że wiodło mu się nieźle w trudnym zawodzie, jaki sobie wybrał.

Boże drogi, idzie tu, pomyślał Bosse.

Morén wolno ruszył ku domowi. Przekonawszy się, że drzwi są zamknięte, podeszedł do kuchennego okna, zajrzał. Nikogo tam nie było, zobaczył tylko różne rupiecie, między innymi trzy maski. Teraz podeszedł do okna, przy którym stał Bosse. Zasłony były szczelnie zaciągnięte. Po chwili Bosse usłyszał oddalające się kroki.

- Dlaczego on tak stoi? - zaszcebiotała Krystyna.

Annika położyła jej rękę na ustach.

- Kochanie, bądź cicho. Musisz... musisz...

Bosse znowu zrobił maleńką szparkę. Tamten szedł do samochodu. Wsiadł do szoferki. Włączył silnik. W pół minuty później na dziedzińcu było pusto.

- Mamy szczęście - powiedział Bosse. - A mało brakowało.

- Szczęście! - parsknęła Annika. - Szczęście!

- Myślę, że to przede wszystkim jego szczęście, że nas nie widział - powiedział Bosse bardzo grzecznie i spokojnie. - Dla pozostałych pewnie też - dodał.

Krystyna siedziała na podłodze bawiąc się jedną z zabranych z domu lalek. Drobnymi niecierpliwymi palcami usiłowała zdjąć jej sukienkę. Nie udawało się, podała więc lalkę Annice, która machinalnie pomogła ją rozebrać.

- Co zamierzacie z nami zrobić?

- Jesteście towarem zamiennym - odpowiedział Bosse.

- Bardzo cennym towarem.

- Jak pan może! Rozumiem, że tamci. Ale pan!

Bosse wzruszył ramionami.

- Proszę nie mówić tamtym, że widziała mnie pani bez maski. To nie byłoby dobrze.

Dziewczynka dalej bawiła się beztrosko. Kołysała lalkę nucąc jej.

- O to nie musi pan prosić. Ja się go boję.

- Kogo się boisz? - zainteresowała się Krystyna.

- Kogoś, o kim rozmawiamy. Podgląda. Wczoraj stał pod oknem i usiłował zajrzeć.

- Proszę robić to, co mówię, a o resztę się nie martwić. On też robi to, co mu powiem.

- Mam nadzieję, że mogę na tym polegać. Czasem się zastanawiam, czy w ogóle stąd wyjdę.

- Z pewnością. Parę dni musi trwać, zanim się wszystkim załatwi.

Zapanowała cisza, tylko Krystyna rozmawiała z lalką.

- Nic się nie bój - mówiła do niej. - Niedługo pojedziesz do domu, do dziadka.

Bosse zagryził wargi i wyszedł do kuchni. Drzwi zostawił uchylone. Byle tylko załatwić wymianę, a najgorsze miałby za sobą. Gdyby mógł polegać na Arnem. Ale z nim nie było łatwo. Zbyt impulsywny i leci na każdą babską spódnicę. I te jego zagmatwane interesy. Czysty przypadek, że ten z ciężarówką nie wlaźł do mieszkania. Bosse napełnił wodą rondel i ugotował kawę na maszynie elektrycznej. Gdy była gotowa, zaniósł Annice filiżankę, sam wypił w kuchni dwie.

Ciekawe, czy pięćdziesiąt tysięcy bardzo kusi Arnego, myślał. A jaką siłę przyciągającą ma taka suma, jeżeli chodzi o mnie samego? Uśmiechnął się i wypił ostatni łyk kawy. Wyskrobał cukier z dna filiżanki. Podłożywszy ręce pod głowę, przechylił się w fotelu. Zmęczenie go obezwładniło. A w nocy trudno mu było zasnąć. W ciągu dwóch ostatnich nocy najwyżej trzy godziny przespał, a to za mało. Czuł, że nie przezwycięży senności. Zmoczył ręcznik i wytarł twarz. Trochę pomogło, ale nie na długo. Zerknął na zegarek. Arne powinien być lada chwila. Bosse wciąż spoglądał w stronę drogi.

Arne wrócił dopiero po godzinie. Był sam.

Zaufanie

Jan Olsson obudził się wcześniej, jak każdego ranka. Szybko wciągnął spodnie i poszedł do łazienki. Jedno spojrzenie w lustro ujawniło, że jest mocno szczeciniasty. Bez wahania posłużył się przyrządami do golenia, które wczoraj przysłano dla premiera. Ogolił się szybko mocnymi pociągnięciami żyletki. Nawet nie opłukał twarzy, tylko wytarł ręcznikiem.

Wyszedł na korytarz, siedział tam drugi policjant. Obaj z Olssonem czuwali przez całą noc na zmianę.

- Było coś? - spytał Olsson.
- Nie. Zupełny spokój. Nic się nie działo.
- Telefonował ktoś?
- Do Sundelina tak, do nas nikt.
- Zejdę do portiera, zobaczę, czy są już gazety - powiedział Olsson.

Zjechał windą do recepcji. Mimo że był dopiero wczesny ranek, czekało tam wiele osób. Olsson domyślał się, że to dziennikarze. A jeżeli tak, to większość redakcji już wie, że Sundelin przebywa w hotelu.

Zagadnął recepcjonistkę, czy gazety już są. Były. Kupił „Nowiny Dnia” i „Gazetę Szwedzką”. Szybko przejrzał pierwsze strony, by przekonać się, czy prasa czego nie wywęszyła. Nic, o czym policja nie wie.

Wstępniak w „Gazecie Szwedzkiej” zawierał stwierdzenie, że skrajna lewica wreszcie ukazała prawdziwą twarz. Wyrażał nadzieję, że „przy całym tragizmie” jest to pożyteczna lekcja dla wielu, zwłaszcza dla „Gazety Wieczornej”. Choć pod tym względem - wywodził autor artykułu wstępnego - nadzieje są raczej niewielkie.

Przeglądając gazety Olsson obserwował jednocześnie przedstawicieli wolnej prasy. Rozpoznał reportera z Radia Szwedzkiego - zdradzała go torba z magnetofonem - i Pera Lunda z Agencji Prasowej. Z tym ostatnim zetknął się wiosną z okazji oficjalnej wizyty zagranicznej. Lund czytał wystrzępioną angielską książkę w tanim wydaniu.

Olsson ściągnął windę. Właśnie miał do niej wejść, gdy tuż za nim ktoś się pojawił.

- A więc to prawda, że premier jest tu w hotelu - powiedział Lund.
- Jak się masz. Nie bardzo rozumiem, o czym mówisz.

Mieszkam tu w Parkowym, bo u mnie remont.

- Cieszy mnie ogromnie, że w policji tak dobrze pracownikom płacą i stać ich na luksusowe hotele. Mogę wjechać razem?

- Ja w żadnym razie temu nie przeszkodzę - powiedział Olsson i nacisnął guzik. - Tutaj - powiedział, gdy drzwi się rozsunęły.

Lund wyszedł, Olsson z nim, w ostatniej minucie, nim drzwi się ponownie zasunęły, wskoczył i pojechał na najwyższe piętro. Stamtąd zbiegł na piętro właściwe. Był to oczywiście trick bardzo prymitywny i Lund na pewno wyniucha, gdzie mieszka premier. A jednak Olsson czuł się zadowolony, że udało mu się nabrać dziennikarza.

Zamieniwszy parę słów z kolegą, zniknął w apartamencie premiera. Drzwi do sypialni były otwarte, z łazienki dochodził szum wody. Olsson usadowił się na krześle i wziął do dokładnego czytania gazet. O ile się zorientował, nie zawierały nic prócz faktów już znanych, różnych domysłów i spekulacji.

Amerykański korespondent „Nowin Dnia” donosił, że rząd Stanów Zjednoczonych nie zamierza stawać na przeszkodzie tej wymiennej transakcji: morderca ich ambasadora jako fant. Możliwe jest natomiast, że to wydarzenie opóźni jeszcze mianowanie nowego przedstawiciela w Szwecji.

Prasa w dalszym ciągu zajadła debatowała nad tym, do jakiego kraju zostanie wysłany Jens Fors. „Nowiny Dnia” stać było na to, by wysłać reportera do Tirany dla spenetrowania nastroju. Tego niewykonalnego zadania podjął się zdolny dziennikarz i zdołał w każdym razie nadesłać reportaż, choć oczywiście nie udało mu się zobaczyć z żadną z osóbistości należących do władz, jedynie z urzędnikiem do spraw informacji.

Olsson zawsze czytywał gazety jak najskrupulatniej. Zgodnie z radą, jakiej udzielił mu kiedyś jeden ze starszych

kolegów. Nawet ogłoszenia zwykle czytał.

- Zawsze dobrze jest znać jak najwięcej danych - miał ów kolega i Olsson przyznawał mu rację.

Czytał szybko, co okazywało się cenną zaletą, gdy przychodziło do studiowania rozpraw i raportów, które nieubłagane władze mu powierzały. Doszedł już do strony zawierającej wiadomości sportowe i poświęcił chwilę liście startów Solvalla. Olsson pasjonował się końmi, natomiast żądę gry ograniczał do minimum. Znał ludzi, którzy ugrzęźli w hazardzie. Przypominał sobie pewnego osobnika, który stał się zupełnym wrakiem. Nie miał nawet odwagi przyglądać się gonitwom.

Była już prawie siódma, gdy Sundelin wyszedł z łazienki. Wyglądał jak zwykle rześko, tylko oczy go zdradzały, zmęczone, roztargnione spojrzenie.

- Dzień dobry - powiedział.

- Dzień dobry. Jak się spało?

Olssonowi wciąż trudno się było zdobyć na tykanie premiera. Uważał, że w ogóle przestawanie z osobistościami jest uciążliwe.

- Niespecjalnie - odpowiedział Sundelin. - Może byśmy zjedli śniadanie?

Olsson spojrział na zegarek.

- Tak, zaczynają już podawać - odpowiedział. - Czy mam zadzwonić?

- Proszę o kawę, grzanki i jajko na miękko. Zamów też gazety.

- Byłem już na dole i kupiłem.

Olsson zebrał gazety i zadzwonił po śniadanie dla premiera i dla siebie.

Został w pierwszym pokoju, a Sundelin ubierał się w sypialni. Zadzwonił telefon. Sundelin zamknął drzwi i odebrał telefon. Była to krótka rozmowa. Drzwi otwarły się już po minucie.

- Załatwiłem tak, żebyś, póki to trwa, był moją stałą ochroną. Mam nadzieję, że nie będzie to długie odkomenderowanie.

Olsson nie był tym zachwycony. Sundelin, ze swym nieprzerwanie działającym detektorem wykrywającym nastroje, natychmiast to zauważył. Zwrócił się do policjanta ze słowami:

- Potrzebuję kogoś, kogo znam i na kim mogę polegać.
- Powiniennem oczywiście być wdzięczny za takie zaufanie, lecz z pewnością są i inni, którzy by równie dobrze wypełniali podobne zadanie.
- Nie wątpię. Ale chcę mieć tu ciebie. Chyba przynieśli już śniadanie.

Olsson otworzył drzwi. Stała tam kelnerka z tacą. Tym razem nie była to dziennikarka. Olsson zabrał tacę i zaniósł do Sundelina. Położył przed nim nakrycie i chciał resztę zabrać do pierwszego pokoju, ale Sundelin zaprotestował.

- Zostań. Usiądź ze mną - powiedział.

Olsson znowu poczuł irytację. Nie lubił towarzystwa przy jedzeniu. Czasami, gdy wyjeżdżał w delegację z kolegami, wymyślał różne preteksty, żeby móc zjeść spokojnie.

Sundelin, jeżeli nawet zauważył niezadowolenie Olssona, nie dał mu tego poznać. Ściął czubek jajka i wziął się do jedzenia. Jadł szybko, w skupieniu, nic nie mówiąc.

Dopiero po wysączeniu ostatniego łyka kawy spytał, czy wielu jest dziennikarzy na dole.

- Kilku.
- Znasz któregoś?

Olsson powiedział, kogo rozpoznał między reporterami.

- A więc Lund tam był - powiedział Sundelin z zadumą.

- Dowiemy się, czy jeszcze jest. - Podniósł słuchawkę.
- Może będzie pani uprzejma dowiedzieć się, czy w hallu jest redaktor Lund.

Minęło kilka chwil. Uwagę Olssona zwróciło, że Sundelin

poci się obficie, choć w pokoju wcale nie było gorąco.

- Dobrze, dziękuję. Chciałbym z nim mówić. Cześć, Lund. Tu Sundelin. Czy zainteresowałby cię może wywiad ze mną, tu na górze, w pokoju?

Roześmiał się krótko z czegoś, co mu pewnie Lund powiedział. Podał numer pokoju, w którym mieszka, i odłożył słuchawkę.

- A więc to tak! Oszukujesz prasę.

- Opowiedział tę historię z windą?

Sundelin kiwnął głową.

- Szczerze mówiąc, myślałem, że nie chcesz, żeby cię dziennikarze nachodzili tak od samego rana. Jeśli było to mylne przypuszczenie, proszę wybaczyć.

- Ależ jasne, że postąpiłeś słusznie - zapewnił Sundelin.

- Lund jednak jest oburzony. Bądź z nim ostrożny. Wygląda na gapiowatego, a w rzeczywistości jest bardzo bystry. Każdego wykiwa, nie daruje swojej ofierze. Niby naiwny, ale tylko niby.

- Znam go trochę od zeszłej wiosny. Wiem, że trzeba być czujnym. Wyjdę mu na spotkanie, żeby nie miał trudności z tym drugim z obstawy.

Lund szedł właśnie rozglądając się po korytarzu, gdy Olsson wyjrzał z apartamentu. Szybko uprzedził kolegę, że ten dryblas w okularach ma zezwolenie na wizytę u Sundelina.

- Brzydko jest oszukiwać - rzekł Lund wchodząc do apartamentu.

- Działalem dla dobra służby.

- Niebezpieczne przyzwyczajenie.

Sundelin przywitał gościa jak serdecznego przyjaciela. Spytał, czy już jadł śniadanie. Nie jadł. Więc Olsson znowu musiał zamówić, tym razem płatki owsiane z mlekiem i piwo na zakończenie.

- Chciałbym, żeby moja wypowiedź możliwie najszybciej została rozesłana przez PAT. To zapobiegnie przekręceniom i

pomyłkom, a ja będę mieć lepszy wgląd w całość.

Lund wyciągnął z kieszeni welwetowych spodni sfatygowany notatnik. Łagodne psie spojrzenie utkwiał w premierze.

- A co chcesz natychmiast podać do wiadomości?
- Apel do porywaczy.

Głos Sundelina brzmiał trochę niepewnie. Nie znajdował się na wypróbowanym, dobrze znanym gruncie. Musiał poruszać się po omacku i bardziej niż zwykle polegać na intuicji.

- Oczywiście, że w tej sprawie pomożemy - powiedział Lund i szczerze oddanie zabrzmiało w jego głosie. - Dużo myślałem o twojej córeczce i o tobie.

- Najgorsza jest niepewność - rzekł Sundelin. - To że nie wiadomo, czego można się spodziewać za następnym razem.

- Wyczekiwanie musi być ciężkie - powiedział dziennikarz z długopisem na kartce notatnika.

- Okropne. Mówię ci to w największym zaufaniu, Pelle, o tym oczywiście nie pisz, wydaje mi się, że znaleźliśmy odpowiedni kraj, do którego można będzie wysłać Forsa.

- Czy mogę wiedzieć, jaki?

- Nie, nawet tego nie możesz wiedzieć. Nie wolno mi ryzykować, póki nie jestem pewien. Ułożyłem sobie mały apel, w takim mniej więcej sensie: Robimy, co w naszej mocy, żeby wysłanie Forsa do jakiegoś odpowiedniego kraju zostało jak najszybciej załatwione. Związane z tym formalności potrważą kilka dni. Proszę, by Annika Bogren i moja córka mogły spokojnie przetrwać ten czas. Sądzę, że to wystarczy.

- Nic więcej nie chcesz zamieścić?

- Nie. Wolałbym jednak, żeby nie zostało to opublikowane w wieczornych gazetach. Da się to chyba załatwić.

- Oczywiście, ale ci z organu rządowego nie będą chyba zadowoleni.

- Jeżeli masz na myśli „Gazetę Wieczorną”, uważam, że używasz nieco mętnego sformułowania. Przypuszczam, że zostanie to odczytane w Radio?

- Tego możesz być całkowicie pewien.

Lund schował notatnik i wziął się do śniadania. Sprzątnąwszy wszystko, wyciągnął tabakierkę.

- Czy mogę już iść?

Premier podziękował z uśmiechem i Lund opuścił pokój. Olsson, który przez czas rozmowy siedział cicho, wziął teraz za słuchawkę.

- Tu Olsson. Dziennikarz, nazywa się Per Lund, pracuje w PAT. Sprawdź go. Zwykła formalność.

- Nie bardzo ufasz ludziom. - Głos premiera był niemal rozżalony. Zupełnie, jakby nie chciał być coraz bardziej odzierany z iluzji.

- Owszem - powiedział Olsson - ale chcę mieć spokój. Nigdy nie można być zupełnie pewnym. Lepiej o czymś dowiedzieć się z góry, niż żeby to potem wytknięto.

- Czy nie jest uciążliwe, zawsze wszystkich podejrzewać, mieć wątpliwości co do pobudek ich postępowania?

- Czasem może i tak, ale nie wydaje mi się, żeby na przykład wśród polityków było inaczej. O ile mnie wiadomo, politycy też muszą dobrze niuchać, by móc przejść do ofensywy wobec swoich rywali.

- Trudno na ludziach polegać - przyznał Sundelin.

Bosse i Arne

Arne zaparkował samochód w podwórzu i poszedł do kuchni, do Bossego. W koszulce polo i w dobrze skrojonych jasnych spodniach wyglądał jak zwykle na wcielenie uczciwości i szczerości. Bosse spojrzał na niego ze złością.

- Co ci jest? - spytał Arne.
- Mnie nic. A ty uważasz, że wszystko jest w porządku? Niczego ci nie brak?
- A czego miałyby mi u licha brakować? Niczego prócz jedzenia, picia i babki - dość niezręcznie usiłował żartować Arne.

- Wyrzyj przez okno, może skapujesz.

Arne ociągając się podszedł do okna. Wyrzał niepewnie i kącik oka drgnął mu nerwowo. Oparł się o parapet. Jeszcze nie widział, ale przeczuwał, co się stało.

- Konie zniknęły - powiedział.

- A właśnie, zniknęły. Myślisz może, że się uniosły w powietrze i odleciały?

- Morén musiał je zabrać.

- Nie wiem, kto to był, ale czysty przypadek, że nas nie nakrył.

- Czarny, chudy facet z bokobrodami?

- Tak. A przecież mówiłeś, że nikt tu nie przyjedzie. Czy jest więcej takich, którzy mogą się tu zjawić lada chwila, bo winien im jesteś pieniądze? Co za dureń ze mnie, żeby zadawać się z amatorem!

- Jego należność za treningi była zabezpieczona w koniach - powiedział Arne i ku swemu zdziwieniu zauważył, że mówi prawdę.

Przed Bossem trudno było udawać. Gdy wlepił te swoje ciemne ślepie w człowieka, niełatwo było wymyślić jakąś prawdopodobnie brzmiącą historyjkę.

- Potrafisz łączyć żywe oczy, ale tym razem wyjątkowo trzymaj się prawdy. Czy jest obawa, że zjawią się inni?

Arne wciąż stał przy oknie, nie odwracając się. Odpowiedź była odburkliwa i ledwie słyszalna.

- Nikt inny tu nie przyjdzie, chyba przypadkowo. Morén wiedział, że mam tu konie. On jest jak kamień, jeżeli chodzi o pieniądze. Nie może stracić.

Arne gwałtownie podszedł do stołu, na którym postawił

swą elegancką dyplomatkę, i wyjął z niej butelkę wódki. Bosse zauważył, że już z niej musiał przedtem porządnie pociągnąć. Sięgnął po kieliszek, nalał sobie, bez żadnego zapraszającego gestu w stronę Bossego.

- I jeszcze jedno - powiedział Bosse. - Ta dziewczyna mówi, że się wczoraj skradałeś pod jej oknem. Nie chcę słyszeć o czymś podobnym.

- Chcesz ją pewnie dla siebie zachować.

Bosse gwałtownie podszedł do Arnego, który odskoczył z wyrazem przestraszenia w oczach.

- Drogi przyjacielu - łagodnie powiedział Bosse - tobie nic do tego, czego bym chciał dla siebie, a czego nie. To ty mnie potrzebujesz, nie ja ciebie. Za miękki jesteś w krzyżu, żeby stanąć na własnych nogach.

Arne wciąż był przestraszony, ale ambicja pchała go do stawiania oporu.

- Ja włożyłem w to pieniądze.

- A ja rozum. I ja rządę.

Pięść Bossego z błyskawiczną szybkością uderzyła w przepoń Arnego, który jęknąwszy osunął się na kolana, a gdy z trudem usiłował złapać oddech, łagodny głos zapytał:

- Czy nie tak, panie Risefelt? Kto tu jest szefem, ty czy ja?

- Ty - wyjąkał Arne i poczuł mdłości.

- Wyjdź, jeżeli masz zamiar rzygać.

Arne całym wysiłkiem stłumił mdłości i podniósł się powoli. Ból i złość, której nie mógł dać ujścia, wykrzywiły mu twarz. Znowu sięgnął po butelkę i chciał ją przytknąć do ust, ale Bosse mu ją zabrał.

- I tym się zajmę - powiedział. - Wystarczy, że Ing-Marie wciąż żłopie.

Arne nie zaprotestował, poszedł ku drzwiom.

- Jeżeli masz zamiar wyjść, włóż maskę, oczywiście jeżeli ci zależy na tym, żeby cię nie rozpoznała.

Złość wciąż uderzała mu do głowy falami krwi, gdy szedł do dyskretnego domku w podwórzu. Mimo woli obejrzał się. W drzwiach kuchni stał Bosse i patrzył. Przekłęty kundel.

Arne długo zabawił w ustronnym miejscu. Z dziesięć minut siedział w ustępie, który Ing-Marie ozdobiła starymi makatkami bożonarodzeniowymi. „Prosiak i szynka, w jabłuszkach choinka”, wypisane było na jednej, na której krasnoludek w czerwonej czapie wznosił kufel pianistego piwa.

Gdy Arne wreszcie wyszedł, Bosse wciąż stał w drzwiach na straży.

- Już myślałem, żeś poszedł tam, żeby się powiesić.

Przez krótką chwilę Arne wpatrywał się w niego z wściekłością, potem opuścił oczy, był bliski łez. Wciąż czuł ból w okolicy przepony. Machinalnie masował obolałe miejsce, gdzie Bosse wbił twarde palce w plexus solaris.

- Jak było w mieście? - spytał Bosse w chwilę później, gdy jedli obiad przy kuchennym stole.

- O niczym innym nie mówią, tylko o tym - odpowiedział Arne, wskazując ruchem głowy zamknięty pokój.

- Spotkałeś się z Ing-Marie?

- Tak. Ma mnóstwo pracy. Nie wiadomo, czy zdąży przyjechać tu wieczorem.

Oczy Bossego zwężyły się.

- Jest nam potrzebna przy małej.

- E, ta dziewczyna sama da radę. A jeżeli nie, to zadzwoń i powiedz, żeby przyjechała.

Arne rozumiał, że jest to krytyczny moment w historii z Ing-Marie. Jeżeli Bosse zadzwoni teraz do atelier, Raija przyjmie telefon i może powiedzieć, że Ing-Marie nie ma i nie było przez całe popołudnie.

- To zbyt cenne, ale nie podoba mi się, że nie trzymamy się planu.

- Tylko że z drugiej strony potrzebne nam są pieniądze,

które ona zarabia - powiedział Arne.

- Tak, zwłaszcza tobie. Wybadałeś, czy leci na nagrodę?

- Nie. Dlaczego miałbym to robić. Sprawdziłem tylko, że jest w atelier. Myliłem się jednak. Można jej ufać.

- Dochodzi w pół do siódmej - powiedział Bosse. - Żebyśmy nie przegapili wiadomości.

Arne włączył aparat. Uroczysty głos podał prognozę pogody. Potem nastąpiła informacja, że „echo dnia” będzie w znacznej mierze poświęcone sprawie porwania. Rozpoczęto od apelu premiera. Obaj wsłuchiwali się uważnie w każde słowo spikera. W ciszy dosłuchali końca części o porwaniu. Potem dopiero Bosse przerwał milczenie.

- Wygląda na to, że wszystko zagra - powiedział. - Ale jeszcze parę dni trzeba czekać. A łatwe to nie będzie.

- Wiedziałem, że się uda - powiedział Arne. - Ani przez chwilę nie wątpiłem.

- Jeszcze dużo brakuje do tego, żeby się udało. Musimy być bardzo ostrożni. Inaczej wszystko może iść w diabły, nim się opatrzymy. Nie podoba mi się, że Ing-Marie nie ma. Jej dużo łatwiej zajmować się tymi dwiema.

Właśnie rozległo się pukanie z wewnątrz pokoju i dał się słyszeć głos Anniki:

- Musimy wyjść przed położeniem się spać.

- Mogę z nimi pójść - ofiarował się Arne i zaczął wciągać maskę Psa Pluto.

- O nie. Ja to załatwię.

Bosse wcisnął maskę Kaczora Donalda na twarz. Głupio się czuł w tym błazeńskim przebraniu. A jednocześnie odczuwał lęk, że Krystyna może wypaplać, zdradzić, że widziała go przedtem bez maski.

Wypuścił je. Annika nie zaszczyciła spojrzeniem Arnego. Krystyna miała tajemniczą minę. Annika dokładnie ją poczytała, czego nie wolno, więc zdecydowanie nie zamierzała

ani słówkiem pisnąć o tym, co się zdarzyło za ama. Nie mogła się jednak tak zupełnie powstrzymać.

- A ja coś wiem, a ty nie - powiedziała do Psa Pluto mijając go w drodze do drzwi.

Arne, który nie cierpiał dzieci, nie odpowiadał. Pod maską oddech robił się gorący i lepki. Jedna tylko z tego korzyść: mógł się gapić na Annikę, ile mu się podobało, bez zwracania uwagi Bossego. Mamy czas. Przyjdzie i jej kolej. Będzie wtedy musiała zejść z wysokiego konia. Bosse zresztą też. Co on sobie właściwie myśli!

Po paru minutach Bosse wrócił z dziewczętami. Annika, trzymała Krystynę za rękę. Szybko zniknęły w pokoju.

- Dobranoc - powiedział Bosse przekręcając klucz.

Adwokat

Obrońca Jensa Forsa był wziętym adwokatem około pięćdziesiątki. Fors zażądał, by mu przydzielono Arvida Brodina, a Brodin zgodził się.

Właśnie w chwili gdy Bosse i Arne słuchali ostatnich wiadomości, był w drodze do swego klienta, by go ostrożnie przygotować na bliskie uwolnienie i przewiezienie do innego kraju.

Brodin był dość niski i nieco zaokrąglony. Poruszał się szybko i kanciasto, pasemko uczesanych z przedziałkiem włosów zawsze zwieszało mu się na czoło, wciąż poprawiał okulary. Brodin był człowiekiem zamożnym, z dobrze wypchanym portfelem akcji. Fakt, że prywatnie był kapitalistą, nie przeszkadzał mu wcale w głoszeniu radykalnych przekonań, był bowiem udanym wytworem społeczeństwa sprzecznoci ekonomicznych, a radykalizm niewątpliwie popłacał w jego zawodzie. Ten dość mierny prawnik często był

przedstawiany w prasie jako gwiazda adwokatury. Klienci tłoczyli się i wyczekiwali, by skorzystać z jego usług.

Błędem byłoby oczywiście sądzić, że zaangażowanie społeczne Brodina jest nieszczerze. On sam święcie wierzył w to, co mówił. I dziecinnie cieszył się ze swego powodzenia, był więc człowiekiem szczęśliwym.

A teraz szedł do Forsa, w którym - mimo całej dla niego sympatii - nie mógł się połąpać. Zwykle z łatwością nawiązywał kontakt z klientami, lecz rozmowy z Forsem szły tak opornie i często były bardzo lakoniczne.

Fors jadł właśnie, gdy zjawił się adwokat. Apatycznie grzebał w pokażnej porcji makaronu z kielbasą serdelową.

- Cześć, Jens - powiedział adwokat, który starał się zwykle przybierać ton przyjacielski, jeśli przypuszczał, że może to klientowi sprawić przyjemność.

Fors mruknął w odpowiedzi coś niezrozumiałego i jadał dalej.

Adwokat otworzył elegancką aktówkę i wyjął jakieś papiery.

- Dobre jedzenie? - spytał.

- Takie sobie. Nie mam apetytu. Piwo by się przydało, ale tu nie podają.

Brodin chętnie by to jakoś skomentował, nic mu jednak na myśl nie przychodziło. Chrząknął.

- W ostatnich dniach zaszły pewne zmiany w twojej sprawie - powiedział uroczyście.

- Wiem - stwierdził Fors. - Chcą mnie wysłać do Albanii.

- Skąd o tym wiesz?

- Słyszałem - odpowiedział Fors trochę niepewnie. - Zresztą zawsze byłem pewien, że mi pomogą.

I ta rozmowa także była podsłuchiwana. Dwaj policjanci przy magnetofonie ustawili uszu. W mikrofonie znowu trzeszczało.

- Kto ci pomoże? - badał Brodin. - Powinieneś mieć zaufanie, Jens.

- Na nikim nie mogę polegać.

- Na mnie powinieneś.

Przez chwilę w mikrofonie słychać było tylko szelest papieru.

- Rozumiesz chyba, że możesz nie wyjechać, jeżeli nie chcesz. Nikt cię nie zmusi. Otrzymałem jednak gwarancje, że w kraju, do którego przybędziesz, zostaniesz uwolniony.

- Jasne, że chcę się stąd wydostać. Kiedy to będzie ułatwione?

- Trudno powiedzieć. Wiążą się z tym różne praktyczne sprawy. Musisz otrzymać paszport, pieniądze. Parę dni to potrwa. Co najmniej.

- Rozumiem.

Adwokat położył przed Forsem arkusz papieru. Było to zobowiązanie, które więzień miał podpisać. Oświadczenie, że zgadza się na wyjazd do kraju, jaki go zechce przyjąć.

Fors dokładnie przeczytał tekst. Makaron, który wypadł z talerza, rozmazał się na piśmie. Próbował go strzepnąć, i w rezultacie plama zrobiła się jeszcze większa.

- Czy zechcesz podpisać? - spytał Brodin. - Masz czas do namysłu, do jutra.

- Proszę o długopis - powiedział Fors.

- Zaczekaj, jeżeli chcesz, sprowadzę dwóch strażników, żeby zaświadczyli autentyczność podpisu.

Brodin wyszedł i wrócił po chwili w towarzystwie dwóch strażników. Fors dostał długopis, podpisał. Charakter pisma miał zdecydowany, zupełnie nie pasujący do jego zachowania, które było raczej chwiejne.

Strażnicy poświadczwszy własnoręczność podpisu opuszcili celę. Brodin schował ten ważny dokument. Fors pił teraz kawę z kubka. Wypiwszy duszkiem, podszedł do okna i stał przy nim dobrą minutę. Uśmiechał się.

Potem położył się i wsunął ręce pod głowę. Milczał,

adwokat czuł się zakłopotany. Tak chciał nawiązać serdeczny kontakt z tym leżącym człowiekiem.

- Lepiej teraz sypiasz? - spytał.

Upłynęło parę sekund, nim otrzymał odpowiedź.

- Nie.

- A lekarze są dobrzy?

- Odwalają robotę. Oni też robią swoje, ja swoje. Co mi do nich.

- Psychiatria sądowa w naszym kraju jest o parę dziesiątków lat zapóźniona - powiedział Brodin.

- Nie wiem. Możliwe. Ciekaw jestem zresztą, czy mnie uwolnią od kary.

- Śledztwo zaledwie się rozpoczęło. Nic jeszcze nie można powiedzieć. Sądzę jednak, że byłoby pomocne tak dla lekarzy, jak dla ciebie samego, gdybyś mi się zwierzył.

- To przecież nie ma znaczenia, jeżeli i tak mam wyjechać za granicę. A co się stanie, jeżeli wrócę do Szwecji?

- Nie myślałem nad tym, wszystko wskazuje na to, że zostałeś ponownie aresztowany. Potem być może odesłany z powrotem. Nie jestem pewien, ale mogę sprawdzić, jeżeli chcesz.

- Nie trzeba. Tak się tylko zastanawiałem.

Rozmowa znowu zamarła. Brodin najwidoczniej denerwował się i wciąż poprawiał okulary. Wreszcie zdjął je i machinalnie zaczął przecierać chusteczką. Był bardzo krótkowzroczny i bez okularów mrużył oczy.

Nagle strzelił palcami.

- Prawda. Byłbym zapomniiał. Twoja matka dziś do mnie dzwoniła.,

- Nie chcę z nią mieć do czynienia. - I zupełnie nielogicznie dodał: - A czego chciała?

- Pytała tylko, jak się czujesz. Chce cię odwiedzić, gdy tylko otrzyma zezwolenie.

- Może się nie starać. Wcale nie chcę jej widzieć. Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

- Ale przecież powinienes się z nią spotkać, nim wyjedziesz.

- Dlaczego? Wcale nie chcę.

- Jak sobie życzysz. Dla niej to będzie wstrząs. Zaczyna się już starzeć. Przemyśl to.

- Jej wizyta jest zupełnie zbędna. Ona jest mi najzupełniej obojętna.

Brodin czuł się nieswojo. Mówił matce, że syn wielokrotnie o nią pytał. Żał mu było matki Forsa i zawsze udzielał jej takich informacji, jakie chciała usłyszeć. Robił to w najlepszej wierze. A teraz był niemal oburzony na Forsa, że nie chce widzieć matki.

Po zamienieniu jeszcze paru zdań bez znaczenia opuścił celę. Fors nie podnosząc się mruknął do widzenia.

Mimo wszystko Brodin był zadowolony z wizyty u klienta. Fors podpisał, a koniec końców to było najważniejsze. Niechętnie wracałby z Långholmen bez tego podpisu. To nie byłoby korzystne dla jego renomy.

Doszedłszy do portierni spytał, czy może skorzystać z telefonu.

Nakręcił numer wysoko postawionej osobistości w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

- Brodin - powiedział. - Wszystko dobrze poszło.

W celi Fors wstał i znowu podszedł do okna. Rozcierał skronie palcami, zamknął oczy.

- Wiedziałem, że mi pomogą - szepnął.

Drugi list

Stig Bergsjö był jednym z weteranów wśród szwedzkich dziennikarzy od spraw sądowych. Był tak stary, że pamiętał czasy, gdy pisywało się pod pseudonimem i nie sygnowało

byle notateczki. Zawsze czuł się trochę głupio, widząc nad swym artykułem „Stig Bergsjö”.

Ponieważ Bergsjö pracował w gazecie wieczornej, która w praktyce wychodziła z drukarni wczesnym rankiem, około siódmej zajmował się już pierwszym nakładem. W godzinę później przychodziła poczta poranna. I w tej poczcie dostał list wrzucony przez Ing-Marie poprzedniego dnia.

Bergsjö dostał tego rana trzy listy. Pierwszy zawierał wyciąg z konta bankowego. Ten najpierw otworzył. Westchnął zobaczywszy, jak marna jest jego sytuacja finansowa. Drugi list był niemądrym drukiem reklamowym pewnego towarzystwa lotniczego, z którego usług raz skorzystał. Od tej pory dział reklamy wiernie przysyłał mu wszystko, co sam otrzymał.

A trzeci list był od porywaczy. Zwykła biała biurowa koperta zupełnie poprawnie zaadresowana, z kodem pocztowym.

Adres i sam list napisano na maszynie. Nadawca oczywiście nie wymieniony. Łatwo natomiast było ustalić, że list został wrzucony w śródmieściu. Papier i koperta były z gatunku sprzedawanych w całym kraju w dużych ilościach. Zupełnie nieprawdopodobne, by na takiej podstawie policja mogła wyśledzić tego czy też tych, którzy list napisali.

Bergsjö rozdarł kopertę paznokciem, wyjął arkusz i zaczął czytać. Skończywszy zadzwonił po fotografa, który obiecał, że stawi się za dziesięć minut. Bergsjö skoczył przez ten czas do innego pokoju i zrobił parę fotokopii listu. Dopiero potem zatelefonował do policji. Zawsze łączyły go dobre stosunki z władzami porządkowymi i zależało mu na ich utrzymaniu. Nigdy nie próbował zabawiać się w detektywa prywatnego i teraz też nie zamierzał tego robić. Natomiast na tym, by jego gazeta miała wyłączność na tę dobrą nowinę, zależało mu oczywiście.

Po tylu latach pracy w charakterze reportera od przestępstw Bergsjö bardzo sceptycznie odnosił się do wszelkich listów dotyczących sensacyjnych zbrodni. Sporo jest ludzi, którzy w podobnych sytuacjach nie umieją powstrzymać chęci zbytecznego bazgrania.

Fotograf przyszedł wcześniej niż obiecał. Zrobił mnóstwo zdjęć listu i redaktora Bergsjö. Wkrótce potem zjawiała się policja w postaci pracownika wydziału zbrodni. Z Bergsjönem znali się od wielu lat.

- A więc dostałeś list - stwierdził pracownik, który nazywał się Karlkvist i mieszkał przy Kronobergsgatan na Kungsholm w pobliżu głównej komendy policji.

- Przyszedł w rannej poczcie - odpowiedział Bergsjö.

- Przypuszczam, że otrzymujesz wiele listów tego rodzaju?

- Oczywiście. Zawsze mnóstwo pomyleńców do mnie pisuje.

- Co sądzisz o tym liście?

- Nie mam pewności. Ale pierwszą reakcją była myśl, że jest prawdziwy.

- Dlaczego tak myślisz?

- Trudno powiedzieć. Może intuicja.

- Poznajesz może jakieś zwroty?

- Nie.

Karlkvist ostrożnie wziął list w dwa palce. Od razu zauważył, że pisał to ktoś nie mający wprawy w pisaniu na maszynie. I przypomniał sobie, że podobnie było z pierwszym listem, jaki premier zastał w domu.

Treść listu była następująca:

„W obecnej sytuacji rozumiecie z pewnością, że traktujemy sprawę serio. Obie podopieczne mają się dobrze. Jak dotąd jesteśmy zadowoleni z tego, co robią władze. Uwolnimy dziewczęta, gdy zostanie potwierdzone, że Jens Fors wyłądował w kraju przeznaczenia. Wystąpimy z dokładniejszymi

poleceniami odnośnie uwolnienia zakładniczek”.

To było wszystko.

Karlkvist raz jeszcze przeczytał list. Doszedł do wniosku, że Bergsjö ma rację i list rzeczywiście pochodzi od porywacza. Eksperti pewnie bardzo szybko rozstrzygną, czy został on napisany na tej samej maszynie, co poprzedni.

- Wydaje mi się, że masz rację - powiedział do Bergsjöna.

- Czy może zawiadomiłeś premiera?

- Nie. Jakże mógłbym to zrobić? Przecież się ukrywa. A przynajmniej nie ma do niego dostępu.

- Aha - powiedział Karlkvist. - Wydawało mi się, że widziałem w dzisiejszych gazetach długi wywiad z nim.

- Rozesłany przez Agencję Telegraficzną.

- No, to chyba wszystko. Zakładam, że już list sfotografowałeś. Być może porobiłeś także kopie.

- Jak możesz mnie o coś podobnego posądzać - powiedział Bergsjö uśmiechając się szeroko.

Karlkvist wsunął list do teczki i ruszył ku drzwiom.

- Słuchaj - zawołał za nim Bergsjö. - Nie zadzwonisz chyba do żadnej innej gazety i nie rozpoviesz o tym.

- Nie. Możesz być spokojny.

Karlkvist pojechał do komendy policji. Tam pokazał list komisarzowi.

- Trzeba zawiadomić Sundelina - powiedział komisarz.

- A jak go złapać?

- Przypuszczam, że jest jeszcze w Hotelu Parkowym, ale upewnię się.

Karlkvist zadzwonił do Wydziału Bezpieczeństwa. Przelączali go to tu, to tam, wreszcie trafił na właściwą osobę, która potwierdziła, że Sundelin wciąż jest w hotelu.

- Ale jeżeli chcesz się upewnić, czy można z nim mówić, musisz zadzwonić pod ten numer.

Karlkvist dostał numer telefonu linii specjalnej, założonej dla premiera. Nakręcił. Odebrał Olsson.

- Cześć, tu Karlkvist z zabójstw. Czy jest tam Sundelin?

- Tak. Pilne?

- Wydaje mi się.

- Więc dobrze. Chwileczkę.

Po kilku sekundach Karlkvist usłyszał dobrze znany głos premiera. Krótko i zwięźle opowiedział o liście i jego treści.

- Napisane, że zadowoleni są z dotychczasowych naszych poczynań? - upewnił się Sundelin.

- Tak.

- Miło usłyszeć. Dziękuję za wiadomość.

- Nie ma za co.

Technicy policyjni bardzo szybko ustalili, że list był napisany na tej samej maszynie, co poprzedni. I papier był taki sam.

- Dziwne, że ci faceci z Frakcji Marksistowsko-Leninowskiej, którzy nic innego nie robią, tylko woskówki do ulotek, nie mogą nauczyć się porządnie pisać na maszynie - powiedział Karlkvist do jednego z kolegów. - Ten, kto napisał ten list, jest amatorem.

- Jeżeli chodzi o pisanie na maszynie - odpowiedział kolega. - Bo poza tym musi to być kilku drabów mających cholernie zimną krew. Ciekaw jestem, czy ich kiedy dostaniemy.

Annika i Krystyna

Annika zbudziła się gwałtownie. Spojrzała na zegar. Wpół do siódmej. Krystyna spała w drugim łóżku. Zrzuciła koc.

Zrazu Annika zamierzała wstać i okryć Krystynę, ale nie chciało jej się. W pokoju było ciepło. Słońce już się przesącało przez ciemne rolety.

Z początku Annika myślała o ucieczce. Po bliższym rozważeniu poniechała jednak tych planów. Ona sama miałaby jakąś szansę, ale Krystynę musiałaby zostawić. Rozumiała, jakie to by miało skutki.

Krystyna gwałtownie odwróciła się na drugi bok i przebudziła. Spojrzała na Annikę wielkimi oczyma.

- Dziś pojedziemy do domu? - spytała.

- Nie wiem. Może.

- Ja chcę do domu. Tu już nie jest przyjemnie. Chcę do tatusia.

Bliska była łez. Annika wstała i wzięła małą na kolana. Dziewczynka spociła się, włosy miała wilgotne. Uspokajała się powoli, ale w oczach wciąż miała wyraz przerażenia.

- Dlaczego musimy tu zostać?

- Ci wujkowie - odpowiedziała Annika - chcą, żebyśmy jeszcze trochę zostały.

- A tatuś już wrócił z Ameryki?

- Myślę, że jeszcze nie - skłamała Annika. - Ale jestem pewna, że jutro przyjedzie, a wtedy będziesz mogła pojechać do niego. Będzie bardzo przyjemnie.

- Chcę siusiu - powiedziała Krystyna zsuwając się na podłogę.

Annika wyciągnęła stary nocnik. Krystyna usadowiła się ostrożnie, bała się, że wpadnie w ten garnek, ale nie chciała się do tego przyznać Annice.

- A mnie się zdaje, że ci wujkowie to złodzieje i że oni nas ukradli - powiedziała.

- Co ty wygadujesz. Nie powinnaś tak mówić, wujkowie mogą usłyszeć. Pewnie by im było przykro. Pamiętaj.

- Pamiętam, ale jednak myślę, że to złodzieje.

- Chodź, umyję cię - powiedziała Annika podchodząc do staroświeckiej umywalni z dzbankiem i piękną porcelanową miednicą.

- Sama się umyję.

- Oczywiście, jeżeli chcesz, możesz sama.

Krystyna umyła twarz nie używając mydła.

- Nie trzeba myć twarzy mydłem, bo ono włazi do oczu.

- To chyba nie takie straszne.

- Właśnie że okropne. A skąd wiesz, że to nie są złodzieje?

- Wiem i już. I więcej o tym nie mówmy.

- A gdzie się podziała Świnka?

- To nie była Świnka, tylko ciocia przebrana za Świnkę.

- Wcale nie była przebrana, tylko twarz miała jak Świnka.

- Tak, tak - niecierpliwie powiedziała Annika. - To właśnie miałam na myśli, że udawała Świnkę.

- Ja wiem.

Nisko nad domem przeleciał samolot. Krystyna podbiegła do Anniki i objęła ją.

- Tak się boję samolotu.

- Nie ma czego się bać. Latają tak nisko, bo jesteśmy blisko lotniska.

- Arlanda - powiedziała Krystyna.

- Skąd wiesz, że się nazywa Arlanda?

- Bo jak byłam z tatusiem we Włoszech, wsiadaliśmy do samolotu na Arlandzie.

Krystyna starannie wytarła twarz, a ręcznik rzuciła na

podłogę. Wetknęła palec do buzi i usiadła na łóżku. Annika podniosła ręcznik i powiesiła na miejscu.

- Nie można tak rzucać wszystkiego na podłogę. Straszny z siebie niedbaluch.

- A ja raz słyszałam, jak mówiłaś do innej panienki, że tatuś też jest niedbaluch.

- Za dużo słyszysz - powiedziała Annika. - Nie należy podsłuchiwać, jak dorośli rozmawiają.

- Dlaczego?

- Bo mogą wcale nie chcieć, żeby ich ktoś inny słyszał.

- To dlaczego wczoraj wieczorem stałaś przy drzwiach i słuchałaś, co mówią wujkowie?

- Myślałam, żeś już spała. Byłam ciekawa.

Krystyna uznała to wytłumaczenie i z marzycielskim spojrzeniem zaczęła ssać palec. Kolana podciągnęła pod brodę, i ssała zapamiętane. Nagle wyciągnęła palec z ust.

- Głodna jestem - powiedziała.

- A nie możesz jeszcze trochę poczekać?

- Nie, chcę jeść zaraz.

Annika podeszła do drzwi. Gdy ostrożnie zapukała, otworzył je prawie natychmiast. Stał za nimi Arne należycie zaopatrzonej w maskę Psa Pluto. Annika doznała uczucia, że cały czas stał pod drzwiami.

- Krystyna jest głodna - powiedziała.

- Jedzenie w spiżarni. Proszę wziąć.

Annika weszła do spiżarni. Gdy stanęła na palcach, by dosięgnąć paczki cornflakesów, czuła dosłownie spojrzenie Arnego obmacujące jej nogi. Podeszła do lodówki, wyjęła mleko. Krystyna też wysunęła się z pokoju. Rozejrzała się ciekawie bystrymi oczami.

- Tatuś też ma taką maszynę - powiedziała.

Annika rzuciła okiem na maszynę i stwierdziła, że Krystyna ma rację. Mały czerwony Hermes, ten sam typ, jaki Sundelin miał u siebie.

- Czy przyjdzie dziś ta ciocia z twarzą Świnki?

Arnego to rozbawiło.

- Nie wiem, ale chyba tak - odpowiedział. - Ona pracuje w mieście.

- Chodź jeść, Krystyno - zawołała Annika z pokoju. - Już ci nasypałam płatków.

- Idę.

Krystyna usadowiła się przy stole. Annika z trzaskiem zamknęła drzwi, żeby uniknąć widoku śmiejącej się psiej twarzy. Jakież to irytujące, że nie wiadomo, jak on pod tą maską wygląda.

Krystyna jadła z apetytem i wielką energią. Annika też usiłowała trochę w siebie wmusić, ale jej się nie udawało. Niepokój o to, co je czeka, tkwił w gardle. Zetknięcie z Psem Pluto fatalnie na nią podziałało.

Czuła się o wiele spokojniejsza, kiedy ten drugi był także obecny. Instynktownie orientowała się, że to on rządzi i postanawia. Wydawał się jej jakiś bardziej ludzki, nawet jeżeli potrafił być bezwzględny.

- Proszę więcej - powiedziała Krystyna.

- Naprawdę zjesz jeszcze?

- Zjem.

Annika znowu zapukała do drzwi.

- Otwarte - powiedział Arne. Annika poszła po cornflakesy.

- Jakie ładne nogi - zauważył Arne.

Obciągnęła sukienkę. Szybko podeszła do lodówki. Usłyszała, że drzwi się otwierają. Odwróciła głowę. Do kuchni wszedł Bosse w masce Kaczora Donalda.

- Dzień dobry - pozdrowił.

- Dzień dobry - odpowiedziała Annika i odczuła ulgę.

- Wszystko w porządku?

- Owszem. Jak długo jeszcze musimy tu zostać?

- Wszystko zdaje się przebiegać zgodnie z planem.

Wkrótce wrócicie do domu.

- Czy mogę być pewna?

- Oczywiście. Tylko proszę zachować spokój.
- Bosse nie spojrział wcale na Arnego, który wstał z krzesła.
- Pojadę po gazety - powiedział. - Zaraz wrócę.
- Mam nadzieję. Zadzwoń też po naszą Świnkę. Potrzebna tu jest.
- OK - odpowiedział Arne zamykając drzwi.

Raija

Było w pół do jedenastej, Raija siedziała w atelier. Już zatatowała jednego klienta. A teraz czytała tygodnik. Telefon wciąż dzwonił.

- Hallo, czy Ing-Marie?
- Nie. Ma dziś wolne.
- No, właściwie wszystko jedno. Czy mogę przyjść za pół godziny?

- Proszę bardzo.

Następna rozmowa. Jakiś mężczyzna zasunął odpowiednią wiachę. Raija z trzaskiem położyła słuchawkę.

- Dzień dobry.
- Gdzie to jest?
- Przy Döbelnsgatan - odpowiedziała Raija i podała numer.

- I jakie usługi?

- Pozowanie, masaż, pięćdziesiąt koron. Francuski z zabezpieczeniem siedemdziesiąt pięć.

- I nic więcej?
- Możemy przedyskutować, kiedy pan przyjdzie. Proszę bardzo.

I tak ciągle. Ponieważ Ing-Marie nie wróciła, Raija była sama. Roboty dużo - ale i dochód spory. Po południu jej czerwony portfelik spęczniał od banknotów. Zapaliła papierosa i przeliczyła pieniądze. Zadzwoił telefon.

Podniosła słuchawkę z irytacją. Natychmiast poznała znajomy głos. Arne, chłopak Ing-Marie. Raija nie mogła zrozumieć, że Ing-Marie tak się poniża utrzymując go, bo przecież to robiła.

- Jak się masz, Raija.
- Cześć.
- Chciałem tylko zawiadomić, że Ing-Marie przez dwa dni nie przyjdzie. Sama się zajmij atelier. Chyba nic nie masz przeciw temu?
- Nie, wcale, choć ciężko będzie.
- Masz może jakąś kumpelkę, która chciałaby dorobić sobie przez ten czas? Musi być oczywiście ładna. I zupełnie zdrowa.
- Chyba się coś da załatwić. Ile mam jej płacić?
- To już sama zdecyduj. Ja się nie wtrącam.
- Ing-Marie jest chora?
- Nie, tylko wiesz, ma te dni.

Raija powstrzymała się od uwag, ale nie uwierzyła w tę informację. Ing-Marie nigdy nie zaniedbywała pracy z tego powodu. Zresztą brała przecież pigułki. Musiało w tym być coś innego.

- Pozdrów ją - powiedziała. - I może być spokojna.
- Pozdrowię. I jeszcze jedno. Nie mów lepiej tym, którzy dzwonią i pytają o nią, jak długo jej nie będzie.

Raija trochę się nad tą rozmową zastanawiała, potem jednak odsunęła myśli o tym. Nie miała powodu do oskarżania się. Przeciwnie. To znaczy tylko, że dużo lepiej będzie zarabiać.

Znowu podniosła słuchawkę i nakręciła numer restauracji w śródmieściu. Powiedziała, że chce rozmawiać z dziewczyną pracującą w kuchni.

- My niechętnie łączymy prywatne rozmowy do personelu - powiedziała panna z centrali.

- Ale to ważna sprawa.
- Wszyscy tak mówią - stwierdziła telefonistka i połączyła.

W chwilę później jedna z pomywaczek spytała kierowniczkę, czy może zwolnić się na parę dni. Matka zachorowała, trzeba się nią zająć.

- All right, ale wiesz, że zapłaty za ten czas nie dostaniesz.

- Wiem.

Dziewczyna pojechała do siostry na Döbelnsgatan. Trochę była zdenerwowana, ale po paru klientach przeszło. Raija doradziła jej, co i jak. Pod koniec dnia okazało się, że zarobiła tyle, ile w restauracji dostawała za tydzień.

- Czy nie mogłabym tu stale pracować? - spytała wieczorem, gdy sprzątały.

- Spytam Ing-Marie. Może opłaci się z trzema dziewczętami.

- Jaka ona jest?
- Ordynarna, ale obrotna.
- Ile dni jej nie będzie?
- Nie wiem. Jej chłopak mówił, że dwa, ale może i dłużej.

Raija zdjęła robocze ubranie i włożyła elegancką sukienkę. Była blondynką w prawdziwie fińskim typie. Siostra była jej młodszą podobizną, trochę może pełniejsza.

- Chcesz fajkę? - spytała Raija.
- Fajkę?
- Nie udawaj głupiej. Tak samo dobrze jak ja wiesz, że mam na myśli haszysz. Chcesz czy nie?

Siostra z dzieciństwa spędzonego w głębi kraju nad Zatoką Botnicką dobrze pamiętała twarde pięści Raiji. Zawsze jej była posłuszna.

- Pewnie, że mogę spróbować - powiedziała.

I dostała pierwszą w swym życiu fajkę haszyszu. Cudownie to było. Zapomniała o wszystkim, co przykre. Czy będzie

mogła zatrzymać tę nową pracę. Ten ohydny starzec, który śmierdział. Chłopak, który chciał, żeby go biła różgą, różgę przyniósł w żółtej teczce.

O tym i o wszystkim innym zapomniała po zaciągnięciu się haszyszem. Raija też paliła, ale marząc o czymś mocniejszym, co miała u siebie w mieszkaniu, podnajmowanym z drugiej ręki w starym domu na Södermannagatan.

- Mnie się zdaje, że niedługo sama coś założę - powiedziała.

Siostra siedziała nieruchomo z rozmarzonym spojrzeniem. Słyszała, ale potrzebowała sporo czasu, żeby zrozumieć.

- Gdzie? - spytała wreszcie.

- Jeszcze dobrze nie wiem, ale mam upatrzony lokal na Tomtebogatan.

- Dostanę u ciebie pracę? - spytała siostra, już widząc przed sobą portfel wypchany banknotami.

- Zobaczymy - powiedziała Raija. - Dlaczego nie.

Dziewczęta razem poszły do stacji kolei podziemnej przy Odenplan. Parę osób stało na peronie. Wśród nich dwaj pijacy. Jeden z nich w dodatku wyprawiał się na dziewczynki. Szukał na starej trasie w city, ale tam już dziewcząt nie było. Może jeszcze jakieś zostały, ale zwracały uwagę tylko na mężczyzn z samochodami.

- A jakbyśmy tak sobie dziś wieczorem - zagadnął Raiję.

- Idź do diabła.

- Ach ty kur...

Rozejrzała się i dostrzegła dwóch policjantów wolno idących wzdłuż peronu. Z lewej strony mieli przepisowe pistolety w białych kaburach, wydawali się układni i przystojni. Jeden miał bokobrody.

- Ten pijak mnie napastuje - powiedziała do nich Raija.

Przyjrzeni się wskazanemu, z niepewnych ruchów i niewyraźnej mowy wynikało, że jest zalany.

- Proszę z nami - powiedział ten bez zarostu.

Wezwany protestował. Ogarnięty paniką wymachiwał rękami. Policjanci porozumieli się spojrzeniem i chwycili go. Wierzał i trafił jednego z nich w piszczel. Kopnięty zaklął i wyciągnął pałkę.

- Tylko spokojnie - krzyknął drugi policjant. Może z myślą o koledze z wyciągniętą pałką.

Pierwsze uderzenie trafiło pijanego w nos. Oczy mu zasły łzami, szamotał się dziko. Policjanci przewrócili go, ciągnęli przez peron. Ludzie przyglądali się z zainteresowaniem, lecz nie wtrącali się.

W budce przy barierze obrotowej siedział strażnik. Minęły go dwie dziewczyny. Przypomniał sobie, że parę minut temu sprzedał im bilety.

- Biją się tam - powiedziała Raija. - Wydaje mi się, że gliny potrzebują pomocy.

Strażnik podniósł słuchawkę i zadzwonił po radiowóz. Numer znał tak dobrze, że nie musiał sprawdzać. 50 00 00 i wewnętrzny 1111.

Po paru minutach podjechał milicyjny radiowóz. Dwaj mundurowi pomogli kolegom wywlec pijanego, który teraz mógł oczekiwać nie tylko grzywny za pijaństwo, ale i za stawianie oporu i rękoczynny.

Przeciek

Następnego ranka Pelle Lund - jak zwykle w brązowej sztruksowej kurtce i w jasnych gabardynowych, o wiele za krótkich spodniach - podszedł do młodego sekretarza redakcji i zawiadomił, że idzie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Sekretarz przywykł już do kaprysów Lunda. Podporządkowanie go normalnemu planowi pracy było zupełne

niemożliwe. On zawsze zrobił to, co chciał. Jeżeli nie mógł przeprowadzić swej woli, potrafił boczyć się przez cały dzień jak krnąbrne dziecko. A na to sekretarz nie chciał się narażać.

Dlatego zapominając o konferencji prasowej, na którą zamierzał wysłać Lunda, spytał:

- A co tam masz do roboty?
- Chcę się tylko czegoś dowiedzieć. Zaraz wrócę. Gdyby moja żona dzwoniła, powiedz, że poszedłem do banku.
- Dlaczego? Dlaczego nie mam powiedzieć, że jesteś w Ministerstwie Spraw Zagranicznych?
- Bo obiecałem pójść do banku. Ona chce, żebyśmy kupili segment i przeprowadzili się do Rotebro. A ja ani myślę, nie dam się deportować.
- Aha. Więc mam ją okłamać, kiedy zadzwoni.
- Właśnie. Tylko zdecydowanie - powiedział Lund wskakując do windy.

Zjechał ruchomymi schodami na Sergels torg. Tam wszedł do wejścia kolejki podziemnej i wstąpiwszy do ustronnego miejsca mieszczącego się obok sklepu spożywczego wyostał się na zachodnią stronę Sveavägen. Stąd znowu ruchomymi schodami podjechał w górę na Malmskillnadsgatan.

Koło Sztokholmskiego Tarasu jakiś osobnik socjalnie nisko postawiony zażądał korony na piwo. Lund, który za młodu był robotnikiem rolnym, dał mu dziesięć.

- Możesz kupić butelkę wermutu - poinstruował bliźniego swego, który był wyraźnie zmieszany tą rozrzutną życzliwością.
- Ale hojny cholernik - powiedział.
- A chcesz tabaki? - spytał Lund.
- Głupi czy co? - stwierdził bliźni i zygzakiem podążył ku Master Samuelsgatan i ku sklepowi monopolowemu.

Lund zaś ruszył przez Malmskillnadsgatan ku rozkopanemu

Brunkebergstorg. Z niesmakiem spojrzął na nowy gmach i wielki hotel.

Minął rozkopaną Herkulesgatan i przypomniało mu się, że pewnej nocy znalazł tu przygodne schronisko w domu, który już przestał istnieć.

Dalej, w kierunku Jakobsgatan i Gustav Adolfs torg, miasto wyglądało jak dawniej. Przed Ministerstwem Obrony stały rzędem mercedesy. Jakiś długowłosy młodzik otworzył drzwi przed szczupłym, po cywilnemu ubranym panem, generałem, który kiedyś może zostać głównodowodzącym.

Lund ignorując światło przeszedł na drugą stronę ulicy przy pałacu następcy tronu, a parę samochodów zareagowało wściekłą serenadą. Lecz Lund patrzył w ziemię i nic nie słyszał. Zupełnie pochłonięty własnymi myślami.

Jego najważniejszą właściwością prócz łatwości pisania i wielu lat rutyny była całkowita bezwzględność w zdobywaniu nowych wiadomości. Żeby zdobyć nową wiadomość, potrafił udawać idiotę, występować jako samochwał, grozić, pełzać w tłumie, kłamać i kraść.

Praktycznie jednak nigdy się nie zdarzało, by ktoś się na niego rozgniewał. Wszystkich rozbrajał swym zniewalającym wdziękiem, bezgraniczną naiwnością i naturalną wielkodusznością.

Per Lund był człowiekiem bardzo „niezwyczajnym”, a najosobliwsze było, że został dziennikarzem. Gdyż w swej wolnej od wszelkich zahamowań pogoni za nowinami był zupełnie prostoduszny, a podobnych ludzi bardzo trudno znaleźć w dziennikarskiej branży.

W hallu Ministerstwa Sprawiedliwości podszedł do szklanego boksu, gdzie personel ochrony państwowej strzegł tajemnic ministerstwa. Siedziało tam dwóch ludzi. Jeden z nich był dawniej policjantem, drugi też niegdyś służył w policji wodnej na Kallinge.

- Dzień dobry - grzecznie powiedział Lund. - Do pana Adelborga z obsługi prasowej.

Były pracownik policji wodnej obrzucił spojrzeniem Lunda stojącego za szklaną ścianą z głupawą miną, z górną wargą wyдутą od tkwiącej pod nią prymki.

- Masz coś zabrać? - spytał strażnik.

- Tak - odpowiedział Lund. - Jestem z Ministerstwa Obrony. Mam stąd zabrać jakieś papiery.

Strażnik pomyślał, że w obronie często zmieniają woźnych, i powiedział Lundowi, którędy ma iść, żeby dostać się do wydziału prasowego.

Lund zniknął na zakręcie schodów, ale wcale nie udał się prosto do miejsca przeznaczenia. Zaczął natomiast myszkować w rozwidlających się korytarzach, uzbrojony w kartonową teczkę, którą zabrał z sobą.

Gdzie zobaczył pusty pokój, tam wchodził zupełnie swobodnie.

Bez trudu wżył się w rolę woźnego. Po paru zaledwie minutach coś ułowił.

W jednym z pokoi leżała aktówka z napisem „poufne”. Nawet się nie obejrawszy, otworzył i zaczął czytać. Robił też maczkami notatki na odwrotnej stronie listu, który żona mu dała prosząc, by wrzucił do skrzynki.

Zabawił w tym pokoju z pięć minut. Gdy koperta była całkowicie zabazgrana, zasiadł do znajdującej się w pokoju maszyny, by wypisać cytat z treści pisma.

Gdyby ktoś wszedł, pomyślał, powiem, że przyszedłem skontrolować maszynę.

Ale nikt nie wszedł. W ciągu pięciu minut Lund zdążył porobić mnóstwo notatek. Wsunął je do swej teczki i wyszedł tą samą drogą, którą wszedł.

- Trafieś? - spytał portier.

- Oczywiście - odparł Lund - ale trochę czasu mi to zabrało.

Spokojnie, bez pośpiechu wracał do biura. Tym razem przez Regeringsgatan. Wstąpił do sklepu monopolowego i kupił pół butelki czerwonego wina.

Potem skręcił na lewo w Master Samuelsgatan. Zjechał ruchomymi schodami przy czwartym wysokościowcu. W sklepie serowarskim kupił pudełeczko francuskiego camemberta.

Wjechał windą na szesnaste piętro pierwszego wysokościowca.

- Dzwoniła? - spytał sekretarza redakcji, który miał na biurku odłożone dwie słuchawki, i nieśmiałym głosem prosił młodą dziennikarkę, by na przyszłość nie spóźniała się do pracy o godzinę.

- Mam chorego ojca - powiedziała dziennikarka.
- Ach, tak. Chcesz czegoś, Per?
- Pytałem, czy dzwoniła?
- Nie dzwoniła.

Skinąwszy głową Lund wszedł do swej ciupki. Wyjął z szuflady plastikowy kubek. Otworzył butelkę, nalał pełen kubek wina. Otworzył pudełeczko z serem, ostrożnie zdjął staniol i odgryzł spory kęs. Popił winem.

Zjadłszy cały ser i wypiwszy wino co do kropli, wkręcił arkusz papieru w maszynę i zaczął pisać. Zapisawszy cztery strony, położył je bez słowa na biurku sekretarza. Po czym podążył do windy i pośpiesznie udał się do Banku Handlowego, by załatwić sprawę pożyczki na segment w Rotebro.

Sekretarz redakcji skończywszy rozmowę telefoniczną przeczytał maszynopis Lunda i niezwłocznie poszedł z nim do kierownika działu krajowego.

- Puścić - powiedział kierownik po paru sekundach namysłu.

Tak więc w piątek przed południem o jedenastej wszystkie gazety w Szwecji, kilka biur informacyjnych i radio wiedziały, że Albania zgodziła się przyjąć mordercę.

Gustaw Enberg

Gdy właściciel sklepu z zabawkami Gustaw Enberg wrócił wieczorem, żona jego była w domu. Miała na imię Astrid i przez wszystkie lata ich małżeństwa utrzymała całkowitą przewagę nad mężem, który dla świętego spokoju ulegał jej kaprysom.

Wiele razy było ciężko, ale jakoś się żyło. Próbował szukać rozrywki w książkach, w znaczkach pocztowych. Na ogół Astrid pozwalała mu na te hobby, sama daleka od wszystkich jego upodobań.

Od wielu lat Enberg bywał klientem różnych zakładów masażu. Nie miał wyboru. Współżycie z żoną - jeżeli w ogóle miało miejsce - było nad wyraz żałosne. Ją to po prostu nie interesowało. Może była to wina Enberga, może jej, a może niczyja.

Sypiając z dziewczętami z różnych atelier Enberg miał zawsze wyrzuty sumienia. I to właśnie w znacznej mierze wzmagало erotyczne podniecenie. Nic w tym dziwnego. Zakazany owoc i tak dalej, wiadomo.

Teraz w każdym razie Enberg wrócił do domu, w którym była Astrid. Mimo że już miała nieco ponad pięćdziesiątkę, wciąż była zgrabna, przystojna i bardzo zadbana.

Astrid czytała gazetę przy kuchennym stole. Ledwie spojrzała na męża.

- Jesteś w domu! - wykrzyknął.
- Tak. I od razu musiałam sprzątać i zmywać.
- Myślałem, że wrócisz dopiero w przyszłym tygodniu.
- To chyba nie powód, żeby w mieszkaniu miało wyglądać jak w chlewie.
- Ależ kochanie - zaczął Enberg.
- Tak, tak. Tak już jest. Nigdy nie umiałeś utrzymać porządku wokół siebie.

Enberg poszedł do łazienki. Chwilę siedział na sedesie

i gapił się bezmyślnie przed siebie. Potem dokładnie umył twarz i ręce.

Spojrzał w lustro i stwierdził, że jest czerwony jak po gwałtownym wysiłku fizycznym. Puścił zimną wodę i opłukał twarz. Trochę go to ochłodziło.

Wrócił do kuchni. Astrid wciąż czytała.

- Jadłeś już? - spytał.

- Jedzenie w lodówce, trzeba tylko zagrzać.

Otworzył lodówkę. Stał tam talerz z trzema filecikami ryby i dwoma ziemniakami. Postawił na płycie ronderek z wodą, a na rondelku umieścił talerz i czekał na zagrzanie się jedzenia.

Trwało to z pięć minut. Wytrzeł spód talerza papierem, postawił na stole, wyjął z szafki szklankę, napełnił ją mlekiem z litrowego kartonu.

- Dlaczego nie pijesz piłznera, cała lodówka nim zawałona.

Enberg podejrzewał właściwie, że rozmowa przybierze taki obrót. Lubił piwo i pod nieobecność żony codziennie je pijał przy jedzeniu. Natomiast, gdy była w domu, zdarzało się to bardzo rzadko. Picie piłznera uważała za brak kultury.

Zawsze używała określenia piłzner i w jej ustach słowo to brzmiało brzydtko, przypominało kiepskie filmy z lat trzydziestych i podejrzanych bywalców kawiarni na Söder. Enberg nie odpowiedział. Zjadł budzące wstręt danie. Zajęło mu to nie więcej niż trzy minuty. Potem starannie opłukał talerz pod bieżącą wodą i wstawił na suszarkę razem ze szklanką i widelcem.

Żona spoglądała na niego wzrokiem męczennicy, podczas gdy zmywał i ustawiał. Wreszcie usiadł obok niej.

- Jak było na wsi? - spytał.

Astrid zdjęła okulary, przetarła oczy starannie wymanicowanymi palcami, znowu włożyła okulary.

- Czy nie widzisz, że czytam?

Enberg poczuł, że złość dławi go w gardle i wali w skroniach. Opanował się jednak jak zwykle.

- Pójdę chyba zająć się trochę znaczkami - powiedział.

- Rób, co ci się podoba - oświadczyła żona i wróciła do lektury.

Enberg przeniósł się do jednego z czterech pokoi, składających się na obszerne mieszkanie w starym patrycjuszowskim domu w pobliżu szkoły francuskiej i kościoła Świętego Jana.

Usiadł przy biurku i z roztargnieniem zaczął przebierać małe kolorowe prostokąciki. Zwykle to zajęcie ogromnie go uspokajało, tym razem jakoś było gorzej.

Osadziwszy w oku lupę, pincetką podniósł znaczek. Przedstawiał futbolistę. Specjalnością Enberga były znaczki o tematyce sportowej.

Przez chwilę przyglądał się ciemnoskóremu piłkarzowi o napiętych mięśniach ud, potem odłożył znaczek. Uniósł brew, lupa wypadła na podstawioną dłoń. Jednym końcem pincetki zaczął odsuwać skórkę z paznokci, aż białe półksiężycy matowo uwydatniły się na różowej powierzchni.

Znowu podniósł znaczek. Przyglądał mu się przez kilka sekund, odłożył. Jeszcze kilkakrotnie powtórzył ten zabieg.

Wciąż jeszcze wrzał w nim gniew na żonę. Jeden ze znaczków zmienił mu się w palcach w kolorową kulkę. Umieściwszy ją między kciukiem i środkowym palcem, przytknął. Kulka niby mały pocisk wleciała pod sufit i odbiła się od niego, przypomniało to Enbergowi, że podobnie postąpił kiedyś w szkole, kiedy jeden z kolegów zabrał mu pompkę od roweru.

Wyciągnął portfel z tylnej kieszeni. Były w nim cztery banknoty stukoronowe. Schował portfel.

Znowu próbował skupić się na znaczkach. Z westchnieniem odszukał na podłodze maleńką kulkę. Z trudem udało się ją rozwinąć, rozprostować.

Długo przyglądał się pomarszczonemu papierkowi, który był jednym z piękniejszych egzemplarzy jego najwartościowszej serii.

Podarł znaczek w drobniutkie strzępki, trzymał je na dłoni, wyglądał przy tym staro. Miał już jednak sześćdziesiąt dwa lata.

Przesypał strzępki na drugą dłoń, powtórzył to parę razy. Kilka kawałeczków papieru upadło na podłogę tworząc nikły deseń śniegowych płatków.

Enberg głęboko odetchnąwszy odłożył klasery ze znaczkami i poszedł do kuchni.

Astrid zrobiła sobie kawę. Podnosząc filiżankę zaginała mały palec, tak jak to widywała na filmach.

- Nie pytałam, czy ty chcesz - powiedziała. - Bo na ogół nie pijesz kawy wieczorem.

- Dziś w każdym razie nie chcę - powiedział Enberg tak dziwnym głosem, że Astrid przestraszyła się niemal.

- Co ci jest. Jakoś niezrozumiale mamrociesz - sarknęła.

- Przeciwnie. Pierwszy raz mówię wyraźnie.

- Wyraźnie!

- Tak właśnie. Zamierzam wyprowadzić się.

A więc zostało powiedziane. Przez kilka sekund panowała zupełna cisza. Cisza tak głęboka, że słychać było aż tu tykanie wahadłowego zegara z salonu.

Astrid przerwała milczenie. Głosem pogardliwym, w którym jednak można było uchwycić odrobinę niepokoju.

- Wyprowadzasz się. A z czego będziesz żyć? Bo chyba nie wyobrażasz sobie, że będziesz się mógł utrzymać z tego nędznego sklepiku z zabawkami.

Enberg poczuł się dziwnie silny. Spokojny a nawet wyniosły.

- Wiem, że ty masz pieniądze - powiedział. - Ale to

ułatwia sprawę. Nie muszę robić sobie wyrzutów, że zostawiam cię bez środków.

Głos żony był tym razem odrobinę piskliwszy.

- W zeszłym roku sklep przyniósł najwyżej dwadzieścia tysięcy netto. Co możesz mieć za nędzne dwadzieścia tysięcy?

- Coś niecoś. Chociaż spokój. I będę mógł żyć własnym życiem.

- A gdzie zamieszkaż? Gdzie będziesz mieszkał, tutaj!

- Dziś przenocuję w hotelu. A potem się jakoś ułożę. Nie sądzę, żeby tak trudno było znaleźć mieszkanie starszemu skromnemu panu.

Wargi żony drżały.

- A o mnie zupełnie nie myślisz?

- Nie - odpowiedział i poczuł się radośnie podniecony.

- Jestem przekonany, że tak naprawdę niepokoi cię jedynie myśl o skandalu. Jakoś przez to przebrniesz. I masz przecież tyle pieniędzy.

Żona nagle zerwała się i pobiegła do sypialni. Usłyszał zgrzyt przekręcanego klucza. Odczuł coś w rodzaju słabego żalu, który jednak zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Wyciągnął ze schowka skórzaną walizkę, kupioną przed dwoma laty, gdy jechali na urlop do Izraela. Nie usiłował wejść do sypialni po elektryczną golarkę, zabrał z łazienki zwykłą żyletkę w oprawce.

W walizce ułożył na wierzchu trzy książki, dwie powieści Dostojewskiego i tomik wierszy Ferlina z pozaginanymi rogami. Wyjął książki na chybił trafił, co w rękę wpadło, nie były więc przykładem jego upodobań. Ferlina jednak lubił.

Zapiął walizkę, ściągnął pasem, zamówił taksówkę.

- Już wyjeżdża - powiedziała panienka z centrali.

Enberg dźwignął walizkę i wyszedł. Gdy brał za klamkę

otworzyły się drzwi sypialni. Wybiegła Astrid z purpurową twarzą.

- Nie ośmielisz się odjechać! - krzyknęła.

- Owszem - odpowiedział i podobnie jak przedtem zdziwił się, że tak łatwo mu przychodzi zachować spokój. - Więc żegnaj - powiedział i wyszedł.

Nie obejrzał się ani razu. Dopiero na ulicy spojrzął na ponurą fasadę i z rezygnacją pomyślał o latach, jakie tu przeżył.

Wsiadł do taksówki.

- Do Continentalu - powiedział.

Panie w recepcji były bardzo życzliwe, ale niestety nie miały wolnego pokoju. Może najlepiej byłoby, gdyby spróbował w informacji hotelowej koło centralnego dworca kolei podziemnej. Ale tyle się odbywa konferencji, że chyba będą trudności ze znalezieniem pokoju w którymś z lepszych hoteli.

Enberg wziął walizkę i powlókł się do informacji. Panienska za ladą była bardzo gorliwa, ubolewała szczerze, ale jedyne, co mogła załatwić, to hotel Chatka na Drottninggatan. Oczywiście nie jest to najwyższa kategoria, ale czysto tam i miło.

Enberg ruszył z walizką przez Vasagatan w kierunku Kungsgatan. Skręcił na prawo w Bryggargatan, tu i ówdzie spojrzął na wystawę jakiegoś sklepu porno i tak powoli dotarł do Drottninggatan.

Już niewiele zostało hoteli starego typu, jak kiedyś koło Świętej Klary. Szkoda, bo dobre były dla tych, których nie stać na zamieszkanie w nowych hotelach, wyrastających jak grzyby po deszczu w nowej i niepomiernej odmienionej dzielnicy, którą koparki zupełnie przeorały.

Parę starych hoteli jednak było: Wiking, Casa, Zbawienie i jak się one tam jeszcze zwą. Enberg dostał pokój w Chatce.

Był zupełnie zadowolony. Umył się i poszedł coś zjeść w

pobliskiej restauracji urządzonej po meksykańsku. Jedzenie było haniebnie drogie, ale Enberg czuł się tak dobrze.

Trochę popatrzył na ludzi, wrócił do swego pokoju i położył się. Zasnął prawie natychmiast.

Ostatnią myślą przed zaśnięciem było postanowienie, że jutro pójdzie do policji i opowie o Ing-Marie i jej niepojętym zainteresowaniu maskami.

Karlstad

Tego wieczoru premier miał być w Karlstad, by przeprowadzić tam kampanię wyborczą w tak zwanym pojedynku z przywódcą opozycyjnej partii centrum. Jan Olsson jechał razem z premierem do Värmlandu, pociągami.

Z racji swego urzędu Sundelin miał zarezerwowany przedział dla siebie, sekundanta i Olssona. Debata w Karlstad miała dotyczyć zawsze aktualnej polityki zdążania do równości.

- Gren sprawił niespodziankę, przynajmniej mnie - powiedział Sundelin. - Nie sądziłem, że tak szybko wrośnie w sytuację, zmieni się w starego wygę.

Dla Olssona, który czytał książkę o bitwie nad Sommą, był z kolei niespodzianką wyraźnie widoczny spokój premiera. Trudno byłoby dać wiarę, że jakakolwiek chmurka zamieni jego niebo.

- To dziwne - powiedział Sundelin - ale polityka jest dla mnie jak narkotyk. Od rana, od powrotu do kancelarii państwa czuję się lepiej pod każdym względem.

- Nie sądzisz, że to, co się stało, daje ci psychologiczną przewagę w debacie? - spytał sekundant, który był już członkiem Riksdagu i miał przed sobą drogę prościutko

wytyczoną do ministerialnego stołka.

- Zastanawiałem się nad tym - powiedział Sundelin. - Słyszałem zresztą, jak ktoś mówił, że ta sprawa równa się wygranym wyborom dla mnie.

Olsson nie brał udziału w rozmowie, przypomniało mu się jednak w tej chwili, że Castro mniej więcej to samo powiedział na wiadomość o zamachu na prezydenta Kennedy'ego. Pierwszą myślą brodatego szefa państwa była pewność, że Kennedy już ma zapewnione zwycięstwo w wyborach.

Ale wcale nie było tak dobrze, pomyślał Olsson i wrócił do opowieści o pierwszej wojnie światowej.

- A jak tobie się zdaje, Olsson? - spytał premier.

Olsson doskonale słyszał pytanie, ale żeby mieć czas do namysłu, udał, że dotarło do niego po paru sekundach.

- Możliwe, że Gren czuje się psychologicznie trochę obciążony, ale nawet jeśli tak, co to jest w porównaniu z tym, co ty czujesz.

Ku swemu zdziwieniu Olsson był zły na Sundelina. Uważał, że premier zbyt lekko przyjmuje swą sytuację. Przypomniała mu się jednak chwila, gdy widział go bez maski polityka. By zachowywać się tak jak premier, trzeba być człowiekiem o dużej sile psychicznej.

- Värmland to nasz mały kłopot, prawda, Bertil?

- Kłopot to chyba za słabe określenie - odpowiedział sekundant, który zagadnienia tej dziedziny kraju znał jak własne pięć palców. - Nie mamy tu na liście żadnego przyciągającego nazwiska.

Premier przerwał mu z udanym zdziwieniem.

- Co? Uważasz, że Gösta nie jest przyciągającym nazwiskiem?

- Nie - brzmiała zimna odpowiedź. - Gösta jest dobry w rządzie, ale agitator z niego Boże się pozał.

Olsson doznawał zabawnego wrażenia, że dwaj politycy

traktują go jak martwy przedmiot, wobec którego mogą się zachowywać zupełnie bezceremonialnie. Postanowił trochę rozprostować nogi.

- Wrócę za pięć minut - powiedział.
- Nie spiesz się - odrzekł premier.

Do wagonu restauracyjnego było blisko, Olsson kupił przy barze piwo, usiadł pod oknem, za którym uciekała równina Närke.

Wlał piwo do nieapetycznego papierowego kubka. Piwo było ciepłe, szybko je wypił i wrócił do przedziału.

Premier i jego podpora wciąż byli pogrążeni w rozmowie dotyczącej taktyki wieczornego spotkania.

- Musimy wszelkimi sposobami unikać pań domu i rodzin wielodzietnych - powiedział premier. - Przyznasz chyba, że nasze argumenty nie mogą przekonywać w tym akurat środowisku. Ucieknę się lepiej do starego prawniczego upiora. Oby żył wiecznie.

- Przydałby się mały skandal na prawicy, jak bywało przy poprzednich wyborach - powiedział sekundant. - Listy składek, sfałszowane deklaracje.

Sundelin z jakiegoś powodu zaczął zdradzać objawy przygnębienia. Długą chwilę patrzył w okno nic nie mówiąc. Machinalnym ruchem pocierał kark. Odchyłał głowę. Wciąż przełykał ślinę, jakby miał mdłości.

Sekundant poczuł głód. Zapiął kołnierzyk; przyciągnął krawat w granatowe paski, poprawił dobrze skrojoną marynarkę.

- Pójdziemy coś zjeść? - spytał.

Premier wolno zwrócił ku niemu głowę.

- Jeśli o mnie chodzi, raczej nie. Głowa mnie trochę boli. Utnę sobie drzemkę.

Sekundant poszedł nie zapytawszy Olssona, czyby nie zechciał mu towarzyszyć. Premier uśmiechnął się blade.

- Uważasz pewnie, że powinien był i ciebie spytać?

- Nie. Przecież bym z nim nie poszedł. I on tak sobie pewnie pomyślał.

- On się uczy - powiedział Sundelin. - Jest jeszcze trochę kanciasty. Potrzebuje ogładzenia. Większość przychodzących do urzędu premiera jest taka. Zdolny, ale nie aż tak zdolny, jak jemu samemu się zdaje.

- Co w ogóle polityk ze starej gwardii może myśleć o tych wszystkich akademikach, którzy wprost ze szkoły zaczynają robić w polityce? Mnie się wydaje, że jest jakieś niebezpieczeństwo w takiej karierze.

- O ile mi wiadomo, i ty w podobny sposób znalazłeś się w Sapo - powiedział Sundelin, a Olsson poczerwieniał. - To nie jest zła droga, trzeba tylko mieć siłę i umiejętność stawiania na niej dalszych kroków.

- Trzeba umieć słuchać, co w trawie piszczy?

- Można to i tak określić.

- Ale czy nie jest paradoksem, że to akademicy stale opowiadają się za radykalizmem w partii i w ruchu związkowym?

- Nie wiem, czy tak jest w istocie. Zbiorowe siły Centralnej Organizacji Związków Zawodowych stanowią chyba większy środek nacisku w kierunku radykalizacji, niż się na ogół sądzi.

- Czy ból głowy przeszedł? - zagadnął Olsson.

- To nic wielkiego. Tylko nerwy dają znać o sobie. Trudno mi o podobną otwartość wobec Bertila.

- Zdaje się, że z Albanią załatwione.

- Tak, Bogu dzięki. Nie rozumiem tylko, jak Lund to wyniuchał. Cytował dosłownie.

Sundelin przesunął po głowie zdumiewająco cienkimi palcami. Nagle uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- Czy ten wariat nie poszedł po prostu do MSZ-u i nie ściągnął dokumentu - powiedział. - Raz już to zrobił, gdy prowadziliśmy błogosławionej pamięci pertraktacje z Nordekiem.

Bystro spojrział na Olssona.

- Mam nadzieję, że nigdzie tego przypuszczenia nie przekażesz.

- Lund już jest u nas notowany.

- Dlaczego?

- Dużo podróżuje. Wyjątkowo liczne kontakty w wielu stronach. Mógłby być niewyczerpanym źródłem wiadomości dla kogoś, kto by się interesował tym, co on wie.

- A teraz w czasie dochodzenia był brany pod uwagę?

- Oczywiście. To samo przez się zrozumiałe.

- A to dlaczego?

- Bo nasunął się kilka razy.

- I to wystarczyło, żebyście go dokładniej prześwietlili?

- Tak. W przeciwnym razie byłoby to niedbalstwo z naszej strony. Tak uważam.

- I doszukaliście się czegoś?

- Nie, w każdym razie mnie o tym nic nie wiadomo. A w ogóle to unikamy niepokojenia dziennikarzy.

- Mnie oczywiście i moje postęпки też zbadaliście?

- W zasadzie chyba tak, przypuszczam jednak, że tak wysoko to się dzieje na odpowiednim poziomie.

- I dlaczego musielibyście węszyć i niuchać w moich sprawach?

- Z czysto technicznych przyczyn przede wszystkim. A poza tym mogłyby wchodzić w grę i inne względy.

- Jakie na przykład? - zabrzmiało to metalicznie.

- Przecież sam się chyba orientujesz.

- Naprawdę nie.

- Teoretycznie można by założyć, że masz zamiar pozostać w jakimś kraju. I przygotowujesz ucieczkę wysyłając tam uprzednio córkę.

- O, wielkie nieba!

- Powiedziałem przecież, że to czysto teoretyczne rozumowanie.

Przybyli do Karlstadu na dobrą godzinę przed rozpoczęciem spotkania w Domu Ludowym. Zarząd Kolei zgodził się zatrzymać pociąg na Wschodnim Dworcu. Stamtąd bez trudności przewieziono premiera do starego imponującego Hotelu Miejskiego przy Klarälven.

- Dziś wieczorem będzie straszna cizba - powiedział jeden z miejscowych dostojników partyjnych, człowiek o twarzy opoja. - Ze stu dziennikarzy już się zgłosiło.

- A Gren przyjechał? - spytał Sundelin.

- Mam zaszczyt zawiadomić pana premiera, że mieszka w tym samym hotelu.

- Myślę, że porządnie bym go wystraszył proponując, by przyszedł tu na drinka - powiedział Sundelin ze złośliwą miną.

W cztery oczy

Mecenas Brodin siedział w spółdzielczej knajpie na Kungsgatan wraz z korpulentnym mężczyzną o ciemnych włosach i kokieteryjnej bródce w szpic. Był to drogi i dobrze zarabiający psychiatra, brał udział w badaniach Jensa Forsa.

Gdyż władze nie zadowolily się opinią zwykłych rzeczoznawców z urzędu, powołały kilku ekspertów, by nikt potem nie mógł nic zarzucić całemu postępowaniu. Kelner w czerwonej kurtce podszedł, by przyjąć zamówienie. Mięso syczało na ruszcie, pod którym płonął węgiel drzewny.

- Zjem chyba solidny kawał mięsa - powiedział psychiatra.

Brodin machinalnie przetarł szkła okularów. Odgarnął włosy z czoła i też zamówił mięso.

- A co podać do picia? - spytał kelner, który wyjątkowo był Szwedem.

Brodin i psychiatra przejrzeni listę win i zdecydowali się na dość drogi tokaj.

- I dry martini przed jedzeniem - powiedział Brodin.

W kilka minut potem dorodna kelnerka przyniosła przejrzyste drinki. Brodin wyłowił cytrynę, potem połknął oliwkę.

Pili w milczeniu. Brodin uporał się z zawartością swojej szklanki w dwóch łykach. Wyglądał na spieszącego się trochę. Psychiatra sęczył powoli.

Brodin trzymał w zębach wykałaczkę, na której przedtem tkwiła oliwka. Psychiatra zapalił papierosa w długiej, pięknie rzeźbionej cygarnicze.

- Rozumiem, że interesuje cię, jak przedstawiają się badania - powiedział.

- Tak. Znalazłem się w nieco dziwnym położeniu wobec nowego rozwoju sytuacji. Nie chciałbym tak bez namysłu wysłać Forsa do Albanii, skoro nie wiem, czy on to wytrzyma.

Psychiatra pociągnął łyczek. Spiczasta bródka wciąż się wznosiła i opadała.

- Według mego rozeznania, nie masz już wyboru - powiedział. - Nie jest chyba możliwe, żebyś się teraz przeciwstawił wysłaniu go.

Brodin przez chwilę wyglądał, jakby chciał zaprotestować, zaniechał jednak tego.

Przez chwilę pogadywali o sprawie czekając na jedzenie. Podano je wreszcie. Psychiatra natychmiast rozkroił płat, by zobaczyć, czy jest niedosmażony, jak sobie życzył. Różowawy sok wyciekł, jak być powinno.

- Rozumiesz chyba, że daleko jeszcze do ukończenia badań.

- A czy nie można by już teraz wyrazić jakiejś opinii? - spytał Brodin i wypił spory łyk czerwonego wina.

- Właściwie nie.

Brodin był zawiedziony.

- A nie masz osobistego poglądu?

Psychiatra wytarł usta rogiem serwetki. Przełknął jedzenie.

- Nie chciałbym wypowiadać mych osobistych wniosków bez skonsultowania się z kolegami. Nie wszyscy psychiatrzy sądowi są zadowoleni z naszego udziału. Gdybym się z czymś wygadał, utrudniłoby to jeszcze współpracę.

- Wiesz przecież, że gdybyś mi okazał zaufanie, nie zdradziłbym się z tym przed nikim - powiedział adwokat trochę urażony.

- Mam na względzie tylko jego dobro.

I swoje własne z pewnością, pomyślał psychiatra.

Przez chwilę panowało milczenie. Od baru dochodził krzykliwy śmiech kobiety. Psychiatra usunął jakąś plamkę z talerza kawałkiem chleba. Potarł koniuszek ucha.

Brodin już skończył. Zawsze jadł szybko i zwykle irytowało go, że inni tyle czasu na to potrzebują. Brodin lubił tempo, pośpiech, nie mógł zrozumieć ludzi flegmatycznych.

- Tak w cztery oczy mogę powiedzieć, co myślę - rzekł sławny psychiatra o brzmiącym z niemiecka podwójnym nazwisku. - Jeżeli przyjmiemy za pewnik, że to zostanie między nami.

- Oczywiście.

Znowu cisza. Brodin wypił zaoszczędzoną resztkę wina. W napięciu czekał na orzeczenie psychiatry. A ten zwlekał.

- Uważam, że Fors jest poważnie chory - oświadczył wreszcie.

- Wygląda na zupełnie normalnego - zaprotestował Brodin.

- To nie jest argumentem świadczącym przeciw chorobie psychicznej.

- Wiem o tym, oczywiście, ale co w nim jest nienormalne?

- Popeniłbym błąd, gdybym się co do tego kategorycznie wypowiedział.

- Na czymś jednak opierasz swe mniemanie?

- Naturalnie. Ale mieliśmy go pod obserwacją zaledwie miesiąc. Zbyt krótko, by powziąć pewny osąd.

- Dlaczego jednak sądzisz, że jest chory? - upierał się adwokat, któremu spieszno było do kawy i koniaku.

Psychiatra wciąż jeszcze jadł, co najmniej jedną czwartą mięsa miał jeszcze na talerzu. Czekał, aż masło mu się na pieczonym kartoflu rozpuści, solił. Wyskrobywał widelcem mączysty miąższ kartofla i wsuwał do ust. Spojrzał na butelkę.

- Nie napiłbyś się jeszcze wina? - spytał adwokata.

- Nie, dziękuję.

Psychiatra wlał resztkę wina do swojej szklanki. Łyknął i mlasnął językiem.

- Doskonały rocznik - powiedział. - Niewiele jest krajów, w których można dostać tyle dobrego wina, co w Szwecji.

- Pytałem, dlaczego sądzisz, że jest chory? - naciskał Brodin.

- To i owo wskazuje, że miewa halucynacje - odpowiedział psychiatra zniżonym głosem. - A to może być symptomem daleko posuniętej choroby psychicznej.

- Schizofrenii?

- Tak, muszę jednak zaznaczyć, że nie wiem nic pewnego. Nie otworzył się, mam jednak wrażenie, że ulega halucynacjom. Może to zabrzmie pretensjonalnie, ale z latami człowiek staje się wyczulony na podobne objawy, zyskuje coś w rodzaju wewnętrznego detektora.

- Ale pewności nie masz?

- Nie.
- A inni? Co sądzą?
- Nie jestem zupełnie odosobniony w tych podejrzeniach.
- Czy można ukryć swą osobowość nawet przed specjalistami?

- Nie na długo. Trzeba tylko znaleźć właściwy otwór w tamie ochronnej. Potem już runie cała rzeka. Ale na to trzeba czasu. Czasu i cierpliwości. Czasem jednego ma się pod dostatkiem, ale drugiego zabraknie. Niestety.

Wreszcie zjadł wszystko. Starannie osuszył brodę.

- Weźmiemy chyba kawę - powiedział adwokat. - Trochę koniaku też nie zaszkodzi.

Dostali mocną kawę i dwa pękate kieliszki, w których szlachetny brązowawy trunek chybotął na dnie. Psychiatrya objął ręką kieliszek, by ciepłem ciała wzmocnić aromat francuskiego koniaku.

Brodin zrobił to samo. Nie żeby mu zależało na polepszeniu smaku, tylko dlatego, że tak należało.

- Jak sądzisz, jak się powiedzie Forsowi, kiedy pojedzie do Albanii? - spytał.

- Będzie mu tak samo dobrze czy też tak samo źle jak tu w kraju. Jeżeli jest tak chory, jak przypuszczam, nie ma to znaczenia.

Po tej wiadomości Brodin poczuł się spokojniejszy. Miał pewnie wyrzuty sumienia z powodu Forsa. Bo cokolwiek można było o adwokacie powiedzieć, trzymał się szlachetnej zasady, by zawsze robić dla swych klientów możliwie jak najwięcej.

- Kiedy pojedzie? - spytał psychiatra.

- Nie mnie pytaj. Wiem tyle co ty. Może co być lada chwila, jeżeli rząd Albanii zgodził się na przyjęcie go.

- Szkoda chłopca, łatwo mu nie będzie.

Adwokat zapłacił czekiem i wstali od stołu.

W barze było rojno. Większość gości piła piwo. Na ladzie

leżało mnóstwo kwitków kasowych, którymi nikt się nie interesował.

- Cóż za zator - zdziwił się adwokat.
- Zamówili whisky.

Na wsi

Tego piątkowego wieczoru, gdy adwokat Brodin uspokoił swe sumienie, a premier wykończył w Karlstad nieszczęsnego centrystę, Arne i Bosse układali piana na następny dzień.

Bosse był zmęczony. Od dawna nie wysypiali się, bo na zmianę czuwali w kuchni pilnując Anniki i Krystyny. Bosse, choć silniejszy, czuł ćmiący ból w tyle głowy, napięcie nerwowe dawało się we znaki.

Arne wybladł, oczy mu zapadły. Czuł, że długo tego nie wytrzyma. Ale nie zamierzał poddać się pierwszy.

- Właściwie nie powinniśmy tu dłużej zostawać - powiedział Bosse swym spokojnym głosem.

- Dlaczego? Tu przecież jest dobrze.

- Nie, za wielu masz znajomych, lada chwila może się ktoś zjawić.

- I co z tego. I tak przecież nie mamy gdzie się przenieść.

- Owszem - odpowiedział Bosse - mamy. Taki tępy chyba nie jesteś, żeby przypuszczać, że zaplanowałem to wszystko, nie mając w rezerwie jakiegoś miejsca do przeniesienia się. Jedyne kłopot to ewentualność, że policja kontroluje przejazdy.

- Ja nie chcę się stąd ruszać - burknął Arne.

- Czy nie ustaliliśmy już raz na zawsze, do kogo należy decyzja?

Głos Bossego był łagodny, ale oczy się zwięzły. Arne

popatrzył na niego i powolutku zaczął odwrót z pozycji zadowolonej.

- To, że jesteś szefem, nie przeszkadza chyba, żebym ja czasem też coś zaproponował - powiedział.

- A czy mówiłem kiedy, że ci nie wolno proponować?

Wciąż ten denerwujący spokój, którego Arnemu nigdy nie udało się naruszyć. Arne wiele by dał za to, by moc sforsować ten wał ochronny. A jednocześnie miał świadomość, że nie potrafi sprostać wewnętrznej sile kompana. Chciałby być taki mocny jak on.

Chociaż Bosse nie powinien być taki pewny siebie. Może i Arnemu zdarzy się szansa. Zamierza ją wykorzystać. Nikt mnie za nos wodzić nie będzie, myśli.

- Kiedy zamierzasz stąd wyruszyć? - spytał nie patrząc na Bossego.

- Zależy. Może jutro rano.

- Dokąd pojedziemy?

- Zobaczysz. Im mniej osób wie, tym bezpieczniej. List do Sundelina masz gotowy?

- Oczywiście.

- Musimy przypilnować, żeby go dostał jutro rano. W radio słyszałem, że dziś jest w Karlstad.

- I jak mu go dostarczymy? Nie można przecież po prostu pojechać i powiedzieć: proszę bardzo, oto list od nas. Jesteśmy porywacze.

- Masz zupełną rację. Tak postąpić nie można. Ale nie martw się. Już ja to załatwię, drobiazg. Co innego mnie niepokoi.

- Co?

- Ing-Marie. Nie podoba mi się, że nie wraca.

- O nią możesz być spokojny.

Głos Arnego dziwnie zabrzmiał i Bosse przyjrzał mu się. Arne próbował wytrzymać to spojrzenie, ale tylko przez kilka sekund mu się to udawało.

- Co masz na myśli? - spytał Bosse.

- Dokładnie to, co powiedziałem - odparł Arne, usiłując przybrać minę twardą i obojętną. - Możesz jej już nie brać pod uwagę.

Arne z cichą radością stwierdził, że po raz pierwszy udało mu się wytrącić współnika z równowagi. Bosse potarł kark, ciężko odetchnął.

- Nie myliłem się - wyjaśnił Arne. - Ing-Marie zamierzała iść i sypnąć.

- Skąd wiesz?

- Bo ją przyłapałem wczoraj w mieście. Nietrudno było wydobyć z niej resztę.

- Gdzie jest teraz?

- Nie żyje.

- Nie wierzę ci.

Arne jakoś znowu stracił przewagę, znowu był w defensywie.

- A dlaczego miałbym kłamać w takiej sprawie?

- To znaczy, że ty ją zabiłeś?

- Tak.

- I jak to się odbyło?

Arne wyglądał, jakby mu się nagle zrobiło niedobrze. Raz po raz przetykał ślinę, pot mu wystąpił na czoło.

- Pytam, jak to się odbyło.

- Udusiłem ją.

- Gdzie?

- W samochodzie.

- W samochodzie - powtórzył Bosse. - A gdzie stał wtedy samochód?

- Na małej bocznej drodze między Märstą i Sigtuną. Tam jest miejsce zwaliki śmieci.

- A dlaczego tam pojechałeś? Przecież to daleko.

- Powiedziałem jej, że zjedziemy gdzieś w bok, że mam straszną ochotę. Nic nie podejrzewała.

- I udusiłeś ją. A jak?

- Rękami ścisnąłem, a potem wepchnąłem w gardło jej własne majtki.
- A co z nią potem zrobiłeś?
- Zawlokłem do lasu. Zdrapałem trochę mchu, przykryłem ją mchem i narzuciłem dużo gałęzi.
- Gdzie tam mech rósł?
- Na ziemi oczywiście.
- I dlaczego ją pozbawiłeś życia? Czy nie rozumiesz, że lepiej było przywieźć ją tu i przemówić jej do rozumu?
- Zamierzała iść i sypnąć - głos Arnego stał się piskliwie ostry.
- Opanuj się - syknął Bosse. - Stało się, trudno. Nie pojmujesz jednak, że tamta jej dziewczyna zacznie coś podejrzewać?
- Nie przypuszczam. Uprzedziłem ją, że Ing-Marie z tygodnia nie będzie przychodzić. Była uradowana. To dla niej oznacza wyższe zarobki.
- Bosse zmienił temat.
- Widziałeś pewnie dzisiejszy „Express”.
- Tak. A co masz na myśli?
- Jakiś idiota znowu daje sto tysięcy temu, kto udzieli informacji o tych dwóch - wskazał głową w kierunku pokoju.
- Tak, widziałem. Teraz to już duża suma. Razem sto pięćdziesiąt tysięcy.
- Właśnie. W każdym bądź razie w nocy pojedę do miasta z listem do Sundelina. Ty zostaniesz tutaj.
- All right.
- I pamiętaj, że masz dziewczynę zostawić w spokoju. Nie stać nas na to, żeby więcej ryzykować. Spróbuj wbić to sobie w pamięć.
- Tak, tak - powiedział Arne niecierpliwie. - Wcale nie mam zamiaru jej gwałcić.
- Mam nadzieję. Za parę dni wszystko będzie załatwione, oczywiście, jeżeli nie znajdą Ing-Marie. Nie wiesz, czy ona

ma jakichś krewnych?

- Ma dwuletniego synka. Ale ktoś go zaadoptował i pewnie rad jest, że ona się nie pokazuje. Rodzice jej nie żyją.

- A rodzeństwo?

- Owszem, ma starszą siostrę. Mieszka w Malmö i nie widziały się od paru lat.

- Skąd wiesz to wszystko?

- Ing-Marie mi opowiedziała, jak tylko się poznaliśmy.

- Trudno było ją zabić?

Arne odpowiadając na to znieczeka postawione pytanie bliski był ataku hysterii.

- Czy nie możesz już przestać! Przecież wszystko opowiedziałem.

- Nie, wcale nie wszystko. Pytałem, czy trudno ją było udusić.

Arne zamknął oczy.

- Ścisnąłem ją za szyję, kiedy leżeliśmy razem. Nie stawiała oporu, nie zdążyła.

- A potrafiłbyś znaleźć to miejsce, gdzie ją ukryłeś?

- Jasne, że bym potrafił, ale nie mam zamiaru jeszcze raz tam pojechać.

- Rozumiem.

Cała ta rozmowa prowadzona była po cichu i Annika nie mogła nic usłyszeć. Oni natomiast słyszeli skrzyp łóżka, gdy któraś z dziewcząt się poruszała, szum drzew za oknami i bębnienie deszczu o szyby.

- Jeżeli ją odnajdą, źle z tobą będzie. Policja wie przecież, żeście się razem trzymali.

- Ona nigdy nie miała żadnej wpadki z gliniarzami - zapewnił Arne. - Wiem z całą pewnością.

- Policja wie o wszystkich prowadzących burdele. Już oni zawsze wywąchają. Ze względu na ciebie wolałbym, żeby jej nikt nie znalazł. Miejmy nadzieję.

- Mówię ci przecież, że możesz się nie martwić.
- To nie ja się muszę martwić, tylko ty. Nie zapominaj, że nikt nie będzie mnie łączyć z tobą i Ing-Marie. Nikt nas razem nie widział. Bo chyba nie wygadałeś się przed nikim?
- Czyś ty z byka spadł?
- No, żartowałem tylko.

Teraz na dobre się rozpadało. Wielkie krople deszczu uderzały o szyby. Wiatr się wdzierał. Bosse wstał, włożył jasną wiatrówkę. Zaciągnął zamek.

- Daj list, pojedę - powiedział. - I nie zapominaj, co ci mówiłem o tej dziewczynie za ścianą.

Arne podał mu zwykłą białą kopertę. Zaklejoną, ale Bosse natychmiast ją otworzył i list przeczytał. Potem wyjął z kuchennej szafki nową kopertę.

- No, tymczasem - powiedział. - Za jakieś dwie godziny wrócę.

Spotkanie

Właścicielowi sklepu z zabawkami od dawna nie zdarzyło się tak dobrze spać. Obudził się dopiero koło ósmej. Ubrał się i poszedł na śniadanie do pobliskiej kawiarni. Przyjemnie było móc w spokoju przeczytać gazetę.

Najpierw przejrzał wszystko. Wciąż przeważała sprawa porwania, ale widać było, że nowych odkryć zaczyna dziennikarzom brakować. Większość artykułów została sklecona ze starego materiału.

Po śniadaniu Enberg pojechał do swego sklepu. Zbyt wielu klientów nie zjawilo się, ale ci, którzy przyszli, kupili coś niecoś. Mógł więc w podsumowaniu stwierdzić, że tego dnia nie stracił. Wiedział dokładnie, jak duży obrót musi mieć,

żeby mu się opłaciło tkwić parę godzin za ladą. Choć oczywiście zapłaty za swoją pracę tak, jakby wcale nie brał.

Odziedziczył sklep po rodzicach. Pozostawili mu także spory krąg klientów. Właściwie mały sklepik tej branży nie miał racji bytu, on jednak jakoś się utrzymywał przez tyle lat.

Oczywiście będzie mu znacznie ciężiej teraz, kiedy nie może oglądać się na pieniądze żony. Astrid była bardzo zamożna. Nie bogaczka, ale właśnie zamożna.

Enberg westchnął ciężko, myślał o latach z Astrid. Parę razy w ciągu dnia usiłował wzbudzić w sobie tęsknotę i smutek, ale uczucia jakoś się nie zjawiały.

Zupełnie po prostu rad był, że wreszcie może żyć samodzielnie.

Prócz zabawek Enberg sprzedawał mnóstwo artykułów służących głupim żartom. Ostatnim tego dnia klientem był dziesięcioletni chłopiec, który kupił proszek wywołujący swędzenie. Enberg uśmiechnął się na myśl o tym, jak on sam w dzieciństwie wyzebrywał proszek u ojca, który jako człowiek uprzejmy i delikatny nie chciał sprawić synowi przykrości.

O pierwszej Enberg zamknął, bo była sobota. Powinien był jeszcze wstąpić do sklepu monopolowego, ale zapomniał o tym. Włożył jasny popelinowy płaszcz i z parasolem w ręce wolno szedł przez Sveavägen.

Z początku bezplanowo oglądał wystawy, potem nabrał odwagi i wsiadł w autobus nr 54 idący na Kungsholmen. W jakieś dziesięć minut później wysiadł przy ratuszu, imponującej budowli, wyglądającej jak średniowieczny zamek.

Wiele, wiele lat minęło od czasu, jak był w tych stronach. Tak dawno to było, że wtedy kryminalna mieściła się przy Bergsgatan, myślał, że dalej się tam mieści. A tam teraz były małe sądy okręgowe, gdzie ludzie rozwodzili się, byli skazywani za prowadzenie w stanie nietrzeźwym i wymierzano

im grzywny za przekroczenie przepisów drogowych.

Enberg zagadnął strażnika, który wyjaśnił mu, że kryminalna mieści się obecnie w nowym budynku policji na Kungsholmgatan. Jeżeli sprawa nie dotyczy narkotyków, bo jeżeli tak, powinien pojechać na Västberga.

- Nie, to nie dotyczy narkotyków - powiedział Enberg.

- Ani pożaru? Bo komisja pożarowa też jest na Västberga.

- Nie, pożaru także nie.

Enberg minął komendę policji, przed którą zaparkowane były liczne samochody posterunkowych. Właśnie dwaj policjanci nadjechali w czarno-białym samochodzie. Wywlekli pijanego do nieprzytomności chłopaka, który bezwładnie wymachiwał rękami. Wzięli go pod ramiona i wepchnęli w drzwi. Ruchy ich były niemal automatyczne. Po prostu czynność, jaką powtarzali wiele razy dziennie.

Enberg wśliznął się do wielkiego hallu, gdzie siedział strażnik w zielonym mundurze. Sklepiak uprzejmie uchylił kapelusza i przedstawił swą sprawę.

- Chciałbym zobaczyć się z kimś, kto zajmuje się porwaniem.

- Chodzi o jakąś informację?

- Tak, właśnie.

Strażnik wyjaśnił mu, którądy ma iść. Potem podniósł słuchawkę i nakręcił numer wewnętrzny. Enberg usłyszał jakiś głos w telefonie.

- Tu portiernia - powiedział strażnik. - Przyjdzie jeszcze jeden.

- Czy wiele osób chce pomóc w poszukiwaniach?

- Można powiedzieć, że sporo - odpowiedział strażnik i wrócił do czytania „Aktualności”.

Enberg niewątpliwie trochę zbity z tropu uwagą strażnika

wszedł na schody i udał się we wskazanym kierunku.

Udało mu się bez trudu dotrzeć do miejsca przeznaczenia. Mała poczekalnia, cztery krzesła. Trzy już zajęte przez dwie kobiety i jednego mężczyznę.

Jedna z kobiet - w średnim wieku - miała potężny biust a na czubku głowy mały zwariowany kapelusik. Druga, trochę młodsza, ze skwaszoną miną, trzymała na kolanach jakąś odwieczną, niemodną torebkę.

Mężczyzna był w wieku Enberga. Czytał tygodnik „Policja Szwedzka”. Na okładce widniał policjant w towarzystwie szczerzącego zęby ogromnego owczarka.

Enberg usiadł na wolnym krześle, o metr od drzwi, na których widniało nazwisko Gustavson. Pewnie ten, który przyjmował informacje od ludności.

- Czy trzeba się może zgłaszać? - spytał Enberg po dwóch minutach oczekiwania.

- Nie, wywołują - wyjaśniła kobieta w kapeluszu.
- Dziękuję.

Po kwadransie z pokoju z szyldzikiem „Gustavson” na drzwiach wyszedł jakiś mężczyzna i przeszedł przez poczekalnię z niewidzącym spojrzeniem, jakie zwykle miewają ludzie w tego rodzaju lokalach.

Jeszcze minuta i drzwi się znowu otwarły i wyrzwał z nich wysoki mężczyzna o włosach ostrzyżonych na jeża, w szarej marynarce, przypominającej dawne mundury strażników.

- Proszę bardzo. Czyja kolej?

Podniosła się pani z niezadowoloną miną. Widocznie nie tak wiele miała do powiedzenia, bo wyszła już po pięciu minutach. Wtedy czekający mężczyzna odłożył gazetę, poprawił krawat i wszedł do pokoju. Opróżnione krzesło natychmiast zostało zajęte przez młodego człowieka z wąsikami, ubranego w skórzaną kurtkę.

Enberg musiał czekać godzinę z okładem, nim wreszcie i na niego przyszła kolej. Zdążył przeczytać cały numer

„Szwedzkiej Policji” i stary tygodnik z pozawijanymi rogami. Strona rozkładowa ze środka, gdzie wedle reklamowej zapowiedzi na okładce miała się znajdować podobizna zboczonej dziewczyny, była wyrwana.

Mężczyzna w szarej mundurowej marynarce wskazał Enbergowi krzesło. Na stole stał magnetofon. W popielniczce leżały trzy gilzy. Policjant po dojrzałym namyśle wybrał jedną z nich i napchał tytoniem z blaszanego pudełeczka.

- Jestem pierwszym asystentem, moje nazwisko Gustavson - powiedział po chwili, która wydawała się Enbergowi długa jak wieczność. - A jak pan się nazywa?

- Enberg.

- Chwileczkę - powiedział rozmówca - zapomniałem włączyć magnetofon. No, już. I jeżeli można, to teraz proszę o pełne imię i nazwisko.

Enberg spełnił żądanie. Gustavson wydmuchał pod sufit wielki kłęb dymu.

- A więc ma pan coś do powiedzenia w sprawie Sundelina? - spytał.

- Tak, zgadza się - powiedział Enberg i opowiedział historię o Ing-Marie i kupnie masek.

- Interesujące - powiedział Gustavson głosem, który przeczył treści wypowiedzanego słowa. - Czy chce pan jeszcze coś dodać?

- Dzwoniłem już do policji i mówiłem o tym - powiedział Enberg. - Ale jest coś, czego wtedy nie powiedziałem.

- Cóż takiego mianowicie?

- To, że znam tę dziewczynę od dawna.

- Ach, tak.

- Ona prowadzi atelier na Döbelngatan. Pozuje.

Po raz pierwszy na flegmatycznej twarży Gustavsona zapalił się błysk zainteresowania.

Oczyścił fajkę zapalką, potem wystukał o kant kosza do śmieci.

- Na Döbelnsgatan, powiada pan. A jaki numer?

Enberg udzielił odpowiedzi.

- Od jak dawna zna ją pan?

- Od paru lat.

- A więc żyje pan z nią.

Enberg zamierzał odpowiedzieć, że nie żyje się z dziewczętami z burdelu, ale powstrzymał się od tej uwagi.

- Tak - odpowiedział

- Czy wie pan o niej coś więcej?

- Absolutnie nic.

- Więc nie wie pan, czy ma kogoś, jakiegoś chłopaka?

- Nie rozumiem. Musi przecież znać mnóstwo mężczyzn. W jej zawodzie to oczywiste.

Gustavson westchnął ciężko. Jak gdyby wszystkie zmarnięcia świata spoczywały na jego barkach.

- Mam na myśli kogoś, z kim żyje na stałe - powiedział.

- Nie.

- Tak, to chyba nic nowego się nie dowiedzieliśmy.

Damy panu znać, jeśli będzie trzeba. Gdzie pan mieszka?

Enberg powiedział, że chwilowo w hotelu Chatka na Drottningatan. Gdyby się przeprowadził, zostawi nowy adres portierowi.

- A więc do widzenia, panie Enberg.

Właściciel sklepu z zabawkami opuścił pokój. Poszedł na przystanek autobusowy koło ratusza. Ponieważ autobus jakoś nie nadjeżdżał, postanowił wrócić do hotelu piechotą. Nie wiele czasu zajęło przejście przez Kungsholmgatan do Fleminggatan. Potem przez most i przez Vasagatan, gdzie poruszać się jest o wiele łatwiej teraz, gdy Kungsgatan została zamknięta dla pojazdów.

W hotelu ściągnął windę. Właśnie gdy drzwi windy się zamknęły, jakaś dziewczyna zbiegła po starych schodach.

Enberg przysięgłby, że to była Ing-Marie.

Czekać

Rzeczywiście była to Ing-Marie. To ją zobaczył Enberg zbiegającą po schodach. Już dwa dni mieszkała w tym hotelu, od chwili gdy Arne ją przyłapał na tym, że zamierzała iść na policję i sygnąć ich obu, Arnego i Bossego.

Łatwo dała się przekonać. Wciąż jeszcze z łatwością ulegała Arnemu.

- Musisz parę dni odczekać, siedzieć cicho - powiedział. - Jestem pewien, że podniosą nagrodę.

I miał rację. Już w piątek wieczorem przeczytała w gazecie o dodatkowych stu tysiącach.

- Tylko musisz robić to, co ci powiem.

I powiedział jej, jaki ma plan. Wmówił Bossemu, że Ing-Marie nie żyje. Żadna sztuka przekonać go o tym.

- Naprawdę pewien jesteś - powątpiewała Ing-Marie. - To sprytny facet.

- Spokojna głowa. Zostaw to mnie.

Niełatwo było znaleźć hotel. Z początku próbowali w kilku miejscach, gdzie Ing-Marie mieszkała, gdy jeszcze chodziła po ulicy, żeby zbierać pieniądze na pierwsze komorne, bo gospodarz żądał z góry.

Wszędzie przepelnienie. Pokoje zajmowała nowa generacja podlotków uprawiających przygodną prostytucję.

- Chętnie bym ci pomogła - powiedziała jedna z zarządzających pensjonatem - ale widzisz, że nie ma możliwości.

Nie było więc rady, trzeba było wziąć droższy pokój. Dlatego mieszkała w hotelu Chatka. Dość dobrze się tu czuła. Przyjemny był taki mały urlop po ciężkiej pracy w atelier.

Ing-Marie była odważną, zuchwałą dziewczyną. Może nie od początku, ale z latami stwardniała na kamień. Prawie zawsze musiała sobie sama dawać radę.

Teraz miała dwadzieścia lat. A zaczynała pracę w branży mając szesnaście. Przed dwoma laty urodziła chłopca. Jonas był jedynym słabym punktem w twardym pancerzu. Próbowowała się nim zajmować, ale to nie było łatwe. Umieściła go w domu dziecka w Skärholmen. Przeszło rok go nie widziała.

Ing-Marie wciąż walczyła z sobą, taką miała ochotę pojechać na Döbelnsgatan i skontrolować Raiję. Pewna była, że Finka wesoło sobie żyje i mało dba o to, żeby zbyt ściśle wyliczać się z tego, ile zarobi. Co nie znaczyło wcale, że miała coś do zarzucenia Raiji, która była przystojna i za ich pieniądze dawała klientom to, co im się należało. Toteż wracali.

Ing-Marie miała trochę gotówki w banku - koło dwudziestu tysięcy. Udało jej się ukryć je przed Arnem, który lubił żyć szeroko pod każdym względem. Właściwie nic nie miała przeciw temu. Sama też chciała użyć. Ale nie trzeba przecież koniecznie wyrzucać tysięcy koron tygodniowo na wyścigi.

A teraz nadarza się okazja, żeby zarobić sporą sumkę. Wystarczy palcem ruszyć. Tylko wciąż ten Arne, zabierze większość pieniędzy.

A gdyby tak...

Trochę bała się Arnego. Coś z sadysty w nim było. A jednocześnie był właściwie dziwnie słaby, mięczak. Jeśli czasem zdobyła się na odwagę, by sprzeciwić się jakiemuś z jego kaprysów, przeważnie ustępował. Ale tak zupełnie pewna nie czuła się nigdy, był nieobliczalny.

Bossego mało znała. Pyszałek. Wydawał się twardy i bezgranicznie pewny siebie. W gruncie rzeczy nic jej nie obchodził.

Ing-Marie bardzo rzadko martwiła się o przyszłość. Póki ma atelier, zawsze pieniądze napływają. A tylko pieniądź coś znaczy. Chciałaby mieć dużo pieniędzy.

Może jednak...

Co właściwie wiedziała o Bossem? Wciąż był tajemniczy. Arne mówił, że Bosse siedział w więzieniu, ale nie wiedział, za co. A z czego żył?

Z początku myślała, że Bosse, jak wielu innych z kręgu ich znajomych, żyje głównie z narkotyków, ale teraz nie była tego pewna.

Ing-Marie parę razy zakosztowała haszyszu, ale dalej nie chciała się posuwać. Co innego wódka. Przeważnie wypijała dziennie pół litra whisky. Nie licząc tego, czym ją częstowano i co wypijali z Arnem w knajpie.

Gdy Enberg zauważył Ing-Marie, spieszyła się do niedawno otwartej restauracji przy Malmskillnadsgatan, by zjeść obiad, a przede wszystkim wypić parę kolejek.

Ing-Marie szła przez Mäster Samuelsgatan. Parę razy przejeżdżające samochody niemal ocierały się o nią. Faceci, którzy przypuszczali, że jest do wzięcia. Miała pokusę zrobić parę stów, ale powstrzymała się.

W restauracji zatrzymała się przy barze. Gruby barman poznał ją.

- Dry martini? - spytał.
- Tak, proszę.

Wypiła szybko z obojętną naturalnością, która znamionuje stałych konsumentów alkoholu.

- Proszę jeszcze raz - powiedziała.

Zabrała szklankę i usiadła przy stoliku pod oknem. Jadła

jak zwykle mało. Trzeba mieć linię, żeby się utrzymać na sztokholmskim rynku ciał. Popijała wodą.

Natomiast pozwoliła sobie na koniak do kawy. Opuszczając lokal czuła się przyjemnie podniecona.

Przypomniała sobie, że obiecała Arnemu czekać po południu, bo mógł zadzwonić. Wkrótce powinno się coś zdarzyć.

Podreptała do hotelu, stukając cienkimi obcasami. W kiosku przy jednym z wysokościowców kupiła gazety wieczorne. „Express” zamieszczał wielkie zdjęcia Anniki i Krystyny.

Ładna, pomyślała Ing-Marie przyglądając się portretowi Anniki. Już Arne jej nie zostawi w spokoju. Tego jestem pewna.

Wcale nie wymaga, żeby Arne był jej wierny. Byłoby to zupełnie nierealne żądanie. Wciąż mu się coś przydarzało. Tak bardzo się tym nie przejmowała. Wracał do niej po każdym wyskoku. Potrzebny jej był jako partner do łóżka. Nikt mu nie dorównywał.

W hotelu zapytała właścicielkę siedzącą w portierni, czy ktoś o nią pytał.

- Chyba nie. Chociaż chwileczkę, dowiem się.

Zniknęła w przyległym pokoju i po chwili wróciła z wiadomością.

- Mąż mówi, że jakiś pan pytał o panią.

- A kto to był, przedstawił się?

- Nie, po co miał się przedstawiać, on tu mieszka!

- Co??

- Tak, ten pan mieszka w szóstce. Nazywa się Enberg. Sześćdziesiąt lat.

- Aha, rozumiem - skłamała Ing-Marie. - Jest teraz u siebie?

- Nie, wyszedł przed chwilą.

- A mówił może, kiedy wróci?

Sprawdziwszy papierki spięte metalową klamerką hotelarka odpowiedziała:

- Tak, nad wieczorem.

Ing-Marie poszła do swego pokoju. Usiadła w fotelu. Kto to może być, kto ją zna i mieszka tu w hotelu? Sześćdziesiąt lat. Doszła do słusznego wniosku, że musi to być jakiś klient. I wie, jak ona się nazywa. A mało kto znał jej nazwisko.

Może lepiej byłoby się wyprowadzić z tego hotelu. Nie należy ryzykować. Tylko jak zawiadomić o tym Arnego?

Zastanawiała się przez chwilę. Potem sięgnęła po słuchawkę i nakręciła numer atelier. Jakiś obcy głos się odezwał.

- Czy mogę mówić z Raiją?

- A można wiedzieć, kto dzwoni? - uprzejmie spytała obca dziewczyna.

- Ing-Marie.

- O! Chwileczkę.

Raija podeszła po dobrej minucie. Trochę zdyszana i chyba odrobinę zaniepokojona.

- Właśnie mam klienta. Dziwisz się pewnie, kto przyjął telefon. To moja siostra, pracuje tu, póki nie wrócisz. Twój chłopak powiedział, że mogę to tak załatwić.

- Owszem, nic nie mam przeciwko temu, jeżeli dostanę, co mi się należy. O co innego mi chodzi. Jeżeli Arne zadzwoni, bądź tak dobra i powiedz, że muszę się przeprowadzić. Zadzwoń do was znowu, jak znajdę inny pokój.

- Powtórzę mu.

- I pamiętaj, że mam mieć pięćdziesiąt procent z tego, co zarabiasz ty i twoja siostra.

- Oczywiście. Możesz zaraz przyjść, jeżeli chcesz.

- Tak znowu mi się nie spieszy. Wiem, jaki obrót mniej więcej powinien być, pamiętaj o tym.

Ing-Marie zabrała się do pakowania. Niewiele tego było.

Właśnie rozglądała się po pokoju, czy czegoś nie zapomniała, gdy zapukano do drzwi.

- Proszę - powiedziała. Drzwi się otwały.
- Coś podobnego, to ty? - powiedziała Ing-Marie.

Noc

W godzinę po wyjeździe Bossego do miasta Arne wciąż siedział przy kuchennym stole.

Był bardzo zmęczony. W oczach mu się ćmiło. Trudno mu było zebrać myśli. Wciąż wracały do punktu wyjścia, w kółko to samo. Bardzo to było irytujące. A tak chciał, by mu się w głowie rozjaśniło właśnie teraz, gdy wszystko zdawało się zmierzać do jakiegoś rozwiązania.

Wstał, wlał do rondelka trochę wody, zagotował i zrobił sobie filiżankę neski.

Od czasu do czasu podchodził do drzwi, za którymi znajdowały się dziewczęta. Przykładał ucho do futryny i słuchał. Żadnego szmeru. Aż go w piersi ścisnęło. A jeżeli ona tam coś knuje? Co zrobi, jeżeli ona spróbuje ucieczki? Dotykał pistoletu w kieszeni, by odzyskać nieco pewności siebie. Na chwilę pomagało, ale po paru minutach znowu był przy drzwiach.

Chociaż wiedział, że sam sobie szkodzi, wyciągnął z szafki butelkę whisky. Pił prosto z butelki.

Poczuł skurcz żołądka, oczy mu zaszyły łzami. Parę razy przełknął ślinę i z największym wysiłkiem opanował mdłości.

Jeszcze raz przytknął butelkę do ust. Tym razem alkohol jakos lepiej przepłynął przez gardło. Chwilę rozważał, czy jeszcze łyk pociągnąć, dał jednak spokój. Na wszelki wypadek nie schował butelki. Czyżby nie potrafił już pić wódki? Jak dotąd niewielu było takich, którzy potrafili mu dorównać.

A jednocześnie wiedział dobrze, że alkohol dziwnie na niego działa. Potrafił wypić dużo i nikt by tego po nim nie poznał. Ale potem, gdy już przekroczył granicę tolerancji, robił się nagle zupełnie pijany. Parę razy już mu się to zdarzyło. Co nauczyło go pewnej ostrożności przy picciu.

Myślał, jak tam Ing-Marie daje sobie radę. Bez oporu zgodziła się na propozycję podzielenia się nagrodą. Uśmiechnęła się z zadowoleniem. Zobaczy je na książycu. Nie zamierzał się z nikim dzielić, potrzebne mu były pieniądze.

Sama myśl, że mógłby dotrzymać umowy z Ing-Marie, wydawała mu się niedorzeczna. A czy ona nie zamierzała iść do gliniarzy? Niech posmakuje tego, czym chciała innych poczęstować.

Wódka rozluźniła napięcie, łatwiej mu teraz było myśleć. Oczywiście pewien niepokój w nim tkwił. Jak też zareaguje Ing-Marie, kiedy się przekona, że ją nabrał.

Nad tą możliwością nie zastanawiał się dotąd. Robienie dalekosiężnych planów nie leżało w jego naturze. Był człowiekiem natychmiastowych decyzji, często kierował się intuicją. Właściwość ta, początkowo będąca wielką zaletą w interesach, na dłuższą metę stawała się obciążeniem. Taką samą metodą posługiwał się stawiając na konia czy tkwiąc przy ruletce. Od czasu do czasu zdarzała się duża wygrana, ale częściej tracił, tracił mnóstwo pieniędzy.

Czasem brał się do handlu narkotykami. Optało się, ale i w tej branży też pozostał tylko płotką. Lubił szybki i łatwo

dający zarobek interes, ale żadnych dłuższych i bardziej zawiłych zobowiązań.

Nie mógł zrozumieć ludzi takich jak Bosse, który go odstraszał pewnością siebie, zimną krwią, opanowaniem w każdej sytuacji.

Myśląc o Bossem Arne zacisnął usta. Wyciągnął grzebień z tylnej kieszeni, Poczul obrzydzenie na widok sypiącego się łupieżu. Cholera. Wydostać się z tej dziury. Ciepła kąpiel, świeże ubranie i miły gwar knajpy. Kierownik sali podprowadzający go do stałego stolika. Takie życie go fascynowało. Pozwalało mu czuć się kimś. Przechowywał parę wycinków z „Wydarzeń Tygodnia”.

„Młody milioner (samochody!) Arne Risefelt należy do prawdziwej śmietanki Sztokholmu. Na zdjęciu widzimy go zdążającego na premierę w dyskotecę wraz z nową wybranką”.

To były czasy. Pamiętał przyjęcia, które go kosztowały po kilkadziesiąt tysięcy. Jak się chce należeć do dobrej kompanii, trzeba mieć i na płacenie za to. Chciał tam wrócić! Brakowało mu tylko jakiejś sumy na początek. I nikt, a już najmniej kobieta, nie przeszkodzi mu w jej zdobyciu.

Kobieta. Tej tam dziewczynie też się wydaje, że jest czymś nadzwyczajnym. I niby dlaczego tak nosa zadziera? Służąca premiera. Pewnie jest nie tylko służącą. Tego i owego musiała się tam nauczyć.

Twarz Arnego sposepniała. Wspomniął rozkaz Bossego, żeby się trzymał z daleka. Dobrze, dobrze. Da jej spokój. Nie ona jedna na świecie. Ale ładna jest.

Wyjrzał przez okno. Rozpadało się na dobre. Przez chwilę wodził palcem po szybie w ślad za sphywającą kroplą. Wyglądał jak nad wiek wyrosnięte dziecko. Palcem dotarł do parapetu, kropla zniknęła. Arne potrząsnął głową i przestał się zabawiać.

Znowu poczuł się rześki. To dobry wpływ whisky. Butelka wciąż stała na stole i jej złocistożółta zawartość połyskiwała zachęcająco. Sięgnął po butelkę.

Wyciągnął korek i usłyszał jedyny w swoim rodzaju świszczący odgłos, gdy korek wydobył się z szyjki. Zawiesisty zapach whisky załaskotał w nozdrza. Poczuł gwałtowny przypływ mdłości, zakorkował butelkę. Wstał od stołu. Raz jeszcze zatrzymał się przed drzwiami pokoju. Wydało mu się, że słyszy równy oddech. Przestał ścisnąć kolbę pistoletu.

Ciekaw jestem, czy odważyłbym się strzelić, pomyślał. Ciekaw jestem.

Usiłował wyobrazić sobie, jak palec wskazujący zgina się, naciska spust i kula zdmuchuje Annice pół głowy. Sama myśl spowodowała silną erekcję. Jak zwykle w tym stanie poczuł się na pół zahipnotyzowany. Z niemałym wysiłkiem otrząsnął się z nastroju. Kusiło. Ziewnął szeroko.

Spojrzał na zegarek. Po wpół do pierwszej. Bossego nie ma już od półtorej godziny. Parę godzin mnie nie będzie, powiedział.

Arne jeszcze kilka razy zmoczył ręcznik, wytarł twarz. Zmęczenie ciążyło na ramionach, przytłaczało. Czuł, że go pokona. Przetarł oczy. Wcale nie pomogło. Jedyny efekt, iż jeszcze bardziej mu się w nich ćmiło. Krążył po kuchni. Jeśli usiądzie, zaśnie natychmiast.

Zastanawiał się, jak też Bosse postąpi, by doręczyć list Sundelinowi. Już on coś wymyśli, chytry drań.

Arne nie był pewien, czy rzeczywiście udało mu się przekonać Bossego, że Ing-Marie nie żyje. Wyglądało, jakby nie dowierzał, ale to nie takie ważne.

Chyba jednak go przekonałem, myślał. Muszę sobie przypomnieć, co mówiłem.

Usiadł przy stole. Trochę różnie się czuł. Wyjął paczkę papierosów. Pstryknął zapalniczkę Ronsona - pamiętkę tłustych dni.

Przechylił głowę i wypuścił kilka krążków dymu. Długo trenował, by nauczyć się tej sztuki.

Zakołysał się na krześle, stuknęło o podłogę i przesunęło się. Akurat tak, że mógł dosięgnąć butelki. Wypił łyk, potem drugi.

Parę razy zaciągnął się papierosem. Zaczynał się naprawdę dobrze czuć. A gdyby tak rzeczywiście poderwać tę dziewczkę. Pewnie by nic nie miała przeciw temu. Przestraszyć ją porządnie, a potem wziąć, żeby krzyczała.

Spojrzał na zegarek. Trudno mu było utrzymać wzrok na jednym miejscu, musiał zamknąć jedno oko, żeby się upewnić, gdzie stoją wskazówki. Robi się pijany. Co tam! Wszystko jedno.

Znowu pociągnął z butelki. Strużka whisky spłynęła mu na brodę. Zataczając się podszedł do szafy i wyjął swą maskę. W masce weźmie się do Anniki, to ją jeszcze bardziej przestraszy. Wciągnął maskę i nagle poczuł się okropnie. Wymioty rzuciły się do gardła, utkwiły pod gumową twarzą.

W panice zerwał maskę, żołądek się w nim przewracał, a jego ciepła zawartość rozmazywała po nosie i włosach. Trupio blade, pojękiwał jak dziecko. Wywrócona na lewą stronę maska leżała na podłodze.

Rozległo się pukanie w drzwi pokoju.

Ubrudzony i upokorzony dowlókl się do drzwi.

- Co tam? - wymamrotał.

- Czy mogłabym w czymś pomóc?

W głosie Anniki brzmiało współczucie i niepokój.

- Chory jestem - powiedział Arne, mile zaskoczony tym zainteresowaniem.

- Proszę otworzyć drzwi, pomogę.

Nie zastanawiając się, jakie to ryzykowne, przekręcił klucz i otworzył drzwi. W ciemności pokoju nie mógł dojrzeć Anniki.

- Gdzie jesteś? - spytał.

Pierwsze uderzenie nogą rozkręconego krzesła trafiło go w kark. Krzyknął z bólu i wycofał się do kuchni. Annika tuż za nim z podniesioną nogą krzesła.

Arne próbował wyciągnąć z kieszeni pistolet, lecz kurek zawadził o materiał. Płakał. Łzy spływały mu po twarzy.

Annika zamierzyła się ponownie. Arne zasłonił się ramieniem. Okropnie zabołało, gdy trafiła go twardym kantem.

- Przestań, przestań - jękał.

Niby to celując w podbrzusze, rąbnęła go w głowę, w sam czubek czaszki, Arne osunął się na kolana. Hałas obudził Krystynę.

- Annika! - zawołała. - Co się dzieje?

Annika posunęła się o krok i zamachnęła się do nowego uderzenia.

- Wystarczy - powiedział głos z drugiego końca kuchni.

Annika spojrzała. Stał tam Bosse, najwyraźniej ubawiony. Choć mały pistolet w jego ręce wcale nie był zabawny.

- Idź, zajmij się Krystyną - powiedział. - Słyszysz przecież, że się przestraszyła.

- A tak już byłam bliska - powiedziała Annika.

- To prawda - przyznał Bosse.

Czubkiem buta trącił gramolącego się z podłogi Arnego.

- Wstań - powiedział przyjaźnie.

Arne coś niezrozumiale zabełkotał w odpowiedzi. Bosse silniej go kopnął. Arne stanął na czworakach, wolno i z godnością dźwignął się na jedną nogę, usiłował wstać.

Nie udało się, upadł, wrócił do punktu wyjściowego.

Bosse roześmiał się.

- Jak mogłeś się tak upić?
- Nie wiem.
- A kto ma wiedzieć? - zdziwił się Bosse.

Arne od początku podjął trud wstawania. Tym razem udało się. Stał chwiejąc się. W dalszym ciągu umazany własnymi wymiocinami. Niewiele pozostało z jego zwykłej pozy dan-dysa.

- Walnęła mnie - powiedział zbaraniały.
- Rzeczywiście.
- Myślałem, że chce mi pomóc.
- Zawsze tak myślisz, gdy chodzi o kobiety. Nie odpowiedziałeś mi jednak na pytanie. Jak mogłeś się tak upić?

Arne ogromnie się mozolił, by dojrzeć swego rozmówcę, ale nie udawało się. Zamknięcie jednego oka pomagało trochę. Pokój jednak zawirował i Arne znowu poczuł mdłości.

Bosse dostrzegł, na co się zanosi.

- Jeżeli zamierzasz rzygać, to wyjdźże u licha na dwór.

Z rozpaczą w oczach Arne ruszył ku drzwiom. Ledwie zdążył.

Bosse zwrócił się do Anniki. Wciąż z tym samym osobliwym wyrazem twarzy. Wyglądało na to, że cała ta scena szczerze go ubawiła.

- Niebezpieczna z ciebie dziewczyna - powiedział. - Trzeba cię będzie dużo lepiej pilnować.

Annika spojrzała na niego z rezygnacją. Potem odwróciła się szybko i zobaczyła, że Krystyna stoi w otwartych drzwiach. Mała mrużyła oczy. Wyglądała na zdumioną.

- Czy to on zwymiotował na podłogę? - spytała.
- Tak, zachorował - powiedziała Annika.
- A dlaczego go biłaś?
- Bo wydawało mi się, że jest głupi.

Krystynę jakoś zadowoliła ta odpowiedź. Z zainteresowaniem przyglądała się Bossemu.

- Ty jesteś złodziej - powiedziała.
- Krystyno, tak się nie mówi.

Głos Anniki brzmiał surowo. Mała spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Ja myślę, że jesteś złodziej - powtórzyła uparcie.

Annika wzruszyła ramionami. Bosse wciąż wyglądał radośnie. Obszedł zabrudzone miejsce na podłodze i nalał sobie z butelki Arnego.

- Chcesz drinka? - spytał.
- Nie, dziękuję. Chodź, Krystyno, trzeba się położyć. Późno, musisz się wyspać.

Wzięła Krystynę za rękę i weszły do pokoju. Zamknęła drzwi i usłyszała, że Bosse przekręcił klucz. Annika otuliła Krystynę i sama położyła się.

- Nie można nikogo bić - powiedziała Krystyna.
- Nie można, ale on był taki głupi.
- Jak ktoś jest głupi, to wymiotuje?
- Nie, nie zawsze. No, śpij już.

Krystyna posłusznie wsunęła palec do buzi, ułożyła się na boku i zwinęła w kłębek. Zamknęła oczy, potem otworzyła je, wyjęła palec z ust i powiedziała:

- Jutro chcę jechać do tatusia i już.
- Może pojedziesz. Zobaczymy.

Wiadomość

Oskarżyciel w sprawię Jensa Forsa, specjalnie do tej sprawy oddelegowany z wojewódzkiego miasta w północnej Szwecji, w piątek wieczorem został wezwany do Ministra Spraw Zagranicznych, gdzie mu zakomunikowano, że wszelkie formalności są załatwione i już nazajutrz Fors może być

wysłany do Albanii.

Oskarżyciel był człowiekiem umiejącym się podporządkować, od razu uznał, że właściwie nic tu nie ma do powiedzenia, nie chciał jednak poddać się tak zupełnie bez walki, powiedział więc do radcy ministerialnego:

- Pojadę do Långholmen zawiadomić Forsa.
- Czy nie lepiej byłoby powierzyć to jego obrońcy?
- Nie wydaje mi się.

Udało mu się złapać taksówkę przy Fredsgatan. Powiedział, dokąd ma jechać. Kierowca, człowiek w średnim wieku o czerwonej twarzy, poznał oskarżyciela.

- Coś okropnego, że musicie wypuścić tego idiotę.
- Cóż, przede wszystkim trzeba myśleć o porwanych dziewczętach.
- Głowę bym dał, że Sundelin zmyślił to wszystko, żeby zyskać sobie więcej głosów.

Przy Norra Bantorget kierowca beztrąsko przejechał pod czerwonym światłem. Samochód zarzucał na zakrętach. Prokurator, trochę wystraszony, nie chciał jednak protestować. Ze zgrzytem zahamowawszy przed głównym wejściem do Långholmen kierowca powiedział:

- Zresztą może i lepiej, że się go pozbędziemy, nie trzeba będzie przynajmniej utrzymywać go.

Gdy prokurator wszedł, Jens Fors czytał leżąc na łóżku. Ledwie głowę odwrócił. Przywitali się i Fors z westchnieniem odłożył książkę.

- Przychodzę wprost z Ministerstwa Spraw Zagranicznych - zaczął oskarżyciel.

Fors wciąż leżał patrząc w sufit. W brodzie utkwiło mu parę okruszków chleba, ręce zacisnął w pięści, tak że kciuki ukryte były wewnątrz, wyglądało to, jakby mu je odcięto.

- Otrzymałem potwierdzenie, że Fors jutro zostanie zwolniony i odwieziony do samolotu lecącego do Tirany, w Albanii.

- Wiem, że Tirana leży w Albanii. To, że rzuciłem granatem ręcznym w amerykańskiego ambasadora, nie znaczy, że jestem zupełnie niewykształcony.

- Wcale tak nie twierdziłem - odparł prokurator, nieco zirytowany.

Przez chwilę panowało milczenie.

- Fors chce wyjechać?

- To nie ma znaczenia, czego ja chcę. Sprawa została rozstrzygnięta.

- Nikt was nie może zmusić do wyjazdu - powiedział oskarżyciel i trochę się zawstydził, bo myślał, że Fors może da się nabrać, sprawiła mu radość.

- Już postanowione, że mam jechać - odparł Fors. - Stosuję się do wydanych mi rozkazów.

- Jakich rozkazów?

Lekki uśmiezek przemknął po wargach Forsa. Potrząsnął głową.

- Wyobrażam sobie, że bardzo byście chcieli to wiedzieć.

Oskarżyciel wyglądał na zbitego z tropu. Poprawił krawat, strząsnął jakiś pyłek z kłapy marynarki.

- Niezupełnie rozumiem, co Fors ma na myśli - powiedział.

- Lepiej nie próbować. Nigdy mnie nie zmusicie, że bym coś ujawnił.

Fors miał chytrze głupawą minę jak ktoś, kto dzwoni do znajomego i żąda, żeby zgadł, kto przy telefonie.

- A więc nic mi nie macie do powiedzenia? - podjął oskarżyciel. - A czy nie lepiej w końcu zrzucić to z serca? Przecież już nic nie ryzykujecie.

- Skąd to tam wiadomo? Trzeba brać pod uwagę nie tylko szwedzki wymiar sprawiedliwości.

- Czy ktoś wam groził?

- Nie.

- Dokąd zmierzacie? Proszę wreszcie mówić.

Oskarżyciel usiłował nadać swemu głosowi władcze brzmienie, nie osiągnął jednak pożądanego rezultatu, gdyż Fors demonstracyjnie zacisnął wargi i dla wyraźniejszego zaznaczenia położył jeszcze palec na ustach. Dość śmiesznie to wyglądało.

- Proszę się nie zgrywać, Fors chyba rozumie, że to sprawa poważna. Tu wchodzi w grę życie dwóch osób.

- Jakie znaczenie ma życie dwóch osób, kiedy większość ludności świata głoduje?

Oskarżycielowi trudno było znaleźć właściwą odpowiedź. Bo co można odpowiedzieć na takie stwierdzenie? I na swój sposób Fors miał rację.

- A gdyby chodziło o pańską matkę?

- Proszę jej w to nie wciągać. Zresztą palcem bym nie ruszył, żeby ją uratować.

Oskarżyciel wiedział, że Sapo nagrywa tę rozmowę. Ponieważ był człowiekiem o wyjątkowo dużym poczuciu godności własnej, nie chciał się ośmieszyć wobec podsłuchujących. Dlatego uznał dalsze prowadzenie przesłuchania za zbędne. Sprawa została przecież rozstrzygnięta. Otrzymał odgórne polecenie, więc wszelkie usiłowanie dalszego prowadzenia śledztwa było właściwie zbędne.

- Fors będzie mieć eskortę, dwu ludzi.

- Mogę sam pojechać.

- Ja też tak uważam, ale chcemy skontrolować, czy rzeczywiście dojedziecie i czy się wami zajmą.

- Co to znaczy: „zajmą się”?

- No, rozumiałe, z początku będzie Fors potrzebował pomocy. Przyjedzie Fors przecież do zupełnie nieznanego kraju. Moim zdaniem, może tam powstać cały szereg praktycznych trudności. Chociażby język. Już to jedno może być uciążliwym problemem.

- Nie mam pieniędzy - powiedział Fors.
- O to proszę się nie martwić. Pomyślano o wszystkim. Dostanie Fors na drogę z funduszków państwowych. A władze albańskie zapewnią utrzymanie.

Zupełnie nieoczekiwanie Fors wybuchnął śmiechem.

- Pan nic zupełnie nie pojmuje - wykrzyknął. - Ale to wszystko jedno, nawet dobrze.

- Proszę nie bawić się w zagadki, tylko powiedzcieć wprost, co Fors ma riał myśli.

- Nigdy.

Oskarżyciel czuł się niepewnie. W żaden sposób nie mógł znaleźć właściwego podejścia do tego leżącego w łóżku człowieka. Zwykle rozsądne argumenty zupełnie do niego nie docierały. Patrzył na Forsa i widział, jak porusza wargami.

- Przepraszam, nie słyszę - powiedział uprzejmie.

- Mówiłem do siebie - wyjaśnił Fors z nieśmiałym uśmiechem. - To się często zdarza w samotności. W pojedynce trzeba mieć kogoś, do kogo można się odezwać.

- To rzeczywiście może być potrzebne - przyznał oskarżyciel. - Czy Fors ma mi może coś do powiedzenia?

- Nie.

- A więc pozostaje mi tylko pożegnać się. Zresztą zobaczymy się jutro na lotnisku.

- O której odlot?

- To nie zostało jeszcze ostatecznie postanowione, ale wszystko przemawia za tym, że wyprawiają was w drogę tuż po południu. Najlepiej chyba byłoby lecieć przez Kopenhagę i Pragę.

Oskarżyciel wstał, opuścił celę. Fors ani myślał podnieść się z łóżka. Naciągnął koc aż po brodę.

W pokoiku, gdzie był podsłuch, dwaj policjanci odprężyli się. Jeden z nich wyciągnął z teczki stary termos i nalał sobie kubek słabej kawy.

- Cóż za cholerne ceregiele - powiedział. - A wyślijcież go do diabła i koniec, pozbedziemy się kłopotu.

- Mnie się cała ta historia wydaje dziwna - powiedział drugi, nie przerywając czytania „Expressu”.

- Tak, coś w tym musi tkwić - przyznał pijący kawę. - Słyszałeś, dostanie eskortę do Albanii.

- Oczywiście wyślą jakiegoś idiotę z kryminalnej. My nigdy nie możemy reprezentować na zewnątrz. Zresztą może i dobrze.

- A słyszałeś, że ten Olsson, Jan Olsson, dostał stałe odkomenderowanie do Sundelina?

- Ja bym się z nim nie zamienił.

- Dlaczego?

- Bo to nie jest coś, na czym by mi zależało. Okrągłą dobę deptać takiemu ważniakowi po piętach. Pfuj!

Magnetofon był włączony, ale niewiele można było usłyszeć z celi Forsa. Skrzyp łóżka, gdy się odwracał na drugi bok. I to wszystko. W pokoju policjantów było duszno. Czytający odłożył „Express” i uchylił okno.

Nie pomogło. Wilgotne powietrze wisiało nad miastem jak brudna, cuchnąca ścierka. Dym z fabryk na Liljeholmen opadł i snuł się między koszarowymi czynszówkami.

I Fors dźwignął się z łóżka i stanął przy oknie. Po chwili wrócił do łóżka, usiadł, oparł głowę na rękach, wciąż ściśniętych w pięści z wsuniętymi do środka kciukami.

Jaki ja jestem zmęczony, myślał. Wydaje mi się, że zrobiłem wszystko, czego tylko można żądać, a oni jednak nie są zadowoleni.

Magnetofon to znakomity aparat, ale wciąż jeszcze daleko mu do zupełnej doskonałości. Myśli na przykład nie potrafi zapisać.

Gdyby zapis myśli był możliwy, Sapo wiedziałyby już, że Jens Fors cierpi na dręczące halucynacje. Na jawie bezustannie

dreńczyły go uparte, natrętne głosy. Wciąż czegoś żądały. Nie dawały mu chwili spokoju. Było tylko kwestią czasu, kiedy Jens Fors nie będzie już mógł znieść ukrywania tego i ujawni wszystko światu. Gdy już nie będzie mógł, choroba stanie się oczywista dla wszystkich. Wciąż jednak zachowywał pozory człowieka zupełnie normalnego.

Podszedł do drzwi.

- Mogę dostać papierosa? - powiedział do strażnika.

Stureby

W sobotę po południu mały volkswagen zatrzymał się przed willą Sundelina w Stureby. Postawny mężczyzna w czapce miejskiego posłańca wygramolił się zza kierownicy.

Podszedł do drzwi, zadzwonił. Jan Olsson otworzył niemal natychmiast.

- List do kogoś nazwiskiem Sundelin - powiedział okazywały posłaniec podając kopertę. - Proszę pokwitować.

Koperta formatu A-5. Olsson pokwitował w obstrzępionej książce, którą posłaniec wyciągnął.

- Od kogo otrzymałeś ten list? - spytał Olsson.

- Pojęcia nie mam. Dostałem polecenie, żeby tu przyjechać.

- Możesz chwilę poczekać?

- Nie, na to nie mam czasu.

Olsson niechętnie wyciągnął legitymację służbową. Na posłańcu nie wywarła ona zbyt wielkiego wrażenia.

- A co może do mnie mieć gli... policja - powiedział.

- Ja też przypuszczam, że nic - uprzejmie wyjaśnił Olsson. - Tylko w tym domu mieszka premier Sundelin i być może list jest od porywaczy.

Posłaniec natychmiast się połapał. Zdjął czapkę i podrapał się w głowę.

- A to dopiero - powiedział. - Zawsze w coś wdepnę.

- Jeszcze nie wiadomo - powiedział Olsson. - Bądź uprzejmy, wejdź.

Razem poszli do kuchni. Posłaniec wzdychając usiadł przy stole. Olsson otworzył lodówkę.

- Chcesz piwa?

Przytaknął. Olsson wyjął butelkę średnioprocentowego.

- Szklanki nie trzeba - powiedział posłaniec.

Olsson zostawił go w kuchni i zapukał do drzwi sypialni Sundelina, który położył się przed pół godziną, by trochę wypocząć.

- Proszę.

Olsson wszedł i podał kopertę.

Premier natychmiast otworzył i przeczytał.

- Od porywaczy? - spytał Olsson.

- Oczywiście.

Olsson machinalnie wyciągnął rękę po list, ale Sundelin zdawał się tego nie dostrzegać. Zagryzł wargi, odwrócił spojrzenie.

- On jest w kuchni.

- Kto?

- Posłaniec, który doręczył list. Wydaje mi się, że nic nie wie, ale spróbuję wydostać z niego, ile się da.

- Dobrze.

Olsson wrócił do kuchni, gdzie posłaniec siedział nad opróżnioną butelką. Czapkę położył na stole. Łysą czaszkę otaczał wianuszek kędzierzawych włosów.

- Jak się nazywasz?

- Bergman. John Bertil.

- Co wiesz o tym liście?

- Tyle tylko, że go zostawiono wczoraj wieczorem z poleceniem doręczenia dopiero dziś.

- A wam nie wydało się to dziwne?

- Powiedziałem przecież, ja dostałem tylko polecenie przywiezienia tu listu.

- Przepraszam. A nie domyśliłeś się, że adresatem jest premier?

- Nie, nie domyśliłem się, i myślę, że nikt na to nie zwrócił uwagi. Patrzy się na adres. Nazwisko nie jest takie ważne. Przynajmniej dla mnie.

Olsson pomyślał, że to rozumowanie jest logiczne. Nie warto przedłużać tej rozmowy. Po kilku jeszcze zdawkowych pytaniach Bergman odjechał.

- I tymczasem proszę tego nie rozgłaszać - powiedział.

- Na mnie można polegać. Gęba na kłódkę.

Premier przeszedł do salonu. Siedział w fotelu.

- Dało to coś?

- Niestety, nie. Wie tylko, że wczoraj pozostawiono list, z zaleceniem doręczenia dziś. Może należało wypytać tych, którzy list przyjmowali.

- Nie jestem pewien. Takie typy nie popełniają lekkomyślności. Z pewnością zabezpieczyli się.

- A czy nie byłoby najlepiej, gdybym zawiadomił zaraz kryminalną, żeby zaczęła śledztwo?

Premier nie odpowiedział. Poruszał rytmicznie zetkniętymi czubkami palców, oczy miał półprzymknięte. Olsson czuł się nieco zakłopotany brakiem odpowiedzi.

- Chciałbym wiedzieć, czy nie lepiej byłoby zadzwonić do kryminalnej - powtórzył w końcu.

Premier przestał wyłamywać palce. Parę razy chwycił się za gardło. W jego inteligentnym spojrzeniu migotał wyraz intensywnego namysłu.

- Myślę, że to zbędne - powiedział.

Znowu trzymał w ręce list. W ręce odsuniętej od ciała, jak się trzyma zdechłą mysz. Wyglądało to śmiesznie, może nawet teatralnie.

- Ale przecież kryminalna musi mieć możliwość sprawdzenia odcisków, porównania pisma.

- Nie chcę.

Słowa te zostały wypowiedziane w sposób świadczący o zdecydowaniu. Premier bywał uparty. Olsson czytywał nieraz o tym w gazetach. Widocznie teraz zdarzyła się podobna okazja.

W pokoju zapanowała cisza. Sundelin odłożył list. Wsunął go pod sukno na ogromnym biurku. Przesiadł się na bujak, rozkołysał go i huśtał się przez chwilę, aż bieguny stanęły.

Olsson nie bardzo wiedział, jak się zachować. Postanowił zostać w pokoju. Może Sundelin zmieni decyzję, da mu list, w przeciwnym razie Olsson znalazłby się w trudnej sytuacji, gdyż poczucie obowiązku nakazywało mu zawiadomić wydział kryminalny, co się stało. Nie można tego po prostu przemilczeć.

- Usiądź - powiedział Sundelin.

Olsson usiadł.

- Potrzebuję twojej pomocy - ciągnął dalej premier.

- To przecież oczywiste, że zrobię, co mogę - powiedział Olsson nieco zażenowany.

- Wpadłem w potrzask.

Znowu zapanowała cisza. Sundelin znowu się kołysał i to tak szybko, że Olsson czekał tylko, że przekoziółkuje. Musiał się powstrzymać, by nie chwycić za poręcz.

Sundelin wstał nagle, podszedł do okna, pusty fotel poruszał się jeszcze chwilę. Po paru minutach premier odwrócił się do Olssona.

- Musisz się dowiedzieć o wszystkim.

Znowu pauza. Olsson czuł, że powinien coś powiedzieć,

ale nic właściwego nie przychodziło mu na myśl. Sundelin otworzył pudełko z cygarami i starannie wybrane zapalił. Parę razy zaciągnął się, potem położył brunatny zwitek na popielniczce. Dymiło, wąska strużka niebieskiego dymu unosiła się pod sufit.

Sundelin skupiał się jak biegacz przed stadem, gdy wznosi ramiona, zamyka oczy, bierze rozbieg, odbicie.

- Musisz wiedzieć, że nie jest to dla mnie łatwe.
- Oczywiście, rozumiem.
- Nic nie rozumiesz.

Ta dziwna odpowiedź dotknęła Olssona. Zaciśnął usta, obrażony.

- Źle mnie zrozumiałeś. Wierzę oczywiście, że uczestniczysz w moim zmartwieniu, ale nie znasz i nie rozumiesz jego przyczyn.

- Aha.
- Co ty właściwie wiesz o mnie?
- Sądzę, że mniej więcej tyle, ile wszyscy inni.
- Więc na przykład, czy jestem bogaty?
- Słyszałem, że masz w banku paręset tysięcy.
- Aha, słyszałeś. A może słyszałeś coś więcej?
- Nie, cóż mógłbym słyszeć?
- To prawda, że mam taką mniej więcej sumę, jaką wymieniłeś, tu w Szwecji. Ale mam dużo więcej w Szwajcarii.

Olsson wpatrywał się w premiera z otwartymi ustami. Natychmiast dostrzegł dynamit polityczny w tej wypowiedzi.

- Pojmuję, co teraz myślisz - ciągnął Sundelin. - Rozumiesz, że to oznacza upadek mój i partii, jeżeli wyjdzie na jaw, że wywoziłem z kraju pieniądze, żeby uniknąć podatku od wzbogacenia się, który sam zatwierdziłem.

Olsson nie zdobył się na żadną odpowiedź. Był całkowicie obezwładniony wyznaniem Sundelina. Prócz tego czuł

niepokój. Jak się zachować? Co się kryje za szczerością Sundelina?

- Resztę też chyba rozumiesz?

W głosie premiera zabrzmiało zmęczenie i rezygnacja. Sięgnął po cygaro, zaciągnął się chciwie. Olsson patrzył badawczo. Wreszcie zaczęło mu coś świtać. Sundelin wkrótce potwierdził podejrzenie młodego policjanta.

- Tak, przypuszczam, że już pojąłeś - powiedział. - Porywaczom wcale nie chodzi o Jensa Forsa. Chcą moich pieniędzy. Zażądali pół miliona.

- Wielki Boże! - wyrwało się Olssonowi.

- Właśnie - powiedział Sundelin.

- Ale dlaczego mi o tym mówisz? - spytał Olsson i zabrzmiało to jak skarga.

- Bo liczę na twoją pomoc.

- Trzeba przyznać, że to wcale niemało.

- To prawda.

- Musiałeś więc za pierwszym razem dostać dwa listy.

- Oczywiście.

- I zamierzasz zapłacić?

- A cóż mam do wyboru?

- Czy może nawet spotkałeś się już z nimi?

- Nie.

- Rozmawiałeś przez telefon?

- Też nie.

- Kiedy pieniądze mają być doręczone?

- Jutro. O tej samej porze, o której Fors zostanie wysłany do Albanii.

- Gdzie to ma być?

- Na stacji w Sollentunie. Przeczytaj sam.

Sundelin wyciągnął list spod sukna. Wciąż dotykając go tak, jakby to była złożona na dywanie zdobycz kota, Olsson

otworzył kopertę, wyjął arkusz z pisaniem na maszynie tekstem.

„JAK DOTĄD STOSOWAŁ SIĘ PAN DO NASZYCH POLECEŃ, WIĘC PANA CÓRCIE I JEJ WYCHOWAWCZYNI NIC ZŁEGO SIĘ NIE STAŁO. CZUJĄ SIĘ DOBRZE. SPODZIEWAMY SIĘ, ŻE JUŻ PAN PRZYGOTOWAŁ PIENIĄDZE I ZAUFANEGO POŚREDNIKA. ZAKŁADAMY, ŻE ZASTOSOWAŁ SIĘ PAN DO WCZEŚNIEJSZYCH WSKAZÓWEK I ŻE PIENIĄDZE SĄ W DROBNYCH BANKNOTACH RÓŻNYCH SERII, NIE W KOLEJNOŚCI NUMERÓW.

PROSZĘ WŁOŻYĆ PIENIĄDZE DO ZWYKŁEJ TORBY. NIECH POŚREDNIK WSIĄDZIE W POCIĄG DO SOLLENTUNY ODCHODZĄCY ZE SZTOKHOLMU O 14.42. W SOLLENTUNIE NIECH ZOSTANIE NA PERONIE I OCZEKUJE NA POCIĄG Z PRZECIWNEJ STRONY. NIECH SIĘ USTAWI W MIEJSCU, GDZIE ZATRZYMUJE SIĘ PIERWSZY W ZESTAWIE WAGON. GDY DRZWI SIĘ BĘDĄ ZAMYKAĆ, NIECH WSUNIE TORBĘ PRZEZ PRZEDNIE DRZWI WAGONU, NASZ CZŁOWIEK JE ODBIERZE.

I PROSZĘ PAMIĘTAĆ, ŻE ŻYCIE PANA CÓRKI ZALEŻY OD TEGO, CZY PAN ŚCIŚLE ZASTOSUJE SIĘ DO INSTRUKCJI I CZY POLICJA NIE ZOSTANIE ZAWIADOMIONA”.

I to było wszystko. Nie zastanawiając się zupełnie nad tym, co robi, Olsson zwrócił list.

- Chcę, żebyś to ty doręczył pieniądze - powiedział premier.

Niewiele pozostało z jego mocnej osobowości. Wyglądał na pokornie onieśmiałego. Dolna warga mu drżała, bliski był łez. Wbrew woli Olsson wzruszył się. Na próżno usiłował stłumić to uczucie.

- Jestem przecież policjantem - powiedział wreszcie. - Nie mogę uczestniczyć w podobnej transakcji. To niemożliwe.

- Dostaniesz, ile zechcesz.
- Nie pogarszaj jeszcze sytuacji.

Sundelin jednak jak gdyby odzyskał nieco ze swej energii. W zmętniałych przed chwilą oczach coś zabłysło.

- Co zyskasz przez to, że wszystko ujawnisz?
- Raczej nic.
- Właśnie, nic. Ani ty, ani nikt inny na tym nie zyska.
- Chyba niezupełnie. Nie zapominaj o swoich przeciwnikach politycznych. Oni przypuszczalnie wygraliby wybory.
- Może i wygrają. Lecz taki skandal w życiu politycznym przyniesie nieobliczalne straty.
- To przecież szaleństwo. I sam się wpędziłeś w taką sytuację.

- To prawda, ale nie jestem tylko Bengtem Sundelinem. Jestem premierem tego kraju. Popełniłem niewybaczalny błąd, tak polityczny, jak moralny. Pytanie tylko, czy będzie to z pożytkiem dla kogokolwiek, że ten błąd zostanie wyciągnięty na forum publiczne.

- Ten argument do mnie nie trafia.

Olsson dobitnie podkreślił słowo ten. Sundelin zmrużył oczy za zasłoną dymu.

- A jaki argument by trafił?
- Czysto ludzki. Co najgorsze, podejrzewam, że od początku to przewidziałeś. A wszystko inne to była tylko zasłona dymna. Nie chcę mieć na sumieniu życia twojej córki. Ale obiecuję milczenie tylko do chwili, gdy twoja córka i ta druga będą bezpieczne.

Sundelin westchnął.

- Wystarczy - powiedział.

Przenosiny

W sobotę rano Arne obudził się ze strasliwym kacem. Gdy usiadł, poczuł się jak na karuzeli. Położył się wolno i ostrożnie, a mali wściekli człowieczkowie dźgali go w mózg ostrymi jak brzytwy skalpelami.

Arne odwrócił głowę i dostrzegł Bossego. Tamten wyglądał rześko i trzeźwo. Właśnie jadł jajko na miękko. W kuchni pachniało kawą. Zapach zemdlił Arnego.

- Dzień dobry - powiedział Bosse. - Jak samopoczucie?
- Strasznie mnie głowa boli.
- Tak, nieźle ci przyłożyła. Razem z kacem porządnie to się musi dawać we znaki. A jak właściwie do tego doszło?

Arne milczał. Nie stać go było na prowadzenie dyskusji. Zupełnie nie mógł zebrać myśli.

- Oczywiście zachciało ci się pociupciać.

Arne usiłował zaprotestować, słabo to wypadło. Tak by chciał ostro się odciąć, ale nic mu się nie nasuwało odpowiedniego. Oddychać było ciężko, pierś mu się rozdymała, gdy łapał powietrze. Mdlilo go. Ze wszystkich sił tłumił bunt żołądka i gardła.

- Kobiet lepiej się wystrzegać - powiedział Bosse.
- A co, ty jesteś wałach?

Bosse wcale tego posądzenia nie wziął za złe. Uśmiechnął się, zielonkawe oczy błysnęły.

- Nie, skądże - powiedział. - Lubię kobiety. Tylko wszystkim we właściwym czasie. Co do tego kaznodzieja miał rację.

- Jaki kaznodzieja?
- E, to tylko Biblia mi się przypomniła. Jak byłem w Långholmen, przeczytałem Biblię od deski do deski. Dobra książka. Oczywiście, jeżeli się tego wszystkiego nie bierze

zbyt serio. Kiedy miałem czternaście - piętnaście lat posługiwałem się nawet Biblią do celów pornograficznych.

- Porno?

- Tak, Ezechieli dobry jest - Bosse roześmiał się szeroko.

Arne z największą ostrożnością odwrócił głowę w jedną stronę, potem w drugą. Bolało, ból wywołał drżenie nozdrzy. Grzbiet nosa miał siny od uderzenia i ramię mieniło się sino i czerwono.

Bosse starannie wyskrobał białko ze skorupki i odgryzł kęs chleba. Z widoczną przyjemnością popił łykiem czarnej jak smoła kawy.

- Która godzina? - spytał Arne.

- Dochodzi dziewiąta.

Arne usiłował zebrać myśli. Coś chciał sobie przypomnieć, ale nie układało się. Zamknął oczy. Pomogło.

- Czy nie mówiłeś wczoraj, że się dziś może stąd gdzieś przeniesiemy?

- I owszem, dobrze pamiętasz.

- No i jak? Przenosimy się czy nie?

- Spokojnie. Wpierw trzeba chyba zadbać, żebyś się do czegoś nadał. Bo w tej chwili to dużego pożytku by z ciebie nie było. Rzadko można oglądać człowieka tak spitego jak ty.

Bosse znów się roześmiał. Arne wyglądał nieprawdopodobnie. Oczy wpadnięte, we włosach, zwykle tak starannie uczesanych, zaschnięte rzygowiny. A w dodatku straszliwie posiniaczona gęba.

- Wyglądasz jak żywy plakat propagandy trzeźwości.

Z uporem nieznośnego dziecka Arne wrócił do swego pytania:

- No, to co? Przenosimy się?

- Tak planowałem - powiedział Bosse.

- Kiedy?

- Wkrótce.

Na tym urwał. Wziął jeszcze jedną kromkę chleba, posmarował, nałożył gruby kawałek sera.

- A jak ci się wydaje, wytrzeźwiałeś już na tyle, że mógłbyś prowadzić samochód? - spytał żując.

- Mógłbym.

- Mógłbyś. Ładnie by to wyglądało, gdybyś tak wpadł do mamra za prowadzenie po pijanemu. To już byłby szczyt. Ty, który porwałś córkę premiera, a potem zamordowałeś jednego ze współników.

- O niej nie wspominaj - jęknął Arne histerycznie.

Nie był w stanie myśleć w tej chwili o Ing-Marie. Tyle było do zrobienia, tyle szczegółów, które musiały klapować, żeby się cały plan udał. A pieniądze strasznie mu były potrzebne.

- Dokąd mamy jechać? - spytał usiłując nadać głosowi spokojne i opanowane brzmienie.

- Pokażę ci drogę.

- A jej powiedziałaś o tym?

- Nie.

- Teraz powiesz?

- O to się nie troszcz. Wiem, co robię.

- A co zrobimy, jak się natkniemy na obstawę policyjną?

- To koniec z nami - powiedział Bosse z uśmiechem. - Będziemy mieli przynajmniej utrzymanie na najbliższe parę lat zapewnione. Trzeba ryzykować. Żeby coś zyskać, trzeba się na coś odważyć. Ty, który grywasz na wyścigach, powinieneś o tym wiedzieć.

Bosse wstał od stołu. Wziął filiżankę, wstawił do zlewozmywaka. Chleb, masło i ser zostały na stole.

- Zjedz coś - powiedział. - Coś musisz mieć w żołądku, jeżeli mamy jechać.

Arne skrzywił się. Na samą myśl o jedzeniu zrobiło mu się niedobrze.

- Nie, nie chcę - powiedział.
- Rób, jak chcesz. Wiesz jednak, że nie powinno się lekceważyć jedzenia. To się później odbija.
- Nie mogę - powtórzył Arne z rozpaczą.
- No, więc nie - rzekł Bosse. - Zabierz rzeczy na dzień, dwa. Przygotuj samochód.
- Czy jazda będzie długa?
- Nie, tylko parę mil.

Arne z trudem dźwignął się z łóżka. Posiedział z głową opartą na rękach i przeszedł do następnego etapu. Z początku nogi się pod nim ugiwały, czuł się niepewnie, ale szybko to minęło. Wyjął torbę, włożył trochę bielizny. Bosse cały czas go obserwował. Denerwujące było to gapienie się.

- Co tak patrzysz? - spytał Arne odważnie, usiłując być szorstki.

- Ciekaw byłem, co z sobą zabierasz. Nic poza tym.

Arne zaciągnął zamek błyskawiczny i wyszedł do samochodu. Bosse spoglądał za nim rozweselony. Potem podszedł do drzwi pokoju i przekręcił klucz. Cofnął się o krok.

- Proszę otworzyć - powiedział.

Usłyszał lekkie kroki. Drzwi otworzyły się ostrożnie i stanęła w nich Annika, blada, jakby oka całą noc nie zmrużyła.

- Dzień dobry - grzecznie przywitał ją Bosse. - Bądź uprzejma i zrób śniadanie dla siebie i Krystyny.

Mała leżała jeszcze w łóżku. Ssała palec i uważnie wpatrywała się w Bossego. Z młaińnięciem wyciągnęła palec.

- A gdzie ten drugi wujek?
- Poszedł zobaczyć, czy samochód w porządku.
- Boli go pewnie, bo Annika go uderzyła.
- Tak, cały nos ma siny.

Pod dozorem Bossego Annika przyszykowała śniadanie, mleko i płatki dla Krystyny i filiżankę kawy dla siebie.

Siedziała gryząc chrupki chleb, gdy Arne wszedł do kuchni. Krystyna przyglądała mu się z najwyższym zaciekawieniem. Arne nie zaszczyił ich spojrzeniem. Annika próbowała zachowywać się, jak gdyby nigdy nic.

- Boli cię nos? - spytała Krystyna.
- Zamknij jadaczkę, szczeniaku.
- Tak nie wolno mówić. Prawda, Annika?

Arne zrobił krok w ich stronę. Zbielały ze złości, wyglądał, jakby zamierzał uderzyć Krystynę, która pisnąwszy ze strachu przytuliła się do Anniki.

- Uspokój się!

Ostry głos Bossego sprawił, że Arne zatrzymał się w pół kroku. Potem wyszedł.

- Czy on jest zły? - spytała Krystyna.
- Chyba tak. Nie powinnaś rozmawiać z tym wujkiem.

On nie lubi dzieci.

Annika czuła się niepewnie. Rozumiała, że coś się wkrótce zdarzy. Obaj mężczyźni nie wkładali już masek. A to z pewnością nie wróżyło nic dobrego. Obaj dobrze wiedzą, że ona nigdy nie zapomni, jak wyglądali. Annikę dreszcz przeniknął na myśl, jakie to może mieć konsekwencje.

- Zapakuj wasze rzeczy - rzekł Bosse. - Wyjeżdżamy.
- Dokąd?
- Zmieniamy mieszkanie. Nie czuję się tu dobrze.

Annika naczekała, aż Krystyna skończy jeść. Potem zaniosła ją do pokoju, umyła w miednicy, ubrała.

- Pojedziemy do tatusia?
- Nie wiem. Może.

Annika zapakowała ubranie. Z rezygnacją, już nie wierzyła, że to się dobrze skończy. Tak była wyczerpana, że oczy piekły. Osobliwe, na małej Krystynie niewola wcale się jakoś nie odbiła. A zapowiedzianą jazdę samochodem przyjęła entuzjastycznie. Wzięła niedźwiadka na ręce. Annice wydało

się, że wygląda on złowroźnie z nieruchomo wytrzeszczonymi porcelanowymi oczami.

- Gotowe jesteście? - spytał po chwili Bosse.
- Tak.
- Więc idziemy.

Wyszli i skierowali się do samochodu. Arne już siedział za kierownicą. Nie spojrzął na nadchodzących.

- Ty usiądź z przodu - powiedział Bosse do Anniki - a ja i Krystyna z tyłu. I będziemy wyglądać jak zwykła rodzina na sobotniej wycieczce.

Dziwne, Annika zaczęła nagle bardziej bać się Bossego niż Arnego. Tego ostatniego łatwo było wytrącić z równowagi, Bosse natomiast był przerażający w swym zimnym spokoju. On by na pewno nie popełnił błędu dającego jej szansę ratunku.

Bosse załadował walizki do bagażnika i usiadł obok Krystyny, trzymającej niedźwiadka na kolanach. Annika i Arne siedzieli z przodu nie patrząc na siebie.

- Gotowe? - spytał Arne.
- Tak, możemy jechać - odpowiedział Bosse.

Wyjechali z podwórza na krętą wąską drogę. Annika po raz ostatni spojrzała na małe gospodarstwo, tak pogodnie i spokojnie wyglądające na brzegu lasu. Z dali dochodził podobny do grzmotu huk startującego samolotu.

Po kilku minutach wyjechali z lasu. Annika zobaczyła pola i długi rząd domów. Natychmiast zorientowała się, gdzie są. To Märsta. Wiele razy przejeżdżała tędy pociągiem.

Jechali wzdłuż rzeki, która prawie zupełnie wyschła w ciągu lata. Została tylko mała strużka na dnie koryta.

Usłyszała głos Bossego:

- Przejedziemy przez Märstę i potem przez E-4 w kierunku Sztokholmu.

Właśnie gdy zbliżali się do przejazdu koło stacji kolejowej

Märsta, odezwał się dzwonek i szlaban zaczął opadać. Arne zahamował tak, że chłodnica znalazła się częściowo pod barierą.

Z drugiej strony nadjechał samochód. Czarno-biały volkswagen z napisem POLICJA po obu stronach. Siedziało w nim dwóch policjantów w mundurach. Jakies dziesięć metrów zaledwie dzieliło samochody.

- Tylko bez głupstw - powiedział znowu łagodny, uprzejmy głos Bossego. Annika usiłowała zachować obojętny wygląd, zerknęła tylko ostrożnie w stronę Arnego. Maleńkie kropelki potu wystąpiły mu na skronie.

- Chodź, usiądź mi na kolanach - powiedział Bosse do Krystyny.

Usiadła natychmiast.

Zamierza posłużyć się nią jak tarczą, gdyby się coś zdarzyło, pomyślała Annika.

W samochodzie było cicho. W oddali, tam gdzie tor skręcał w lewo, ukazał się nadjeżdżający pociąg. Przemknął w odległości kilku metrów od samochodów, Krystyna pisnęła z zachwyty zmieszanego z przestrawieniem.

Bariery się uniosły.

- Tylko spokojnie - powiedział Bosse do Arnego.

Dwa samochody wyminęły się, dzielił je zaledwie metr.

Bosse siedział w głębi z Krystyną na kolanach, nie patrzył w stronę policyjnego samochodu. Arne nieruchomo wpatrywał się w drogę przed sobą. Perełki potu utworzyły strumyki, spływające po policzkach.

W stronę policjantów patrzyła tylko Annika. Na mgnienie oka jej spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem jednego z policjantów. Serce w niej załomotało. A jeżeli mnie poznał? Nic jednak na to nie wskazywało.

- Dobrze poszło - powiedział Bosse, kiedy wóz policyjny odjechał w kierunku Arlandy. Krystyna wciąż siedziała

mu na kolanach i rozmawiała z niedźwiadkiem, którego podniosła w górę, żeby mógł patrzeć przez szybę. Gdy wjechali na E-4, Arne przyspieszył.

- Na Regeringsgatan - powiedział Bosse. - Mam tam mieszkanie, zostało na górze w domu do rozbiórki. Jedyne w całym domu.

- Gdzie na Regeringsgatan? - spytał Arne.

- Parę domów od Hamngatan.

Arne kiwnął głową.

Po półgodzinie byli w mieście. Nikt nie przyglądał się, gdy wysiadali. Bosse z Krystyną na jednej ręce, w drugiej niósł torbę. Annika wzięła swoją walizkę.

- Jedź i zaparkuj gdzieś - powiedział Bosse. - Potem wróc tu. Na górze. Na drzwiach tabliczka z nazwiskiem Berg.

- OK - powiedział Arne i odjechał.

Annika wchodziła na schody mając za sobą Bossego.

Cuchnęło stęchlizną. Puste butelki i puszki od piwa walały się wszędzie. Stare marmurowe schody były wydeptane od kilkudziesięcioletniego używania. Zdążyła się zmęczyć, gdy się wreszcie zatrzymali na czwartym piętrze. Bosse wyjął z kieszeni klucz, otworzył.

Zaskoczenie. Zupełnie porządne i przyjemne mieszkanie. Umeblowane, na stoliku w hallu telefon. Bosse wskazał Annice pokój w głębi.

- Tu musicie chwilowo zostać - powiedział. - Toaleta jest tam. Będę musiał was zamknąć.

Annika pomału rozgościła się w pokoju. Przed wszystkim wyjrzała oknem. Wychodziło na stare, ciasne podwórko-studnię. Annika westchnęła. Miała nadzieję, że pokój będzie od ulicy.

Sobota po południu

Stała właśnie rozglądając się po pokoju, czy nie zapomniała czegoś, gdy zapukano do drzwi.

- Proszę - powiedziała. Drzwi się otworzyły.
- Coś podobnego, to ty? - powiedziała Ing-Marie.
- Niespodzianka, prawda? - uśmiechnął się Bosse.

Ing-Marie odczuła lekkie zdenerwowanie, ale nie tak znowu wielkie. Przywykła dawać sobie radę w kłopotliwych sytuacjach. I z tej się jakoś wykręci w ten czy inny sposób. Pytanie tylko, ile Bosse wie, co Arne mu powiedział.

- A prawda - powiedziała.
- Nie poprosisz, żebym usiadł?
- Oczywiście. Siadaj.
- Wyglądasz, jakbyś zamierzała wyjść.

Zastanowiła się szybko. Grunt był pewny, należy tylko powiedzieć prawdę.

- Tu w hotelu jest jakiś gość, który mnie poznał.
- Aha. Klient pewnie?
- Przypuszczam. Nazywa się Enberg. Enberg zresztą...
- Cóż z nim?
- Coś mi przyszło na myśl. Zdaje się, że wiem, kto to taki.

- No więc kto?
- Zdaje się, że to ten facet, który ma sklep z zabawkami koło mojego atelier. To stały mój klient.

Inteligentne oczy Bossego rozbłyły.

- U niego może kupiłaś te maski?
- Tak.
- Rozsądnie to nie było, moja mała. Jeżeli ma głowę na karku, może coś zacząć kombinować.

- Nie przypuszczam - powiedziała Ing-Marie bez większego przekonania.

- Cóż, dla mnie nie ma to znaczenia, znacznie gorzej dla ciebie i Arnego.

- Jak to?

- Rozumiesz chyba. Nikt nie wie, że ja ciebie znam, ale ty i Arne trzymacie się razem od tak dawna, że wiele osób musi o tym wiedzieć. Trzeba się zastanowić, w każdej sytuacji.

- Zawsze się staram to robić.

- Pewnie. Mam duże uznanie dla twojej inteligencji, ale masz dwie słabe strony. Trochę za dużo pijesz i czasem za prędko chcesz zarobić.

- Mam jeszcze jedną słabość - powiedziała Ing-Marie cicho.

- Cóż takiego? - łagodnie spytał Bosse.

- Słabość do ciebie - powiedziała gardłowo i usiadła na poręczy fotela.

Bosse uśmiechnął się tym swoim nagłym uśmiechem w którym oczy nigdy nie brały udziału. Długie palce dziewczyny dotknęły jego policzka. Nozdrza mu drgnęły. Poza tym zdawał się zupełnie obojętny.

- Zawsze coś do ciebie czułam. Czy nie moglibyśmy zbliżyć się trochę?

Ruchem głowy wskazała łóżko. Poczula jego rękę na udzie i przez ułamek sekundy twarz jej miała wyraz triumfu. Westchnęła z zadowolenia.

Była to reakcja niezupełnie prawdziwa. Zawód, który uprawiała, dał jej duże doświadczenie. Wielu z jej klientów doznawało wrażenia, że jest równie jak oni podniecona seksualnie, gdy w rzeczywistości pozostawała zimna jak ryba.

Bosse wstał, ona wzięła go za rękę, pociągnęła, położyła się na wznak, ręka zsunęła się w kierunku jego krocza.

Uśmiechnęła się błogo, bo wyczuła pożądaną reakcję. Ostrożnie rozsunęła zamek błyskawiczny.

- Och, musimy być ostrożni - powiedziała - taki niecierpliw. I taki duży.

Wyśliznęła się z sukienki. Leżała w staniku tylko i w figach. Odwróciła się.

- Pomóż mi.

Rozpiął jej stanik, odwróciła się na wznak, przytrzymała jego rękę i położyła na swej piersi.

- Jak ci się zdaje, co Arne by na to powiedział? - spytał.

- Nie mówmy o nim. Mamy chyba inne zajęcie.

Uniosła się trochę, a on ściągnął jej majtki. Podniosła nogę i spojrzała na niego rozszerzonymi oczami.

- A ty się nie rozbierzesz? - powiedziała.

Spełnił jej życzenie, położył się obok niej. Objęła go drżąc z podniecenia. To już nie była sztuka aktorska. Gładził ją, delikatnie dotykając palcami.

- Arne powiedział, że pozbawił cię życia.

Głos Bossego był jak zawsze spokojny, zupełnie jakby mówił o pogodzie czy o czymś podobnym.

- Co ty mówisz - wymamrotała, choć dokładnie słyszała każde słowo.

- Nic nadzwyczajnego - powiedział. - Tylko, że Arne usiłował wmówić we mnie, że cię zabił. Nie rozumiem, dlaczego.

- Ja też nie. Ale jakie to ma znaczenie, jeżeli jesteśmy razem.

Bosse przez chwilę leżał w milczeniu, pieścił ją powoli niemal. Zamknął oczy. Jabłko Adama poruszyło się parę razy, jakby coś z trudem przełykał. Już nie wydawał się taki pewny siebie.

Potrząsnął głową, jak bokser, który próbuje oprzytomnieć po silnym ciosie.

- Twierdził, że spotkał cię, kiedy szłaś donieść.

Nie odpowiedziała. Przywarła do niego i nagle jej ciało opadło bezwładnie.

- Cudownie było - powiedziała. - Pomóc ci?

Może i słyszała, udawała tylko, że jego słowa nie dotarły do niej. Wziął ją szybko i gwałtownie. Na krótką chwilę oczy mu złagodniały. Potem odzyskały zwykłą szarozieloną ostrość.

- Jak tu trafiłeś? - spytała po chwili.

- Arne mi powiedział, że tu mieszkasz.

Oczywiście wcale tak nie było. Naprawdę Bosse powiedział Arnemu, żeby popilnował trochę dziewcząt. Arne bez sprzeciwu przyjął do wiadomości, że Bosse chce wyjść, żeby coś zjeść. Bosse zaś poszedł do centrali telefonicznej na Malmskillnadsgatan. Zaopatrzony w garść dwudziestopięci-orówek zaczął kolejno dzwonić do wszystkich hoteli w mieście. Był pewien, że Ing-Marie żyje, i że oboje, Arne i ona, zamierzają go oszukać.

Miał szczęście. Wyszedł z założenia, że Ing-Marie zameldowała się pod własnym nazwiskiem. Zaczął od hoteli śródmiejskich, pewien, że ukryła się gdzieś w city.

Chatka była siódmym z kolei hotelem, do którego zadzwonił. Na jego pytanie kobiety głos odpowiedział:

- Tak, rzeczywiście mieszka u nas pani tego nazwiska, ale nie ma jej chwilowo. Pokój numer osiem.

- Czy wiadomo, kiedy wróci?

- Nie. Czy mam coś przekazać?

- Nie, zgłoszę się ponownie.

Bosse wstąpił do grill baru przy Slöjdgatan, gdzie mała Japonka podała mu hamburgera. Siedział tam najwyżej kwadrans. Potem poszedł do hotelu.

Ponieważ nie chciał, by go ktoś zauważył wszedł w podwórze. Rozumował, że musi być przecież przejście rezerwowe.

Może zdarzy się szczęśliwie, że to wejście będzie otwarte.

Wszedł na jedną klatkę schodową, ale na trzecim piętrze nic nie wskazywało, by któreś drzwi prowadziły do hotelu. Na następnej klatce udało się.

Ostrożnie nacisnął klamkę i znalazł się w korytarzu hotelowym. Teraz tylko znaleźć drzwi.

- Naprawdę powiedział ci, że tu mieszkam? - spytała Ing-Marie.

- Tak, pomalutku wygadał wszystko.
- Co więcej mówił?
- Chyba wiesz.

Bosse posuwał się po omacku w nadziei, że Ing-Marie coś zdradzi. Musiał mieć pewność, co Arne planuje.

- Bałam się go - powiedziała. - Kiedy powiedział, że lepiej zadowolić się nagrodą, zgodziłam się.

Bosse znowu się uśmiechnął. Usiadł i zaczął się ubierać. Starannie zawiązał sznurowadła.

- Co mam robić? - spytała dziewczyna.
- Według mnie znaleźliśmy się znów w punkcie wyjścia - powiedział. - Spróbujmy ufać sobie, jak długo się da.
- Rozumiem, że ci trudno - powiedziała szczerze i nawińnie jak zawodowy sprzedawca samochodów. - To nie moja wina. Nie mogłam zrobić nic innego, musiałam go usłuchać.
- Możesz tu zostać - powiedział. - Jutro będzie po wszystkim. Mam nadzieję.

Usiadła przy nim. Zgarnęła swoje ubranie, przechyliła się, żeby sięgnąć po pończochę.

Spojrzał i położył jej rękę na gardle.

Sobota wieczór

Enberg całe sobotnie popołudnie przesiedział w knajpie. Dobrze zjadł, wypił. Gdy około siódmej wrócił do hotelu, był nieco podochocony. Za ladą recepcji siedziała ta sama starsza pani robiąc na drutach sweter dla któregoś z wnuków.

- Dobry wieczór - powiedziała. - Szóstka, zdaje się?
- Tak jest. Czy może ktoś o mnie pytał?

Enberg wcale nie myślał o Ing-Marie, tylko o swojej żonie. Miał wyrzuty sumienia, że do niej nie zadzwonił, nie powiedział, gdzie jest. Wciąż trudno mu było pojąć, że już nie musi stosować się do wszystkich wymagań Astrid.

- Nie żeby ktoś o pana pytał - powiedziała starsza pani trochę niepewnie. - Ale ta pani, która mieszka w ósemce, przypomniała sobie pana, kiedy powiedziałam, że pan ją zna. Bardzo przyjemna młoda dama zresztą.

Enberg uśmiechnął się. Gdyby wiedziała! „Przyjemna młoda dama”. Oczywiście bywała czasami bardzo przyjemna.

- Czy jest może u siebie?

Szybkie spojrzenie na półkę z kluczami. Przegródka numer osiem była pusta.

- Tak, jest - powiedziała. - Jeżeli chce się pan z nią zobaczyć, wystarczy zapukać.

Enberg wziął swój klucz i poszedł na górę. Starannie powiesił w szafie płaszcz i marynarkę. Wyciągnął się na łóżku i zarzuciwszy ręce pod głowę z kwadrans wpatrywał się w sufit.

Potem wstał, włożył marynarkę. Zajrzał do portfela, tam gdzie trzymał banknoty. Jeszcze dwie setki zostały. Jedną trzeba zostawić, żeby było czym zapłacić za pokój, drugą

mógł poświęcić na Ing-Marie. Miał przecież książeczkę czekową i parę setek na koncie.

Trzeba będzie jutro postarać się o jakiś tańszy pokój, pomyślał i wyszedł na korytarz.

Stanął przed pokojem numer osiem, gdzie mieszkała Ing-Marie. Obejrzał się, ostrożnie przyłożył ucho do drzwi. Żadnego szmeru. Śpi może. Zapukał.

Żadnej odpowiedzi.

Zapukał jeszcze raz. Mocniej. Wciąż ani znaku życia. Trochę poirytowany zszedł do recepcji. Starsza pani spojrzała z pewnym zdziwieniem.

- Czy jest pani pewna, że ta pani spod ósmego jest u siebie?

- Tak, siedzę tu całe popołudnie. Nie wychodziła. Nie mam wątpliwości.

- To dziwne - powiedział Enberg. - Pukałem, nikt nie odpowiada.

- W pokoju jest telefon. Nakręcę numer, jestem pewna, że się obudzi.

Podniosła słuchawkę, oboje słyszeli, jak w pokoju Ing-Marie raz po raz rozlegał się dzwonek. Czekali z pół minuty.

- Osobliwe - powiedziała właścicielka. - Nie mogła wyjść tak, żebym nie widziała,

- A nie ma rezerwowego wyjścia?

- Oczywiście, że jest, ale dlaczego miałyby tamtędy wyjść? Nie rozumiem.

Wyglądała na zakłopotaną i trochę niespokojną. Raz jeszcze podniosła słuchawkę i zadzwoniła do swego mieszkania.

- Możesz przyjść z zapasowym kluczem do ósemki? - powiedziała do męża.

Po niedługiej chwili zjawił się chudy, chorowicie wyglądający starszy pan z kluczem w ręce.

- To mój mąż - powiedziała właścicielka.

- Dzień dobry. Enberg jestem - powiedział Enberg.
- Swensson - przedstawił się mąż z grzecznym ukłodem. - Czego chcesz, kochanie?
- Jestem pewna, że gość z ósemki jest w pokoju. Dzwoniłam parę razy, ale ta pani nie odpowiada.
- Pewnie wyszła.
- Nie - upierała się żona. - Tyle godzin tu siedzę, nie widziałam. Chyba jej się nic nie stało?
- A kto to jest?
- Jakaś młoda osoba. Pan Enberg zresztą ją zna. Pukał do jej drzwi, nie otworzyła.
- Pewnie śpi.
- A kto się nie obudzi, jeżeli telefon dzwoni z dziesięć razy. Niemożliwe.

Swensson westchnął. Trzymając klucze w wyciągniętej niby semafor ręce ruszył na czele małej procesji. Najpierw zapukał do drzwi Ing-Marie. Nie pomogło.

Pochyliwszy się, wsparł ręce o cienkie uda i zajrzał przez dziurkę od klucza.

- Wydaje mi się, że ktoś leży na łóżku - powiedział nieco zmienionym głosem.

Wsunął klucz z ciężką metalową tabliczką, przekręcił. W przedpokoju paliło się światło. W pokoju rolety były opuszczone i cuchnęło ekskrementami.

Właściciel hotelu wszedł pierwszy, za nim żona, a na końcu Enberg.

Ing-Marie była naga. Leżała na wznak w poprzek łóżka, z ust wystawał jej kawałek materiału, na szyi miała zaciśniętą pończochę, kapa na łóżku była zabrudzona zawartością jelit.

Ing-Marie była ładną dziewczyną, ale śmierć odebrała jej urodę. Ciemnosiną twarz, oczy wybaluszone. Wyraz bezmiernego zdziwienia w tych oczach był jedyną ludzką cechą, jaka pozostała.

Enberg z osłupieniem wpatrywał się w zmarłą. Po raz

pierwszy spotkał się ze śmiercią w sposób tak zaskakujący. Gospodarz posunął się o krok. Jego żona ze zbielełą twarzą wybiegła do toalety. Enberg usłyszał, że wymiotuje.

- Nic nie ruszać - powiedział Enberg. - Trzeba zadzwonić po policję.

- Może tylko czymś ją przykryć - wyjąkał gospodarz. - Wygląda tak... tak nieprzyzwoicie.

- Nie, lepiej nie dotykać - powiedział Enberg.

Gospodyni wróciła chwiejąc się, blada, ze łzami w oczach, z przerażeniem wpatrywała się w Enberga, unikała spojrzenia w stronę łóżka.

- Kim ona była? - spytała.

- Prowadziła salon fryzjerski - powiedział Enberg po krótkim wahaniu. Wszyscy troje, zamknawszy ponownie drzwi, zeszli do portierni.

- Zadzwoń - powiedziała pani Swensson do męża. - Ja nie potrafię rozmawiać z policją.

- A jaki to numer?

- Jest na liście nad aparatem.

Mąż przejechał palcem po spisie telefonów i zatrzymał się przy numerze 54 00 00. Nakręcił.

- A o kogo mam spytać?

- O radiopatroł - powiedziała żona, która zaczynała przychodzić do siebie po doznanym szoku.

Po chwili oczekiwania otrzymali połączenie z radiocentra-
lą.

- Chcę zgłosić morderstwo - powiedział Svensson.

- Skąd pan dzwoni i kim pan jest?

Głos policjanta był obojętnie spokojny.

Właściciel hotelu udzielił mu żądanych informacji..

- Za kilka minut przyjedzie samochód - powiedział po-
licjant. - Proszę wszystko zostawić tak, jak jest.

Minuta nawet nie minęła, gdy zjawili się dwóch młodych

policjantów. Spokojni i zdecydowani, z rozpiętymi kaburami pistoletów.

Razem zajrzeli do pokoju, przekonali się, że Ing-Marie rzeczywiście nie żyje. Jeden szybko obszedł cały pokój.

- Czy ktoś słyszał lub widział coś podejrzanego? - spytał.

- Nie - odpowiedziała gospodyni. - Nic. Całe popołudnie nie ruszałam się z portierni.

Policjant słuchał z zainteresowaniem a jednocześnie podniósł słuchawkę i nakręcił numer 54 00 00.

- Proszę radiocentrale - powiedział. - A czy jest jakieś inne wejście do hotelu?

- Tak. Rezerwowe.

- Widzi je pani z portierni?

- Nie.

Policjant dostał połączenie.

- Cześć, tu Karlsson. Jesteśmy w hotelu - powiedział.

- Tak. Wygląda to na pierwszorzędne morderstwo seksualne. Nie, nikogo podejrzanego. Nie, nie znam jej.

Gospodyni coś mówiła, więc zwrócił się do niej.

- Czy pani chce coś powiedzieć?

- Ten pan, pan Enberg, ją zna - powiedziała, a właścicielowi sklepu z zabawkami zrobiło się słabo.

- Naprawdę?

- Tak.

- Jest tu facet, który ją zna - powiedział policjant w słuchawkę.

- To pilnuj, żeby nie nawiał - powiedział kolega z centrali. - Może on to zrobił. I zostań tam, póki kryminalna nie przyjedzie. Już dałem znać. Niedługo będą.

Policjant zwrócił się do Enberga, który wciąż oblizywał wargi i wyglądał bardzo żałośnie.

- A więc pan ją znał. Jak pana nazwisko?

- Gustaw Enberg.

- Mieszka pan też w hotelu?

- Tak.

- Sam?

- Tak.

- A pana stały adres?

Enberg podał adres żony.

- Ale właściwie ja tam już nie mieszkam. Jestem z żoną w separacji. Od wczoraj.

- I przeprowadził się pan tutaj?

- Tak, dostałem pokój przez centralę obsługi hotelowej na dworcu.

- A wiedział pan, że ta kobieta mieszka tu w hotelu?

- Nie, mignęła mi tu tylko dziś i wydawało mi się, że ją znam.

- A skąd?

Enberg zakręcił się niespokojnie.

- A nie mógłby pan przejść ze mną do pokoju? Mieszkam tam, pod numerem szóstym.

- Oczywiście - powiedział policjant. - Nic nie stoi na przeszkodzie.

Razem poszli do pokoju. Enberg usiadł na łóżku, policjant w fotelu. Policjant rozłożył notes.

- Czy chce pan coś dodać?

- Ja właściwie zgłaszałem się już na policję i mówiłem o niej.

- Jak to? Odkrył pan morderstwo już wcześniej?

- Ależ nie, źle mnie pan zrozumiał. Tylko podejrzewałem, że ona ma coś wspólnego z tym porwaniem. Poszedłem więc do wydziału kryminalnego i rozmawiałem z pierwszym asystentem Gustavsonem.

- Jak ta kobieta się nazywa?

- Wiem tylko, że nazywają ją Ing-Marie. Ona ma atelier na Döbelnsgatan, pozuje. Dlatego nie chciałem o tym mówić. Bo im powiedziałem, że prowadziła salon fryzjerski.

- Aha, to teraz lepiej rozumiem - powiedział policjant i miał taką minę, jakby rzeczywiście wierzył w to, co mówi.

- Czy pan podejrzewa, że to ja...

- Nie, ale rozumie pan chyba, że musimy rozpatrzyć wszystkie możliwości. Znał ją pan. Dalsze przesłuchanie to sprawa kryminalnej. Ja muszę tylko poprosić, by chwilowo pozostał pan w pokoju.

- Oczywiście.

Enberg położył się na łóżku, zamknął oczy. Nagle poczuł się stary, zmęczony.

Chyba ja byłem do niej przywiązany, pomyślał.

Przesłuchanie

Na przedstawicieli kryminalnej nie trzeba, było długo czekać. Enberg leżąc na łóżku słyszał, kiedy policjanci weszli z tupotem i zaczęli badać pokój Ing-Marie.

Grupie przewodził człowiek wysoki, potężny i ponuro wyglądający. Był szefem sztokholmskiego wydziału morderstw, lecz mimo wieloletniej praktyki nigdy nie mógł pogodzić się ze śmiercią.

Ktoś nie znający Larsa Kollina mógł odnieść wrażenie, że jest on niepoprawnym grubianinem. Mówił zawsze kategorycznie jak podoficer wydający komendę i kłął przy każdej wypowiedzi.

Wcale nie był taki straszny, za jakiego chciał uchodzić. Choć czasami był trudny. Raz rozwiązawszy tajemnicę

zagadkowego morderstwa zadzwonił do informacji prasowej.

- Kollin, kryminalna, pisać - zaczął.

Mocno wystraszona młoda dziennikarka, która przyjęła telefon, zastosowała się do rozkazu i spisała znakomity komunikat o morderstwie i jego sprawcy.

Teraz Kollin stojąc przy łóżku wysłuchiwał informacji jednego z wcześniej przybyłych policjantów.

- Otworzyć okno. Śmierdzi jak cholera. Aha. Jest drab, jej znajomy. Kto ona jest, widać. Gdzie on mieszka?

- Pod szóstką.

Kollin odwrócił się gwałtownie i wyszedł z pokoju. Zapukał do pokoju Enberga, który wstał, otworzył.

- Dzień dobry. Moje nazwisko Kollin. Jestem szefem brygady zabójstw. Parę pytań chcę postawić.

- Dzień dobry.

- Svensson - ryknął Kollin - chodź tu z magnetofonem.

Korpulentny mężczyzna o grubych ciemnych brwiach przyniósł mały magnetofonik. Zostawił go Kollinowi, który coś burknąwszy zaczął kręcić gałkami aparatu.

Wreszcie go uruchomił i wlepił oczy w Enberga, który opuścił wzrok.

- A pan jak się nazywa?

Enberg odpowiedział.

- Jeżeli mnie dobrze poinformowano, znał pan tę kobietę, którą jakiś bezwstydnny drab udusił.

- Tak - powiedział Enberg.

- Proszę się nie denerwować - powiedział Kollin usiłując nadać swemu głosowi przyjemne brzmienie.

- Ja się wcale nie denerwuję - odparł Enberg.

- Cholernie się pan denerwuje - stwierdził Kollin. - Co nie jest nawet dziwne. Jak długo ją pan znał?

- Parę lat. Miała atelier do pozowania na Döbelnsgatan.
- To znaczy burdel. Umówił się pan z nią tu w hotelu?
- Nie, skąd - zapewnił Enberg.

Kollin wyjął pudełko papierosów.

- Czy nie będzie panu przeszkadzać, jeżeli zapalę?
- Nie - powiedział Enberg - proszę bardzo.

Kollin zapalił, zaciągnął się parę razy. Siedział milcząc. Enberg czuł się coraz niepewniej. Wielka postać komisarza oznaczała coś złowróżbnego.

- Właściwie palenie jest głupim nawykiem - powiedział Kollin. - Więc chce pan powiedzieć, że przez zwykły przypadek zamieszkaliście w jednym hotelu.

- Tak, zwykły przypadek.
- Aha. I opowiadał pan chyba jakąś piekielną historię z komiksów, jakoby ona miała coś wspólnego z porwaniem.
- Wydawało mi się tylko dziwne, że kupiła u mnie trzy maski.

- Kiedy?

- Na dzień przez porwaniem córki premiera i wychowawczyni.

- Może wybierała się na maskaradę?

- Nie sądzę. Pytałem drugą dziewczynę pracującą w tym atelier, nic o tym nie słyszała.

- Hej tam, Svensson, zadzwoń do obyczajówki, spróbuj złapać kogoś, kto siedzi w biurze, a nie u którejś z dziwek. Może ktoś taki jest.

Svensson zrobił, co mu nakazano. Przez centralę policji połączył się z dyżurnym obyczajówki. Podał Kollinowi słuchawkę.

- Obyczajówka, asystent Berg.

- Dzień dobry. Tu komisarz Kollin z morderstw. Czy ma pan łączność z wszystkimi tymi zas... burdelami w mieście?

- No, w każdym razie z większością.
- Wie pan coś o niejkiej Ing-Marie Sandgren z Döb-
elnskatan?

- Chwileczkę.

Kollin ciężko westchnąwszy rozsiadł się wygodnie i czekał. Berg zgłosił się po dobrej minucie.

- Owszem - powiedział - figuruje. Od dawna w zawo-
dzie. Wiedzie jej się.

- No, już nie - sucho stwierdził Kollin. - Już nie żyje.
Udużona w dodatku.

- Niech to diabli - powiedział Berg.

- Rzeczywiście. Racja. Interesuje mnie, czy ona ma al-
fonsa.

- Jeżeli nie idziemy po złym tropie, to ma chłopaka.

- Mówże pan, do cholery, jak się nazywa. To docho-
dzenie w sprawie morderstwa a nie towarzyska rozmowa.

- Nazywa się Arne Risefelt - powiedział Berg nieco
urazony.

- Co o nim wiecie?

- Podaje się za dyrektora. Dawniej miał firmę samo-
chodową. Zdaje się, że był zamieszany w jakąś sprawę z
narkotykami.

- Gdzie on mieszka?

- O ile mi wiadomo, mieszka u niej.

- W atelier?

- Tak.

- Dziękuję - powiedział Kollin i odłożył słuchawkę.

Zamyślił się. Za gburowatą fasadą kryła się u niego bystra
inteligencja i intuicja, w jakie musi być wyposażony poli-
cjan, jeżeli chce wznieść się ponad przeciętność.

To, co Enberg opowiadał, nazwał komiksową historią, ale bardzo go ta historia zainteresowała. Znowu wezwał Svenssona.

- Posłać dwóch ludzi do tego jej atelier na Döbelngatan. Sprowadzić tu jej alfonsa, jeżeli tam jest, nazywa się Arne Riseteli Zaraz, cholera. Poczekajcie.

Kollin znowu zadzwonił do obyczajówki. Telefon i tym razem przyjął Berg.

- Kollin. Zapomniałem o czymś. Czy ten Risefelt nie ma jakiejś innej meliny?

- Zupełnie pewien nie jestem, ale wydaje mi się, że on hoduje konie wyścigowe gdzieś pod miastem. Nie wiem dokładnie gdzie, ale sądzę, że będę się mógł dowiedzieć. Zadzwoń.

- Dobrze.

- Mam posłać ludzi? - spytał Svensson.

- Tak, wyślij.

Właśnie zjawił się elegancki lekarz sądowy. W nieskazitelnym garniturze. Wyjął z walizki biały kitel i zabrał się do pracy. A Kollin przez ten czas dalej przysłuchiwał Enberga.

Wiele się nie dowiedział. Opuszczając pokój Enberga przed zamknięciem drzwi odwrócił głowę i powiedział:

- Proszę się tym zbytnio nie przejmować. Możliwe, że za chwilę znowu będę musiał pana trudzić, choć nie wydaje mi się, żeby to było konieczne.

Udał się do pokoju, w którym popełniono morderstwo. Skonstatował, że lekarz nie jest jeszcze gotów. Zszedł więc do portierni. Siedział tam gospodarz.

- Chciałbym pomówić z pana żoną - powiedział Kollin. Magnetofon miał przewieszony przez ramię.

- Odpoczywa, żeby przyjść do siebie - powiedział gospodarz. - Strasznie to nią wstrząsnęło.

- To zajmie tylko parę minut.

Gospodarz kuląc wąskie ramiona poprowadził Kollina do mieszkania. Zapukał do drzwi.

- Kto tam?

- To ja, kochana. Jeden z panów z policji chce z tobą pomówić.

Łóżko skrzypnęło, drzwi się otworzyły, kobieta była biała, kurczowo ścisnęła chusteczkę do nosa.

- Rozumiem, że jest pani przejęta - powiedział Kollin niespodziewanie łagodnym głosem. - Chodzi mi tylko o kilka informacji.

- Jakie to okropne - powiedziała kobieta. - Wciąż myślę o tym, że zamordowano ją, kiedy siedziałam w odległości kilku metrów.

- Nic pani nie słyszała?

- Nie.

- I jest pani pewna, że nikt nie wchodził?

- Zupełnie pewna.

- Drzwi od podwórza są teraz zamknięte. Czy były zamknięte przez cały dzień?

- Tak mi się wydaje, ale trudno powiedzieć na pewno.

- Jeszcze jedno tylko. Czy nikt dziś nie pytał o panią Sandgren?

- Nie, tylko pan Enberg.

- Nikt nie dzwonił?

- Owszem, prawda - powiedziała gospodyni z nieszczerliwą miną. - Jakiś pan dzwonił po południu i pytał o nią.

- Podał nazwisko?

- Nie, spytał tylko, czy mieszka tu Ing-Marie Sandgren. Spytałam, czy mam coś przekazać, ale powiedział, że nie. Nie rozumiem, jak mogłam zapomnieć o tej rozmowie.

- Ludzka rzecz zapominać - wielkodusznie powiedział Kollin.

- Sądzi pan, że to był morderca?
 - Niekoniecznie. Ale z drugiej strony nie można zupełnie wykluczyć tej możliwości.
 - Trzęsę się na samą myśl o tym.
 - A ten, kto dzwonił. Czy nie telefonował już przedtem?
 - Nie.
 - A czy ktoś pannę Sandgren odwiedzał?
 - Nie, z pewnością nie - powiedziała z naciskiem.
 - Nic złego nie miałem na myśli. Wiem, że to spokojny, przyzwoity hotel. A więc nikt u niej nie był?
 - Nie.
- Kollin podziękował uprzejmie i opuścił mieszkanie.
- Odezwali się ci, których posłałeś do jej mieszkania?
 - Tak, Berg właśnie dzwonił. To był high life. Prawdziwa orgia.
 - Ale alfonsa nie zastali?
 - Nie zastali.
 - Powiedziałaś mu chyba, że dziewczęta trzeba przesłuchać?
 - Oczywiście.
 - Pięknie.
- Lekarz mył ręce. Wytrzeł je starannie, zapalił papierosa.
- No - ponaglająco powiedział Kollin.
 - Uduszenie. Przypuszczalnie pończochą. Potem zakneblował jej usta, dla pewności.
 - Zgwałcona?
 - Nie sądzę, ale miała przedtem stosunek.
 - Od jak dawna nie żyje?
 - Od dwóch godzin najwyżej.
- Gospodarz zajrzał. Ostrożnie wsunął głowę nie patrząc na zmarłą.

- Telefon do pana komisarza, czy mam tu przełączyć?
- Nie, zejdę.

To dzwonił Berg z obyczajówki.

- Sprawdziłem tego Risefelta - powiedział.

- No - burknął Kollin zirytowany, że tamten nie mówi od razu, co wie.

- Ma chyba dom na wsi gdzieś w okolicy Märsty.

Wreszcie wydukał, gdzie ten dom się znajduje. Kollin podziękował, wyjął kalendarzyk. Wyszukał numer tamtejszej policji. Poprosił o połączenie z wydziałem kryminalnym.

- O ile macie taki wydział - prychnął ironicznie.

Chociaż były wydziały kryminalne na przedmieściach.

- Tu komisarz Kollin ze Sztokholmu.

- Witam - opowiedział dyżurny z Märsty.

- Jest taka sprawa, mamy tu małe morderstwo. W związku z tym szukamy dyrektora Arnego Risefelta, chcieliśmy z nim kilka słów zamienić.

Kollin wymienił nazwę owego domu wiejskiego. Dyżurny wszystko zapisywał.

- Zaraz tam pojedziemy - powiedział.

- Tylko dyskretnie, u licha, jeżeli go zastaniesz, nie mówić, o co chodzi. Tylko że chcemy z nim pomówić o Ing-Marie Sandgren.

- Sandberg? - spytał dyżurny gorączkowo notujący.

- Nie, do cholery, Sandgren.

- Przepraszam, panie komisarzu.

- Dacie znać, spodziewam się.

- Natychmiast.

- Dobrze - powiedział Kollin i położył słuchawkę.

Wszedł policjant w mundurze. Przez chwilę stał bezradnie, wreszcie rozpoznał Kollina.

- Jest tam jakiś dziennikarz - powiedział.

- Już?

- Chce mówić z panem komisarzem.
- Mów mi ty, u licha - powiedział Kollin i wyszedł.

Na schodach stał młody reporter z gazety wieczornej mającej redakcję na Klaragatan.

- Widzę, że radio policyjne funkcjonuje - zaczął Kollin.
- Do powiedzenia mam tylko tyle, że znaleziono tu w hotelu młodą kobietę. Można wnioskować, że pozbawiono ją życia.

- Nikogo podejrzanego?

- Nie - powiedział Kollin. - Wieczorem zwołam konferencję prasową w komendzie. Chwilowo nic więcej.

Kollin zamknął drzwi przed nosem dziennikarza. Potem znowu zabrał się do telefonowania. Zadzwoił do obsługi telegraficznej, opowiedział pokrótce wydarzenie. Zawiadomił, że konferencja prasowa odbędzie się o dziesiątej wieczorem w jego gabinecie.

- I proszę u diabła przypilnować, żeby wszystkie gazety dostały zaproszenie - dodał.

Morderca

Morderca zacisnął pończochę na szyi Ing-Marie. Trzymał końce tego cienkiego sznurka, póki nie znieruchomiała. Patrzył na nią z obrzydzeniem. W pokoju cuchnęło, a zawsze trudno mu było znieść wszelki smród.

Tłumił mdłości. Właściwie wcale nie był wzburzony tym, co zrobił, tylko ten zapach go raził. Patrzył na nią.

No, teraz jednak nie żyje, pomyślał.

Sięgnął po majtki, wepchnął jej do gardła. Wybałuszała na niego martwe rybie oczy. Wzruszył ramionami.

Ostrożnie otworzył drzwi, wyjrzał. Ani żywego ducha.

Nie obejrzawszy się zamknął drzwi i szybkim krokiem poszedł w kierunku rezerwowego wejścia. Paznokciem

podważył patentowy zamek, zamknął drzwi i szybko zbiegł ze schodów. Na podwórzu powiało zimnem, rozpiął marynarkę. W kącie podwórka jakiś pijak sikał rycząc jednocześnie psalm.

Śpiewający zobaczył mordercę.

- Chcesz łyknąć? - zapytał.
- Chyba nie - odpowiedział morderca.
- Łyczek zawsze się przyda.
- Może i tak - powiedział morderca.

Pijak wyciągnął z kieszeni półlitrowkę czystej. Morderca wytarł szyjkę i pociągnął.

- Dziękuję - powiedział. - Muszę spływać.
- Mieszkasz tu? - spytał pijak.
- Nie, byłem tylko u znajomego. Tymczasem.
- Tymczasem i z Bogiem - powiedział pijak.

Morderca szybko przeszedł na drugą stronę ulicy. Ostatni raz spojrzął w okno pokoju, gdzie zostawił martwą kobietę. Wmówił sobie, że nie miał innego wyboru. A teraz musiał szybko wracać do domu.

Wyszedł na Drottninggatan, skręcił w Mäster Samuelsgatan. Kupił w kiosku gazety wieczorne. Przejrzał nagłówki na pierwszej stronie i poszedł dalej.

Wcale nie zauważył mężczyzny, który siedząc przy stoliku w kawiarni „Aniara” przyglądał mu się z zainteresowaniem.

Dialog

Wieczorem Jan Olsson siedział w standartowym domku Sundelina i oglądał wiadomości dnia w TV. Premier był w swym gabinecie, pisał przemówienie.

Olsson nieuważnie słuchał wiadomości o zamordowaniu Ing-Marie, które potraktowano jako zbrodnię na tle seksualnym. Olsson nie miał oczywiście powodu do wiązania tego wydarzenia z Sundelinem i jego sytuacją.

Wciąż czuł urazę do Sundelina. Prócz tego doznawał uczucia, że zawiódł sam siebie, nie udało mu się przeciwstawić przekonującym namowom premiera.

Parę razy ogarniała go ochota, by iść do Sundelina i skończyć z tym wszystkim. Jednak nie zdobył się na to. Zagrożone były przecież dwa istnienia ludzkie.

Z pokoju Sundelina dochodził stukot maszyny do pisania. W niedzielę wieczorem wygłosi mowę w Sollentunie. Tak przynajmniej twierdzi. Olsson miał wątpliwości, czy premierowi starczy sił. Poprosił już zresztą ministra oświaty, by go zastąpił, jeśli to będzie konieczne. Organizatorzy okazali duże zrozumienie. Oczywiście tylko w ostateczności.

Olsson przyniósł sobie piwo z lodówki. Wyłączył telewizor i przez chwilę próbował czytać. Sundelina zauważył dopiero, gdy stanął tuż przy nim.

- Już jestem gotów - powiedział. - Mamy chyba z sobą do pomówienia.

Olsson wzruszył ramionami.

- Rozumiem, że jesteś niezadowolony - powiedział Sundelin. - Jestem w pełni świadom, że wplątałem cię w kłopotliwą sytuację.

- Kłopotliwą - parsknął Olsson. - Chodzi o całą moją przyszłość. Jeżeli coś się wyda, natychmiast dostanę kopniaka.

- Tak sądzisz? Możesz na mnie polegać, zrobię wszystko, co w mojej mocy, a niewątpliwie mam trochę do powiedzenia, żeby ci się nic złego nie przydarzyło.

- Tak, a cóż to pomoże, jeżeli ty sam zostaniesz nakryty. Trudno przypuszczać, żebyś w takim wypadku mógł mi wiele pomóc. Raczej odwrotnie.

Sundelin wsparł na rękach swą wyrazistą, grubo ciosaną twarz.

- Jestem zmęczony - powiedział - Straszliwie zmęczony. Jak myślisz, oddadzą mi Krystynę?

- Tak, myślę, że oddadzą - powiedział Olsson, pełen nadziei, że się nie myli. - Zakładam oczywiście, że do jutra otrzymasz pieniądze.

- Już je mam w domu - oznajmił Sundelin.

- Czy to znaczy, że pół miliona trzymasz zwyczajnie w domu? To przecież szaleństwo.

- Uważałem, że tak będzie najlepiej. Nie chcę ściągać na siebie uwagi bardziej, niż to jest konieczne.

- Jest w tym oczywiście trochę racji. Ale jak je wydo-
byłeś?

- Przez absolutnie pewnego pośrednika. Jest to ktoś, na kim mogę bezwarunkowo polegać. Zadzwoiłem do niego od razu po pierwszym liście. Pieniądze otrzymałem wczoraj.

- Zastosowałeś się do instrukcji?

- Tak.

- Żadnych znaczonych banknotów?

- Żadnych. Nie chcę ryzykować. Czy mówili coś nowego w TV?

- Nic ważnego. Jakieś morderstwo w city. W hotelu znaleziono martwą kobietę.

- Jak zaczniesz to jutro załatwiać?

- Wystarczy stosować się do wskazówek. Pytanie tylko, jak oni przekażą dziewczęta. Ale jakoś to będzie.

- Ciekaw jestem, jak Jens Fors by zareagował, gdyby znał prawdziwe warunki - powiedział Sundelin. - Jutro wieczorem będzie w Albanii, a wszystko to jest jednym wielkim bluffem.

- Niewątpliwie dobry to pomysł - powiedział Olsson - ten, kto wpadł na to, nie jest głupcem.

- Tylko skąd oni mogli się dowiedzieć, że mam tyle pieniędzy?

- Jesteś taki pewien, że wiedzą, ile masz? To może być zupełnie przypadkowe szczęśliwe trafienie. Powszechnie wiadomo, że goły nie jesteś. Wyszli z założenia, że w ten czy inny sposób postarasz się o pieniądze.

- Próbuję sobie wmówić, że tak właśnie jest, w przeciwnym razie byłoby niewesoło.

- Jak mogłeś ryzykować?

- Masz na myśli pieniądze?

Olsson kiwnął głową.

- Znasz przecież moją przeszłość. Pochodzę z biedoty, wyrosłem w bardzo skromnych warunkach. Od małego marzyłem, żeby być naprawdę bogaty. Z czasem stało się to po prostu moją idée fixe. Udało mi się korzystnie lokować i ni stąd, ni zowąd stałem się posiadaczem mnóstwa pieniędzy i nie chciałem, by mi je wydarto.

- A nie miałeś wyrzutów sumienia?

Premier nie od razu odpowiedział.

- Nie - rzekł wreszcie. - Dziwne, nieprawdaż? Czasem czułem strach, że się to wykryje. Ale wyrzutów sumienia nigdy.

- Przecież w ten sposób przeciwstawiałeś się własnej polityce.

- Oczywiście, nie udało mi się stłumić tej świadomości.

- A teraz musisz jednak rozstać się z pół milionem. I jak to przeżyjesz?

- Dziwne. Wcale o tym nie pomyślałem! Koniec końców zupełnie zrujnowany chyba jeszcze nie jestem. Nie uwierzysz może, ale dla Krystyny poświęciłbym wszystko.

- Partię też?

- Tak.

- Nie sądzisz, że powinniśmy mieć polityków, którzy dochodziliby do innych wniosków?

- I to możliwe.

- Całe porwanie dobrze zostało zaplanowane. Nie rozumiem tylko, po co ta gierka z jutrzejszą transakcją - powiedział Olsson po krótkiej chwili. - Wtykać torbę z pieniędzmi do podmiejskiego pociągu, to się wydaje niebywale idiotyczne. Ale możliwe, że oni dobrze wiedzą, co robią.

- Na pewno - potwierdził Sundelin.

- Z Anniką nie będzie problemu. Porywacze chyba nic jej nie ujawnili. Z policją natomiast to już problem, ale nie taki wielki, jakoś się ułoży. Nie to mnie niepokoi. Jest coś gorszego... Załóżmy na chwilę, że oni rzeczywiście wiedzą o moich pieniądzach ulokowanych w szwajcarskim banku. Jeżeli tak, nie poprzestaną na tym, co teraz zdobędą. A na dłuższą metę to będzie nie do zniesienia.

Olsson nie odpowiedział. Wypił resztkę piwa.

- Czy masz coś przeciw temu, że pójdę się położyć? - powiedział. - Muszę być jutro w formie.

- Skądże. Tylko tak przyjemnie jest mieć kogoś, z kim można porozmawiać. To naprawdę bardzo ważne.

- Chętnie tu zostanę.

- Ach, nie to miałem na myśli.

Olsson stłumił ziewnięcie. Podeszedł do telefonu i nakręcił numer swego bezpośredniego przełożonego. Z odrobiną złośliwej radości stwierdził, że premier jest zdenerwowany. Może podejrzewał, że Olsson się rozmyślił i zamierza zdradzić.

- Cześć, tu Olsson. Chciałem tylko zameldować, że już się kładę spać. Czy coś się wydarzyło?
 - Nic. Zamordowano dziś kogoś, ale to oczywiście nie ma nic wspólnego z nami.
 - A z Forsem załatwione?
 - Tak, jedzie do ziemi obiecanej jutro o czternastej.
 - Będzie oczywiście wyjazd z pompą.
 - Jak diabli. A co z Sundelinem?
 - Tak sobie.
 - Słucha?
 - Właśnie.
 - Może ci pomoc potrzebna, da się załatwić.
 - Nie trzeba. Nie ma gwałtu.
- Skończyli rozmowę. Olsson powiedział dobranoc i już wychodził, gdy mu się coś przypomniało.
- A gdzie są pieniądze? - spytał.
 - Zamknięte w schowku na ubranie.
 - Zdajesz sobie sprawę, jakie byłyby następstwa, gdyby je ktoś ukradł albo gdyby się spaliły?
 - Owszem - westchnął Sundelin. - Ale cóż mogę zrobić.
 - Dobranoc - raz jeszcze powiedział Olsson.

Niedziela przed południem

Tego niedzielnego ranka deszcz wisiał w powietrzu. Neon oświetlający wielki zegar na domu towarowym NK nie został wygaszony. Annika mogła go dojrzeć wyglądając oknem. Krystyna leżała w łóżku i wciąż jeszcze spała.

W Stureby i Sundelin, i Olsson obudzili się bardzo wcześnie. Olsson, który umiał gotować, zajął się szykowaniem śniadania.

- Usmażę parę jajek - powiedział. - Nie zawadzi podejść solidnie.

- Może i tak - odpowiedział premier z roztargnieniem.

Olsson przyjrzał mu się.

- Głowa do góry - powiedział. - Jak wszystko dobrze pójdzie, dziś wieczorem Krystyna może siedzieć przy tym stole.

- Nie wydaje mi się.

Olsson ułożył na dwóch talerzach jajka i plastry boczku. Kawa też już była gotowa.

- Jemy - powiedział.

W Långholmen Jens Fors też jadł śniadanie. Był w celi sam. Całe szczęście, bo przez czas trwania posiłku prowadził rozmowę z wymagowaną osobą po przeciwnej stronie stołu.

- Tak więc jadę dziś do Albanii - mówił Fors.

- To kraj socjalistyczny - wtrącał ten drugi, nieistniejący.

- Właśnie.

- Myślisz, że przyjdiesz tam do siebie?

- Owszem, dlaczego nie.

- Nie wiem, pytam tylko.

- A tobie jak się zdaje, dobrze się ułoży?

- Wcale się nie ułoży.

- Nie - powiedział Fors, z trudem powstrzymując się od krzyku.

- Dlaczego właściwie to zrobisz?

- Musiałem przecieżyć.

- Dlaczego?

Fors zmarszczył czoło i wydawał się zmieszany. Zastanawiał się kreśląc jednocześnie palcem na blacie stołu jakieś figury.

- Przecieżyć to ty mi powiedziałeś, że mam to zrobić.

- Śniło ci się - powiedział głośno.

- Wcale nie.

W sekundę potem Fors zapomniał o tej rozmowie. Przekłnął ostatni kęs chleba i odsunął tackę. Natrętny głos zupełnie zamilkł.

Ciekawe, czy w samolocie dadzą mi obiad, myślał.

Dzwony u Świętej Klary odegrały „Zorze poranne” i zaczęły wybijać dziewiątą, gdy Bosse się obudził. Mimo że zasnął bardzo późno, w parę sekund zupełnie otrząsnął się ze snu.

Potał kark, zamknął oczy.

Zaczynam być zmordowany, pomyślał. Jeszcze jeden dzień trzeba wytrzymać.

Z trudem wstał, przetarł oczy. Umył się w staromodnej ciasnej toalecie. Ogolił się starannie i od razu znacznie lepiej się poczuł. Wyszczерzył zęby w nagłym uśmiechu i poszedł do pokoju Arnego.

Ciekawe, jak się dziś czuje...

Mocno zabębnił w drzwi.

- Obudź się! - zawołał.

- Tak - odwrzasnął Arne. - Już od paru godzin nie śpię.

- Pięknie - powiedział Bosse. - Skoczę tylko na stację kolejki po gazety.

Bosse poszedł przez Regeringsgatan, przeciął Hamngatan i obok narożnika Banku Skandynawskiego zszedł na dolny poziom i skierował się do kiosku z gazetami koło Åhlena. Na wywieszkach zabójstwo Ing-Marie współzawodniczyło z porwaniem.

Bosse kupił „Nowiny Dnia” i „Dziennik Szwedzki”. Szybko przejrzał strony tytułowe. Potem z gazetami pod pachą wrócił do domu.

Gdy wszedł do mieszkania, Arne siedział przy kuchennym stole i pił piwo. Oczy miał podkrążone, wyglądał nędznie. Bosse dał mu „Nowiny Dnia”.

- Jest tam coś? - spytał Arne.

- Nic specjalnego. Tyle tylko, że znaleźli Ing-Marie.
- Co ty wygadujesz, u diabła?
- Właśnie, czy nie dziwne? - powiedział Bosse. - Mówiłeś mi, że ukryłeś ją na wysypisku śmieci, a tu piszą, że znaleźli ją w hotelu niedaleko stąd.
- To jakaś omyłka.
- Być może, w każdym razie gazety podają, że leżała martwa w tym właśnie hotelu.
- To nie może być ona - powiedział Arne zdecydowanym głosem.
- Dziwne tylko, że zamieścili jej fotografię. I na dodatek twierdzą, że wczoraj po południu jeszcze żyła.
- Ty wczoraj o tej porze wychodziłeś. - Tym razem głos Arnego zabrzmiał oskarżycielsko.
- To prawda.
- To ty ją zabiłeś! - wrzasnął Arne.
- Mój drogi - łagodnie powiedział Bosse. - Przecież już się przyznałeś, że to ty ją udusiłeś.
- Tak tylko mówiłem.

Wyrzuciwszy z siebie te trzy słowa Arne zamilkł, wyglądał na przerażonego.

- Wiesz, co ja myślę? - powiedział Bosse.
- Zupełnie mnie nie obchodzi, co ty myślisz.
- Może cię nie obchodzi, to ci wolno, myślę jednak, że zamordowałeś Ing-Marie, tylko zrobiłeś to dopiero wczoraj.
- Pleciesz.
- I to możliwe, ale jak się zastanowić, miałeś okazję, mogłeś się wymknąć, kiedy mnie nie było.
- Masz źle w głowie.
- Nie, i tak właśnie przypuszczam.

Przez chwilę było cicho.

- Naprawdę wydawało ci się, że mnie można oszukać?
- W głosie Bossego zabrzmiało szczere zdziwienie. Arne

nie odpowiedział. Wyjął grzebień, poprawił włosy. Wsunął rękę do kieszeni wiszącej na poręczy krzesła marynarki.

- Stój! - ostry głos Bossego. Ręka Arnego znieruchomiała w wewnętrznej kieszeni. Bosse błyskawicznie znalazł się tuż i chwycił go za ramię.

- Chciałem tylko wyjąć portfel - wyjął Arne.

Bosse pomacał kieszeń i rozluźnił uścisk.

- Nigdy nie można mieć pewności - powiedział. - Pytałem, czy rzeczywiście wydawało ci się, że możesz mnie oszukać.

- Wcale nie próbowałem cię oszukać.

- Owszem, Ing-Marie, o ile się nie mylę, żyła jeszcze wczoraj, a tyś mówił, że nie żyje od kilku dni.

- Nastraszyłem ją tylko i pozwoliłem jej uciec. To prawda, że chciała donieść policji, ale to przecież jeszcze nie powód, żeby morderować. Ja ją dobrze znam, wystarczy ją przycisnąć.

- Pozostaje jednak faktem, żeś mnie okłamał.

- Nic strasznego się przez to nie stało. Teraz w każdym razie nie żyje. No nic.

- Owszem - powiedział Bosse uśmiechając się. - A jak ci się wydaje, kogo będą podejrzewać o morderstwo? Z całą pewnością Arnego Risefelta, który nigdy nie robił tajemnicy z tego, że jest jej alfonsem.

- Eee tam - zaprotestował Arne niezbyt pewnie.

- O której Ing-Marie otwiera zwykle atelier w niedzielę? - spytał Bosse.

- O dziewiątej, żeby wszystkie wsioki zdążyły przyjść przed wyjazdem do domu.

- Pięknie - powiedział Bosse.

Wyszedł do przedpokoju i nakręcił numer atelier. Odezwiał się głos kobiety.

- Czy jest Ing-Marie? - spytał.

- Nie, ma dziś wolne. Ale czy nie może pan załatwić sprawy ze mną?

- Mogę - powiedział Bosse i odłożył słuchawkę.

- No i co?

- Myślę, że to była tajniaczka - powiedział Bosse.

- Dlaczego tak myślisz?

- Czuję. Masz szczęście, że znajdujesz się w tej chwili tu. I lepiej, żebyś tu został. Inaczej pierwszy lepszy patrol cię przyłapie.

Arne od razu zrozumiał, że Bosse ma rację. Jednocześnie przemknęła mu przez głowę myśl, że gdyby teraz sam poszedł na policję, może by o tamtym zapomniano. Parę sekund się nad tym zastanawiał, potem odrzucił pokusę.

- Po południu masz dostać pieniądze? - spytał.

- Tak.

- A jak mogę mieć pewność, że nie nawiejesz?

- Tego oczywiście nie możesz być pewien, to jest ryzyko, z którym musisz się pogodzić.

- Myślisz, że dostaniemy te pieniądze?

- Oczywiście. Dostaniemy.

- A co z dziewczętami?

- Wypuścimy je. To już uzgodniliśmy.

- A jeżeli nas wpakują?

- I z tym trzeba się liczyć. Ale nie wydaje mi się, żeby nam coś groziło.

- Ale gdyby jednak - upierał się Arne.

- Nie można żyć, nic zupełnie nie ryzykując. Ing-Marie powinna była o tym pamiętać. A właściwie dlaczego ją zamordowałeś?

- To nie ja.

- W takim razie ktoś inny.

Dochodzenie

Policjanci z Mårsty wysłani do domu Arnego nie znaleźli go tam naturalnie. Liczne znaki wskazywały jednak na to, że nie tak dawno w domku byli ludzie.

Kollin wciąż jeszcze był w hotelu, gdy przekazano mu tę wiadomość. Właśnie miał udać się na zapowiedzianą konferencję prasową. Tylko parę minut brakowało do dziesiątej.

- Jedziemy - powiedział do jednego ze swych współpracowników. - Nie ma go tam, ale niedawno ktoś był w chacie. Obiecali mieć dom pod obserwacją.

- A co sądzisz o tej historii sprzedawcy zabawek?

- Sądzę, że mówi prawdę. I na pewno nie ma nic wspólnego z tym morderstwem.

- Mam na myśli te maski.

- Zupełnie niedorzeczne, żeby dziwka i jej alfons mieli coś wspólnego z tym porwaniem. Zresztą za nic w świecie nie chcę mieć do czynienia z tantym śledztwem. My zajmujemy się tylko morderstwem, a potem się zobaczy, co z tego ubocznie wyniknie.

- Więc uważasz, że nie trzeba dzwonić do Gustavsona?

- Nie, zostawmy to. Ten pajac dawno pewnie o wszystkim zapomniał.

Mimo niedorzecznej pory czterech dziennikarzy przyszło na konferencję w gabinecie Kollina, który kiwnąwszy głową na powitanie usiadł za biurkiem.

I siedział tam słowem się nie odzywając. Minuta prawie minęła, gdy wreszcie nieprzyjemna cisza została przerwana.

- Czy możemy się dowiedzieć, co się zdarzyło? - zapytał dziennikarz będący jedynym wśród zgromadzonych reporterem od spraw kryminalnych.

- W hotelu Chatka znaleziono kobietę, która została pozbawiona życia. Prawdopodobnie uduszona.

- Możemy usłyszeć jej nazwisko?

- Nie.

- Czy krewni nie zostali zawiadomieni?

- Nie.

Znowu cisza. Kollin obojętnie wpatrywał się w sufit. Rozpiął marynarkę, a ponieważ przy koszuli brakowało guzika, w szparze widać było wielkie oka ażurowego podkoszulka.

- Czy policja natrafiła na jakieś ślady, którymi może podążać?

Pytanie to postawił dziennikarz, będący specjalistą od spraw kościelnych, przystany na konferencję przez nielitościwego sekretarza. Kollin spojrział na niego zimno.

- Spełnialibyśmy nasze zadanie w pożałowania godny sposób, gdybyśmy nie potrafili odkryć śladów - powiedział Kollin.

- Chodziło mi raczej o to, czy ktoś jest podejrzany.

- Bezpośrednio nikt.

- Czy to sformułowanie oznacza, że policja śledzi kogoś?

- Moje wypowiedzi każdy może tłumaczyć sobie jak chce.

Teraz zdobyła się na odwagę dziennikarka, która pisywała długie zaangażowane artykuły o ochronie środowiska. Bez przerwy paliła. Specjalista od spraw kościelnych, który był niepalący, wciąż machał ręką, by odpędzić chmurę dymu.

- A jak z personelem? - spytała.

- Kuso jak zwykle - odpowiedział Kollin.

- A czy nie ma specjalnych trudności w związku z wydarzeniami ostatnich dni?

Kollin dobrze rozumiał, co pytająca ma na myśli, ale udał,

że nie rozumie. Lubił robić z siebie człowieka zupełnie pozabawionego fantazji.

- Nic specjalnego nie mieliśmy. Parę pijackich rozróbek.

- Chodziło mi o sprawę Sundelina.

- To nie przypadło mojej brygadzie - wyjaśnił Kollin.

- Czy to morderstwo nie może mieć jakiegoś związku z porwaniem?

- Mnie trudno dostrzec jakiś związek między przestępstwem na tle politycznym a morderstwem seksualnym.

- Ach, więc jest to morderstwo na tym podłożu - wtrącił reporter kryminalny.

- W każdym razie są powiązania tego rodzaju.

- Czy zamordowana była prostytutką?

- Tego bym nie powiedział, miała jednak duży krąg znajomych.

Nawet specjalista od spraw kościelnych zrozumiał, że z tego określenia wynika, iż zamordowana była lafiryndą.

- Czy tego typu morderstwa trudne są do wyjaśnienia? - spytał.

- Tak, cholernie trudne - odpowiedział Kollin.

- Kiedy dowiemy się nazwiska?

- Zostanie podane przez Agencję Prasową.

Dziennikarze zbici z tropu spoglądali na siebie, każdy usiłował wymyślić jakieś inteligentne pytanie. Nikomu się nie udało. Kollin dalej patrzył w sufit. Jakby zupełnie nie uświadamiał sobie kłopotliwej ciszy.

- Więcej pytań nie ma - powiedział nagle.

Dziennikarze - zadowoleni, że ekscentryczny pracownik policji z opóźnieniem, ale dał jednak znak życia, zaczęli zbierać notatki.

- Cieszę się z okazanego zainteresowania - oznajmił Kollin uprzejmie.

Dziennikarze wyszli gęsiego. Specjalistka od ochrony środowiska zapaliła nowego papierosa.

- Jakim cudem podobny tępak mógł osiągnąć takie stanowisko? - spytała.

Reporter kryminalny pracujący w tej dziedzinie od dwudziestu lat spojrzął na nią z irytacją.

- Pierwszy raz zdarzyło ci się spotkać Kollina?

- Tak.

- Jak wrócisz do swojej redakcji - powiedział reporter - powinnaś zajrzeć do starych wycinków. Czytać jeszcze nie umiałaś, kiedy on był niezwykle dzielny gliną.

Dziewczyna bez powodzenia usiłowała zachować obojętną minę. Uniosła płaszcz maxi i bez słowa zeszła po schodach.

- Chodźmy na grog do piwnicy Pipera - zaproponował reporter kryminalny specowi od spraw kościelnych.

- Dobrze byłoby, ale muszę jeszcze coś skrobnąć.

- Możesz przekazać telefonicznie z knajpy. I tak nie wejdzie do numeru. Chodź.

Na górze Kollin rozmawiał z najbliższym sobie człowiekiem, Börjessonem. Współpracowali od wielu lat i nie musieli dużo mówić, żeby się całkowicie zrozumieć.

- To chyba była wspaniała konferencja, niech to diabli - powiedział Kollin.

- Mają cię za idiotę.

- No, w każdym razie ta dziewczyna, która dymiała cały czas jak komin, na pewno. Malm od dawna mnie zna. On jest swój.

- Coś rozważasz - powiedział Börjesson.

- Tak - przyznał Kollin.

- Zamierzasz jednak zadzwonić do Gustavsona.

- Zastanawiam się, ale doszedłem do wniosku, że można sobie darować.

- Można.
- Na pewno?
- Tak.

Kollinowi ulżyło.

- To idziemy do domu - powiedział. - Nic już dziś nie zdziałamy.

- Myślisz, że to Risefelt?

- Tak. Wkrótce chyba wypłynie. On nie wydaje się typem, który potrafi trzymać się na uboczu przez dłuższy czas.

- Musiał wejść od podwórza.

- Prawdopodobnie, ale czy to wiadomo. Nie jest pewne, czy ta stara cały czas siedziała i pilnowała wejścia. Może była w ustępie.

- Możliwe. Myślisz, że Gustavson sam zużytkuje tę informację sklepikarza?

- Nie, a jeżeli nawet utknie, to w wyższej instancji. To przecież nie ma znaczenia.

- Dlaczego?

- Nie wiem, może się mylę, ale wydaje mi się, że ci policyjcy mają zapewnioną zupełną bezkarność.

- To nie zostało wcale powiedziane.

- Nie wprost, ale jestem pewien, że tak jest. Zwróciłeś może uwagę na całe to cholerne wyciszenie nie tylko w Sapo, ale i w państwowej policji? Jak przyłapiemy Risefelta, najmądrzej będzie nie wspominać o Sundelinie.

- Więc myślisz, że to ma coś wspólnego z Sundelinem?

- Nie, żadnego rozsądnego powodu nie ma, żeby tak przypuszczać. Tylko że...

- Intuicja.

- Tak, ale nie zawsze można jej ufać.

- Nie.

Zadzwoił telefon. Kollin z udręczoną miną podniósł słuchawkę.

- Kollin. - Szybko zakrył ręką mikrofon. - Gustavson - powiedział do Börjessona. - Czego sobie życzysz? - spytał odsłoniwszy mikrofon.

- Widziałem na taśmie teleksu, że ci spadło na kark morderstwo.

- Tak.

- I zauważyłem, że dziewczyna miała na imię Ing-Marie. A był dziś u mnie niejaki Gustaw Enberg z wiadomością w sprawie Sundelina, dotyczyło to dziewczyny o imieniu Ing-Marie.

- Wiemy.

- Co wiecie?

- O tej całej historii z maskami. Mówił nam o tym. Sprawdziliśmy. Nic wspólnego z Sundelinem to nie ma.

- Tak sądzisz? - powiedział Gustavson wyraźnie zadowolony. - To dobrze. Możemy to skreślić.

- Bez wahania. A nikogo więcej nie trzeba zawiadomić?

- Nie, nikomu o tym nie wspominałem. Nie zdążyłem nawet.

- No więc. Dobranoc.

- Dobranoc.

Odwrócił się do Börjessona.

- O, właśnie to - powiedział.

- Tak, właśnie to.

Pociąg

Jan Olsson poszedł na stację kolejki podziemnej w Stureby. Zajęło mu to dziesięć minut, jazda do centralnego dalsze szesnaście minut. Był tam już o drugiej.

Czuł się odrobinę podniecony, ale nie tak znów bardzo. Zdenerwowanie zupełnie zniknęło po wypiciu whisky w dworcowym barze. Tłoczno tam było od mieszkańców północy z utęsknieniem rozmawiających o ciszy tam u nich, w wielkich lasach. Przysłuchiwał się rozbawiony.

Wiedział, że pociąg do Sollentuny odchodzi o 14.42 z peronu piętnastego. Miał więc czas i siedział w barze prawie do wpół do trzeciej.

Potem powlókł się wolno na ukos przez ogromny obszar posadzki centralnego placu mijając Turków przy fontannie. Stali tam w nowych eleganckich garniturach i dzielili się doświadczeniami życia w kraju wysokiego standardu.

Koło peronu dziesiątego zszedł schodami na niższy poziom podziemny. Paru zziąpanych zamiejscowych pasażerów biegło tam gorączkowo kupując gazety, czekoladę i piwo przed wyjazdem do Våxjö i Sundvall.

Bilet kosztował dwie korony dwadzieścia. Parę minut czekał, nim pociąg wahadłowy podjechał do peronu. Olsson skonstatował, że wagonów jest cztery. Kilkudziesięciu podróżnych opuściło pociąg.

Olsson wsiadł do ostatniego wagonu. Obite zielonym materiałem ławki były bardzo niewygodne. Zupełnie uniemożliwiały oparcie się plecami. Olsson zjadł jabłko i rozejrzał się szukając śmietniczki. Nie było. Otworzył więc okno i wyrzucił ogryzek na tor.

Pasażerów było niewiele. W wagonie Olssona tylko jakaś starsza para. Mąż pieczołowicie zdjął szarą popelinową

marynarkę. Szukał wieszaka. Lecz zarząd kolei w swej wszechwiedzy jakoś o nich nie pomyślał. Westchnąwszy położył marynarkę na półce.

Olsson postawił torbę z pieniędzmi między nogami. Była to brązowa torba z suwakiem. W torbie znajdowało się pół miliona koron w dziesiątkach, pięćdziesiątkach i setkach.

Dostał torbę od Sundelina tuż przez wyjazd. Otworzył zamek błyskawiczny i stwierdził, że jest wypełniona starannie ułożonymi paczkami banknotów.

- Jest chyba całe pół miliona?

- Oczywiście - zapewnił Sundelin. - Nie przypuszczasz chyba, że wpadłoby mi do głowy szachrować w takiej sprawie.

Olsson świadomie zwlekał z odpowiedzią.

- No oczywiście, że nie - powiedział w końcu. - Chcę tylko mieć pewność, że wszystko się uda.

- Musi się udać. Nie pojmuję tylko, w jaki sposób otrzymamy informację o sposobie uwolnienia dziewcząt.

- Trzeba czekać - stwierdził Olsson.

A teraz siedział w pociągu. Miał na sobie dzinsy i wyrzucaną na wierzch koszulę. Był bez broni.

Pociąg podjeżdżał do Karlberg. Starsi państwo siedzący naprzeciw Olssona rozmawiali o porwaniu.

- Na pewno obie nie żyją - powiedziała żona.

- E, naprawdę tak myślisz?

- Jestem pewna. Komuniści zdolni są do wszystkiego.

- Są i bardzo przyzwoici komuniści - zaoponował mąż.

- Znasz Hanssona. Komunista, a nic mu przecież nie można zarzucić.

- Nie o takich komunistach myślę - sarknęła żona. - Mam na myśli tych z KMML.

Słońce niemiłosiernie świeciło wprost w oczy. - Olsson

rozejrzał się tym razem w poszukiwaniu rolet, ale i to raczej potraktowano widocznie jako zbędny luksus. Olsson wziął torbę i przeniósł się na przeciwległe miejsce.

- I za łagodnie z nimi postępują - podjęła rozmowę starsza pani. - Na przykład ten Fors. Morderca, a przecież uniknie kary.

- To chyba wystarczająca kara, że będzie musiał mieszkać w Albanii.

Pociąg zatrzymał się na stacji Ulriksdal. Po prawej stronie widać było ruiny toru wyścigowego. W odległości paruset metrów kilka koni pasło się zupełnie spokojnie. Autostradą E-4 sunął strumień samochodów.

Dojechał do Helenalund. Strome usypiska żwiru opadały ku torom. Rósł tam dziki łubin we wszystkich kolorach tęczy. Starsi państwo wysiedli. Olsson został sam w wagonie.

Na następnej ja wysiadam, pomyślał.

Pociąg był w Sollentunie tuż przed trzecią. Olsson sprawdził na rozkładzie jazdy, że pociąg z przeciwnej strony przyjeżdża dopiero o 15.21. Czasu miał dość.

Wyszedł przez obrotową barierę i schodami w dół, potem przejściem w prawo wydostał się na stację. Kupił „Express”. „Czy dziś będą wolne?”, widniało na pierwszej stronie pod podobiznami Krystyny i Anniki.

Olsson powrócił tą samą drogą, znowu zapłacił 2.20. Usiadł na ławce i wyjął notesik. Zapisał wydaną kwotę. Zawse notował wydatki, by mieć podstawę do zwrotu kosztów.

Dla pewności raz jeszcze przeczytał ostatni list szantażyistów. Pierwszy wagon. Wyliczył sobie, gdzie mniej więcej może się zatrzymać pierwszy wagon, i przeniósł się na inną ławkę.

Na peronie było niewiele osób. Paru lekko zalanych

młokosów udających się do miasta na wieczorne ćwiczenia, kilka rodzin, jakiś mężczyzna w wiatrówce, dwie młode pary.

Olsson czytał gazetę. Spoglądał na zegarek. Jeszcze pięć minut. W gazecie nie było nic godnego uwagi, wrzucił ją więc do stojącego obok kosza.

Wstał, oburącz mocno trzymając torbę. Szyny dzwoniły lekko. Pociąg się zbliżał.

Ale to nie był wahadłowy, tylko pośpieszny z północy, pędem minął stację rozdmuchując papiery i śmieli po peronie. Jakieś dziecko krzyknęło głośno i przenikliwie.

- Nie powinien mijać stacji w takim tempie - oburzyła się matka.

- Cóż za cholerny bałagan - rzekł ojciec łyskając groźnie za od dawna już niewidocznym pociągiem.

Nadjechał jednak i wahadłowy. Olsson przeprowadził go wzrokiem. Pociąg zahamował, stanął. A więc teraz.

Dobrze sobie wszystko wyliczył. Pierwszy wagon zatrzymał się przed nim. Pospieszył do przednich drzwi, zajrzał.

Na platformie dla stojących było pusto. Na ławkach siedziało pojedynczo parę osób. Żadna z nich nie wyglądała na umiającego skutecznie działać szantażystę.

- Uwaga - drzwi się zamykają - ogłosił megafon.

Drzwi zsunęły się, a Olsson został z brązową torbą zawierającą pół miliona w gotówce. Westchnął. Wrócił na ławkę.

Co teraz robić? Po krótkiej chwili zdecydował, że zaczeka na następny pociąg, choć bez większych nadziei. Widocznie porywacze w ostatnim momencie rozmyślili się.

Zbyttno zaskoczony nie był. Prawdę mówiąc obawiał się takiego rozwoju wypadków, tylko odpędzał tę myśl. Cóż to

będzie za wstrząs dla Sundelina, który takie nadzieje wiązał z dzisiejszym dniem. Olsson już z przerażeniem myślał, że trzeba do premiera zadzwonić, powiedzieć, że wszystko na nic.

Wyciągnął z kosza wyrzuconą gazetę i od deski do deski przeczytał relację o zamordowaniu Ing-Marie. Tytuł brzmiał „Śmierć modelki”. Zamordowana dziewczyna - jak pisano - była piękna i pełna radości życia.

„Być może jednak zbyt wiele wiedziała o szarej rzeczywistości kryjącej się za piękną fasadą” - pisał reporter, by wdać się w zawile rozważania o bezwzględności podziemnego świata.

Olsson znowu wyjął notes, w którym był rozkład jazdy, i przejrzał tabelę przyjazdów pociągu z Mårsty do Sollentuny. Jeżeli się nie mylę, następny będzie o 15.57.

Ktoś usiadł obok niego. Oderwał oczy od gazety i zobaczył, że to ten mężczyzna w wiatrówce. Miał krótko ostrzyżone, trochę szpakowate włosy. Bawił się pękiem kluczy.

- Dzień dobry - powiedział miękkiem głosem. - Wydaje mi się, że mamy wspólnego znajomego. Nazywa się Sundelin, prawda?

Odjazd

W tym samym mniej więcej czasie, gdy Bosse nawiązał kontakt z Olssonem, Jens Fors pod silną eskortą policji jechał na Arlandę. Dostał nowe ubranie i wyglądał schludnie, jeśli nie brać pod uwagę brody, jak zwykle zmierzwionej.

Siedział z tyłu między dwoma pracownikami tajnej policji, którzy mieli mu towarzyszyć do Tirany. W poprzedzającym ich samochodzie jechał szef policji, który uparł się, że sam przeprowadzi całą operację. Fors siedział milcząc, z

zamkniętymi oczami. Cały orszak wozów jechał z dużą szybkością ku Arlandzie, gdzie na znakomitego podróżnika czekał pokaźny zastęp prasy, radia i telewizji. Między reporterami krążyła całkowicie niedorzeczna wieść, że Forsowi pozwolą na konferencję prasową w salonie specjalnym.

Dwaj policjanci mieli odlecieć z Forsem do Tirany, przemocować tam i wracać do Szwecji. Specjalnie zachwyceni tym zadaniem nie byli.

- Po co u licha akurat do Albanii? - spytał jeden.
- To nie ja decyduję - z godnością powiedział Fors.
- A w takim razie kto?
- Tego nie zdradzę.
- Mniejsza z tym.

W samochodzie zapanowało milczenie. Forsowi najwyraźniej nie podobała się obojętność policjantów. Zaczął trzeć skronie, poruszał przy tym wargami. Trwało to parę minut, samochód przemknął właśnie koło domu towarowego w Rotebro.

- Tylko nie odwracajcie kota ogonem - powiedział nagle. - Zwykły podstęp tajniaków. A tak naprawdę to okropnie jesteście ciekawi, skąd przyjmuję rozkazy.

- A pewnie - przyjaźnie powiedział drugi policjant.

I ta odpowiedź nie zadowoliła Forsa, znowu jak ślimak ukrył się w skorupie. Udało mu się wytrzymać aż do tablicy z napisem „Arlanda 17 km”. Wtedy znowu zabrał głos.

- Podlegam bezpośrednio Mao - oznajmił dumnie.

Z początku policjanci roześmieli się. Potem spojrzeli na grobowo poważnego Forsa i popatrzyli na siebie.

- Aha - powiedział jeden. - To nieźle.

Fors uśmiechnął się. Ruda broda zalsniła w słońcu.

- Tego się nie spodziewaliście - powiedział.
- Rzeczywiście nie.

- Miałem bezpośrednią linię od przewodniczącego Mao do mojej celi. Ten wyjazd do Albanii to tylko manewr maskujący. Z Tirany pojedę do Pekinu.

Policjanci raz jeszcze wymienili spojrzenia. Zrozumieli, że mają do czynienia z człowiekiem, który całkowicie stracił kontakt z rzeczywistością.

- Mogę posłużyć się radiem? - zapytał jeden z agentów kierowcy.

Połączyli się z wozem komendanta policji.

- Proszę o rozmowę po przybyciu na Arlandę. W ważnej sprawie.

- Zgoda - zabrzmiała krótka odpowiedź.

Objechali lotnisko boczną drogą, paru fotografów przewidziało to i byli świadkami przybycia. Natychmiast podjechali do gotowego do startu wielkiego samolotu wojskowego.

Wszyscy wysiedli.

- Polecicie tym samolotem - powiedział komendant. - Biorąc pod uwagę różne możliwości zmieniliśmy plan i wybraliśmy Herkulesa. Uniknie się przesiadek, polecicie bezpośrednio do Tirany.

Tu szef zauważył tajniaka tuż przed sobą i uśmiechnął się zachęcająco.

- Czy pan chciał ze mną mówić?

- Tak.

- I o cóż chodzi?

- Zdaje się, że Fors zwariował.

- Co pan przez to rozumie? - z lekką irytacją spytał komendant.

- W drodze opowiadał nam, że w celi miał linię łączącą go bezpośrednio z Mao.

Komendant szybko podszedł do Forsa, który miał minę triumfatora.

- Co to za głupie pomysły, Fors? Proszę nie myśleć, że możecie się teraz wycofać.
- Ja się nie wycofuję.
- Więc zamierzasz lecieć?
- Oczywiście, to wyłącznie moja sprawa, że z Tirany od razu udam się do Pekinu-
- Nic nam o tym nie wiadomo - powiedział komendant.
- A skąd moglibyście wiedzieć? Dostaję rozkazy bezpośrednio od przewodniczącego Mao bez żadnych pośredników. A pan sobie wyobraża, że on miałby się naradzać z komendantem szwedzkiej policji?

Komendant wytrzeszczył oczy na Forsa, który wyglądał na człowieka spokojnego i zadowolonego.

- Ma pan rację - zwrócił się szef do tego, który prosił o rozmowę. - Rzeczywiście zdaje się, że mu się zupełnie klepki w głowie pomieszały.

- Więc co teraz zrobimy?
- Polecicie zgodnie z planem - rzekł komendant.
- A co tam będzie?
- To już sprawa Albańczyków. Trochę czasu upłynie, zanim się połapią, a jak się połapią, nie odeślą go nam, nie wypada, takich rzeczy się nie robi. A teraz załadujecie się, nim prasa tu zdąży.

Prasa już zdążyła. Wóz telewizyjny stał w lasku przy torze startowym i nakręcał całe widowisko. Oczywiście rozmowy odbywającej się na płycie nie mogli słyszeć.

Fors wszedł po schodach, w drzwiach odwrócił się i uniół rękę na pożegnanie, w taki sam opanowany i poprawny sposób, w jaki to robią głowy państwa i równorzędne im osobistości. Potem szybko wsiadł, zapiął pas, eskortujący zajęli miejsca obok niego.

Wnętrze dygotało od gwizdów i świstów. Załoga rozdzielała ochraniacze na uszy.

- To pudło nie ma izolacji dźwiękowej, jak się wznie-
siemy, będzie cholerny hałas.

- Postarajcie się wysłać telegram, jak go już przekaże-
cie - krzyknął komendant policji. - Wszystkiego najlepszego.

- Dobrze wam mówić - powiedział jeden z eskortują-
cych, lecz głos jego utonął w przeraźliwym grzmocie czterech
silników. Po paru minutach samolot ciężko i niezdarne -
niemal niechętnie - zaczął toczyć się po pasie startowym,
wciąż nabierając szybkości.

Równie niezręcznie wznosił się, kładąc się opornie na le-
we skrzydło, gdy wziął kurs na południe.

Trzej siedzący wewnątrz pasażerowie nie mieli możności
porozumiewania się. Mogli wykrzykiwać sobie wzajemnie do
ucha, ale normalna rozmowa nie była możliwa.

Ogłuszający hałas zdawał się wcale Forsowi nie przeszkad-
zać. Całkowicie odprężony gładził brodę, z uszczęśliwionym
wyrazem twarzy, jak ktoś, kto po długiej nieobecności wraca
do domu, do ukochanego powiernika.

Huk motorów nie przeszkadzał mu przecież w dyskusji z
wewnętrznyimi głosami. Takie drobnostki nie miały znacze-
nia, mógł ją dalej prowadzić. Głosy przenikały do jego uszu
przez ochroniacze przeciwdźwiękowe, które były właściwie
tylko dobrze ukrytymi słuchawkami. Niewtajemniczonym
trudno pojąć tego rodzaju drobne finezje.

W każdym razie Fors zadowolony był z reakcji policji na
ujawnienie jego właściwych powiązań. A najlepsze w tym
wszystkim, że nic już teraz nie mogli na to poradzić. Fors
rozkoszował się sytuacją, która wydawała mu się niezwykle
szczęśliwa. Przewodniczący Mao bywał czasami w bardzo
żartobliwym nastroju. Zdarzało się nawet, że wielki ten wódz
opowiadał kawały.

Język nigdy nie nastęczał trudności. Przewodniczący Mao świetnie mówił po angielsku i rozumiał po szwedzku. Znacznie to ułatwiało komunikowanie się z nim.

Policjanci kłęli swój los. Jeden z nich był widać człowiekiem przewidującym i przeczuł, że spotka ich wojskowy transport do Tirany, bo wyjął z teczki dwa piwa, jedno dał koledze, do drugiego sam się zabrał.

Tak więc siedzieli we trzech. Dwóch piło, a ten w środku rozmawiał z najpotężniejszym na całym świecie człowiekiem. Tamci nie mieli z kim rozmawiać.

Na ziemi komendant policji w tym czasie miał konferencję prasową w porcie lotniczym.

- Czy są szanse, że porwane dziewczęta zostaną teraz uwolnione? - spytał reporter TV robiący wrażenie wiecznie zdyszanego.

- Sądzę, że są teraz widoki na to i że cała sprawa bliska jest szczęśliwego rozwiązania - powiedział komendant uśmiechając się w sposób budzący ufność.

- Krążą wieści, że porywaczom również zezwoli się na wyjazd - podjął znowu telewizyjny idol.

- Co do tego nie mogę się wypowiadać.

- Czy to znaczy, że pertraktacje są w toku?

- Bez komentarzy.

Rzeczywiście nawiązano pewne kontakty z odpowiednimi krajami. Jednym z nich była Kuba, następnie Algieria i Albania. Wprawdzie porywacze wcale z podobnym żądaniem nie wystąpili, władze chciały być jednak przygotowane na wszelkie propozycje.

Bosse mógł być bardzo dumny ze swego planu, ale nie miał możliwości wkalkulowania w grę przypadkowych okoliczności.

Policjant na obchodzie

- Annika - powiedziała Krystyna.
- Czego znowu chcesz, już nie mam siły do twojego ciągłego gadania.

Krystyna wyglądała przez okno. Annika leżała na łóżku. Głowa ją bolała. Była zmęczona i przygnębiona.

- Annika - powtórzyła Krystyna.
- No, o co chodzi? - syknęła Annika.
- Na podwórzu stoi policjant.

Annika zerwała się. Prawda, stał tam policjant w czarnych spodniach i szarej koszuli, a przy nim kosmaty owczarek.

Annika zaczęła gwałtownie machać ręką, ale on wcale jej nie widział, ostrożnie zastukała w szybę, nie usłyszał. Spróbowały mocniej, jednak nie słyszał.

Zdecydowała się szybko. Wygra albo przegra. Ściągnęła koc z łóżka, owinęła nim rękę, wybiła szybę, odłamki szkła spadły w dół. Teraz policjant zareagował. Pies zaszczekał i sierść mu się zjeżyła. Policjant powoli uniósł głowę, przesuwał wzrokiem po fasadzie domu. Zobaczył młodą dziewczynę i dziecko.

Spojrzał raz jeszcze. Nie, nie mylił się. Tam w górze stały dwie osoby, których poszukiwaniem cały kraj zajmował się od kilku dni.

- Chodź, Bett - powiedział do psa i wbiegł do bramy.
- Annika odwróciła się do Krystyny.
- Kochanie - szepnęła - kochanie, tylko teraz bądź dzielna. Musisz teraz mnie słuchać.
 - Dlaczego to zrobiłaś? - teatralnie głośnym szeptem zapytała Krystyna.
 - Bo chcę, żeby ten policjant zabrał cię do domu, do tatusia.

Annika nie miała odwagi spojrzeć na drzwi. Bosse ukazał się w nich przed niespełną półgodziną.

- Sprawa ruszyła - powiedział. - Muszę teraz jechać coś załatwić, a kolega się wami przez ten czas zajmie.

- Wypuście nas? - lękliwie spytała Annika.

- To zależy - powiedział ten, którego imienia wciąż nie znała.

- Ja już tego dłużej nie wytrzymam. Ani Krystyna.

- Musisz - odpowiedział swym dziwnie łagodnym głosem. - Jak dobrze pójdzie, dziś wieczorem będziecie w domu.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Po cóż mielibyśmy was zatrzymywać, jeżeli dostaniemy to, czego chcemy.

- A czego chcecie? Jensa Forsa?

- Taka głupia nie jesteś.

- A nie moglibyście chociaż jej wypuścić? Na niej może się to odbić w sposób nieodwracalny.

- Nie wydaje mi się - odparł spokojnie. - Z nią wszystko w porządku.

- Skąd pan może wiedzieć, co się w takim dziecku dzieje?

- No, może trochę.

- Pan ma rodzinę?

- Teraz już nie.

Kjell Karlsson był policjantem ambitnym. Szybko zorientował się, gdzie może być to mieszkanie. W niespełną pół minuty stanął pod drzwiami.

Trochę zdyszany, pies też dyszał. Policjant wyjął pistolet z kabury, spuścił psa ze smyczy.

Drzwi zbyt pancernie nie wyglądały. Odsunął się, na ile to było możliwe, uderzył w nie ramieniem. Drzwi ustąpiły i Karlsson wpadł do mieszkania jak pocisk, a pies tuż za nim.

Karlsson rzucił się na podłogę z pistoletem wymierzonym

do strażu. Ale w mieszkaniu panowała grobowa cisza. Żadnego dźwięku.

Czyżbym wszedł nie tam, gdzie trzeba, pomyślał.

Jednak tu gdzie trzeba. Usłyszał w głębi mieszkania cienki dziecienny głosik.

- Co to, Anniko?

Karlsson zlokalizował głosik. Przekręcił klucz i znalazł się w pokoju dziewcząt. Annice wydał się wysłannikiem niebios.

- Uwaga - powiedziała. - Jeden z nich tu jest.

- Dlaczego on trzyma ten drążek? - spytała Krystyna.

- Tu nie ma żywej duszy - powiedział Karlsson. - Schodzimy.

- Nie pytaj tyle, Krystyno. Wiem na pewno, że tu ktoś jest.

- Później sprawdzę. Teraz najważniejsze, żebyście były obie bezpieczne. Pospieszcie się.

Annika wzięła Krystynę na ręce. Pies szedł pierwszy, Karlsson ostatni. Annika rozejrzała się. Policjant miał rację. Ani żywego ducha. W kuchni pusto. Otwarte drzwi do pokoju z dwoma nie zaścienionymi łózkami. Tam też pusto.

Zbiegli ze schodów, Karlsson wciąż z pistoletem w ręce.

Annika odczuła nie dającą się opisać ulgę.

- Jak to się stało, że pan tu wszedł? - spytała.

- Na obchodzie zawsze zagląda się do takich pustych domów czekających na rozbiórkę, żeby wylapać włóczęgów. Zupełny przypadek, że właśnie na to podwórko wszedłem.

Znaleźli się na ulicy. Stał tam policyjny mikrobusik volvo. Kierowca natychmiast rozpoznał, kto towarzyszy koledze. Sięgnął po nadajnik.

- Nie, Svenne, zaczekaj - powiedział Karlsson - tylu ludzi słucha radia. Daj mnie.

Włączywszy mikrofon, zgłosił, że za parę minut będzie w wydziale kryminalnym z dwoma zatrzymanymi. I udał, że nie słyszy gniewnego żądania centrali, by podał bliższe szczegóły.

W chwilę później Karlsson i jego towarzyszy w triumfalnym pochodzie wkroczyli do kryminalnego. Annika czuła dziwny ucisk w piersi. Stała otoczona kręgiem policjantów, którzy wpatrywali się w nią bez słowa.

- Czy mogę skorzystać z telefonu? - spytała.

- Oczywiście, panno Bogren - jeden z otaczających wskazał jej aparat. - Proszę nakręcić zero, otrzyma pani połączenie.

Annika zadzwoniła do domu, premier sam przyjął telefon.

- Tu Annika - powiedziała - Krystyna i ja jesteśmy na policji.

- Czy to prawda? - szepnął.

- Prawda.

- Poproś, żeby was tu przywieźli. Krystyna tam jest?

- Tak. Chodź tu, Krystyno. To tatuś.

- To ty, moja maleńka?

Krystyna stała cichutko, słuchając głosu ojca. W końcu odezwała się:

- A ja widziałam konie.

- Co ty powiesz?

Annika wzięła słuchawkę.

- Zaraz przyjedziemy.

W biurze policji zapanował zupełny rozgardiasz. Wieść rozprzestrzeniła się z błyskawiczną szybkością i coraz większy tłum policjantów otaczał odnalezione. Wszyscy podnieceni, wszyscy jednocześnie mówiący.

- A on sobie najspokojniej przyszedł z nimi - powiedział

któryś wskazując Karlssona, który tkwił w środku całego zamieszania.

Jakiś mężczyzna, najwidoczniej wysokiej rangi, torował sobie drogę wśród tłumu, który zaraz zaczął się zmniejszać.

- Intendent Bengtsson - przedstawił się. - Musicie być zupełnie wyczerpane. Dopilnuję, żeby was zaraz odwieziono.

Wydał kilka rozkazów i wkrótce Annika i Krystyna znalazły się - pod silną eskortą - w drodze do Stureby. Sam intendent Bengtsson im towarzyszył.

- Pierwszorzędnie załatwione - powiedział do siedzącego na przednim miejscu kolegi w cywilu. - Fors przed chwilą właśnie opuścił Arlandę.

Potem zwrócił się do Anniki.

- Rozumie pani, że będziemy chcieli panią przesłuchać. Ale najważniejsze, że nie jesteście już w niebezpieczeństwie. Przesłuchanie można odłożyć do jutra.

- Bardzo będę wdzięczna - powiedziała Annika. - Czuję się rzeczywiście trochę zmęczona.

Krystyna w przeciwieństwie do Anniki była ożywiona i żwawa jak rybka. Cały czas paplała, wyglądając przez okno i zawiadamiając, co widzi.

- A gdzie może być ta miła Świnka? - spytała nagle.

- Nie wiem - z roztargnieniem odpowiedziała Annika. - Może poszła się bawić.

- Dzieci są nadzwyczajne - powiedział Bengtsson. - Ty le przeszła, a mówi o zabawkach.

Dojechali, Sundelin czekał przed domem. Podniósł Krystynę i długo tulił ją do piersi. Miał łzy w oczach. Annika przyglądała się swemu pracodawcy, znała go dobrze. Ciężko go to szarpnęło, myślała. Wygląda oczywiście na uradowanego, ale wciąż jeszcze jest niespokojny. I nie ma się czemu dziwić.

Początek końca

Bosse i Arne siedzieli w kuchni. Mieszkanie było wysokie, pod sufitem kręciło się kilka muszek. Krążyły chaotycznie, aż jedna wpadła w sieć pająka. Pająk natychmiast wyrzwał z kryjówki, schwycił i wykończył swą ofiarę.

Na stole stały resztki śniadania. Obaj zjedli siekanekę kartoflano-mięsną z puszek. Arne zapalił. Zmęczenie ścisnęło mu głowę jak imadło. Wciąż wracała ta sama myśl i tłukła się w mózgu. Wkrótce się to skończy, wkrótce się to skończy.

Bosse z nieobecny spojrzeniem dłużył w zębach. To znów zaciskał i otwierał wielkie dłonie. Jeszcze tylko kilka godzin i pieniądze będą jego. A potem? Żadnych problemów. Jak się ma pieniądze, reszta da się załatwić. Za pieniądze wszystko można kupić - nawet wolność.

Wiele jednak jeszcze zostało do zrobienia. Bosse na sekundę zamknął oczy, a gdy je otworzył, błysnęła w nich stal.

- Zdumiewasz mnie, Arne - powiedział.

Tamten wolno odwrócił głowę. Jak gdyby zużywał na ten ruch ostatnią uncję energii.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Wiesz dobrze.

Głos Bossego był spokojny, a jednocześnie pełen rezygnacji, jakby smutny. Arne nie odpowiedział. Tępo patrzył przed siebie. Zdawał się być u kresu wytrzymałości, a na brzegu załamania.

- Nie uwierzyłem ci, kiedy powiedziałeś, że pozbawiłeś ją życia - ciągnął dalej spokojny i smutny głos. - Nie mogłem sobie wyobrazić, że twoje nerwy to wytrzymały.

- Wcale tego nie zrobiłem - wy dobył z siebie Arne.

- Nie. A więc dlaczego tak powiedziałeś?

W odpowiedzi Arne wzruszył ramionami. Nie mógł zdobyć się na tłumaczenie. I nie miało to już żadnego znaczenia.

- Ty i Ing-Marie postanowiliście iść do policji.

To nie było pytanie. Bosse stwierdzał coś, co nie wymagało poświadczenia.

- I naprawdę przypuszczałeś, że to się może udać? Znasz mnie chyba na tyle, żeby wiedzieć, że zupełnym matolem nie jestem.

Wciąż żadnej reakcji ze strony Arnego. Siedział ciężko oddychając. Osobliwe, lecz odczuwał ulgę.

- Łatwo ją było znaleźć - ciągnął Bosse. - Wystarczyło obdzwonić hotele w city. Masz fantazję. A na lepszy pomysł nie mogłeś wpaść?

Arne spojrzał na niego.

- Myślałem, że się na to weźmiesz - powiedział ledwie dosłyszalnym głosem.

- Niezręczność. Straszliwa niezręczność.

W wielkiej kuchni znowu zapanowała cisza. Bosse wsunął rękę do kieszeni i zaraz ją wyjął.

- Widziałem cię - powiedział.

- Gdzie mnie widziałeś? - Arne usiłował zachować obojętność.

- Kiedy stamtąd wychodziłeś. Siedziałem w kawiarence na Master Samuelsgatan.

- To żaden dowód.

- Niepotrzebne mi dowody. Ja wiem. Widziałeś, kiedy stamtąd wychodziłem, prawda? I dlaczegoś to zrobił, Arne?

Żadnej odpowiedzi. Tylko niechętny wyraz twarzy jak u małego dziecka, gdy je strofują. Bosse przyglądał mu się długo i badawczo. Otarł czoło wierzchem dłoni.

- Myślę, po prostu, że byłeś zazdrosny.

Oczy Aniego odzyskały wreszcie życie.

- Zazdrosny - powtórzył. - Ja miałbym być zazdrosny o zwykłą dziwkę, kiedy świat pełen jest kobiet.

Bosse uśmiechnął się.

- Byłeś zazdrosny - stwierdził.

- A ja ci mówię, że nie - powiedział Arne podniesionym głosem. - Czy nie słyszysz, co mówię?

- Owszem. Uspokój się. Wiesz, że to ja mam rację.

Na chwilę zapanowała cisza. Siedzieli nie patrząc na siebie. W odległości metra jeden od drugiego, a jednak niezmierznie daleko.

- Czy broniła się? - spytał Bosse.

- Nie, prawie wcale.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Wściekłem się.

Arne wspomniał pokój hotelowy i Ing-Marie, która śmiała się z niego, gdy żądał, by się przyznała, że poszła z Bossem do łóżka.

- A jakie to ma znaczenie - powiedziała - przecież dzień w dzień nic innego nie robię, tylko idę do łóżka z różnymi chłopami.

- To co innego - powiedział i poczuł, że gniew uderza mu do głowy i kipi w skroniach..

Podszedł i strach w jej oczach zobaczył dopiero, kiedy zaciskał palce na jej szyi.

Ale tylko na krótką chwilę, musiał zahamować dopływ krwi do mózgu, bo natychmiast prawie straciła przytomność. Chwytał jej pończochę i zawiązał na szyi. Kopała, ale to były nieświadome odruchy.

- To twoja wina - powiedział Arne. - Co tobie do niej.

Głos mu drżał i wyraźnie bliski był łez. Czuł się do głębi zraniony. Bosse zachował się oburzająco niekoleżeńsko. Udało mu się stłumić myśl o Ing-Marie. Została tylko bezrozumna nienawiść do Bossego.

Wstał z zaciśniętymi ustami. Marynarka wisiała na oparciu krzesła w ich pokoju. Ciężar pistoletu w kieszeni dodał uczucia pewności.

Szybko ułożył plan. Nietrudno będzie upozorować samobójstwo. A potem łatwo zrzucić całą winę na Bossego. Policja od razu w to uwierzy. Ta przeklęta dziewczyna może mu towarzyszyć na tamten świat. Dotknął nosa, zabolalo.

Wszedł do kuchni z ręką w kieszeni. Bosse zwrócił się w jego stronę. Arne wyciągnął pistolet, wymierzył i strzelił.

- Wyjąłem rano naboje z magazynku - powiedział Bosse, gdy spust szczęknął i nic się poza tym nie stało.

Arne opuścił rękę z nieprzydatną bronią. Czuł, że teraz poniósł ostateczną klęskę. Pistolet wysunął mu się z dłoni, upadł na podłogę. Ciężkim krokiem, powłócząc nogami podszedł do stołu. Usiadł i pochylił głowę.

Teraz Bosse wstał. Teraz on trzymał rękę w kieszeni. Parę kroków i znalazł się za Arnem, który stracił poczucie czasu i miejsca.

- Arne - powiedział.

Arne z wysiłkiem podniósł głowę. Cienka, giętka pętla osunęła się na jego szyję i zacisnęła.

W chwilę później Bosse dźwignął bezwładne ciało Arnego i zawlókł je do schowka. Umocował rzemień do wywietrznika, przyniósł stołek, przewrócił go na podłogę.

Najcięższa praca pozostała jeszcze do wykonania, lecz wkrótce Arne wisiał, nogami nie dotykając podłogi. Bosse pocił się strasznie i ani razu nie spojrzął w górę na tę bryłę mięsa, która przed chwilą była człowiekiem.

Skończywszy, szybko zamknął drzwi schowka. Wyjął z szafki w kuchni butelkę wódki, pociągnął duży łyk.

Chwilę spoglądał w okna. Wciąż jeszcze dyszał. Czuł, że

mokra koszula lepi się do pleców. Spodnie też były mokre, nie od potu.

Wreszcie ciało zaczęło normalnie funkcjonować. Szybko przebrał się, podniósł z podłogi pistolet, wsunął za pasek.

Raz jeszcze wrócił do butelki. Z odrobiną zniecierpliwienia stwierdził, że kręci mu się w głowie. Zamknął oczy i przeczekał pierwsze zamroczenie.

Włożył wiatrówkę i przeszedł przez przedpokój do pokoju dziewcząt. Przekręcił klucz, Annika i Krystyna siedziały na łóżku.

- Ruszyło - powiedział Bosse. - Kolega się wami zajmie, ja muszę załatwić pewną sprawę.

- Nie chcę zostać z nim sama - powiedziała Annika.

- Nie ma innego sposobu. Proszę się nie niepokoić. Nie widzę powodu. On już żadnego głupstwa nie robi.

Na zewnątrz był taki jak zawsze, lecz przychodziło mu to z największym trudem, wymagało przerażającego wysiłku.

- Jak wszystko zaskoczy, będziesz dziś wieczorem w domu.

- Nie wierzę.

- Rozumiem - powiedział i zamknął drzwi.

Zaciągnął zamek błyskawiczny wiatrówki i wyszedł z mieszkania. Pędem zbiegł ze schodów. Świeciło słońce. Po deszczowym ranku zrobiła się pogoda.

Szybkim krokiem ruszył w kierunku Centralnego, wsiadł w pierwszy pociąg wahałkowy w kierunku północnym. Przez całą drogę siedział nieruchomo, patrząc w okno. Wsiadłszy poczuł irytację, że nie pamięta nic z tego, co widział.

Został na peronie. Widział, jak wjechał pociąg wiozący Jana Olssona. Intuicyjnie poczuł, że to jest człowiek z pieniędzmi. Obserwował go ukradkiem, coś mu podszeptęło, że Olsson jest policjantem.

Wprawdzie ten młody człowiek w dżinsach nie wyglądał na policjanta, a jednak w Bossem odezwał się sygnał ostrzegawczy.

Człowiek ten opuścił peron i przez chwilę Bosse myślał, że się jednak pomylił. Gdy Olsson wrócił, znowu nabrał pewności. Pieniądże były pewnie w tej brązowej torbie.

Nadjechał pociąg z północy i Bosse rozweselony obserwował, jak Olsson ustawił się przed pierwszym wagonem. A potem speszony usiadł na ławce. Bosse chwilę odczekał, potem usiadł obok.

- Dzień dobry - powiedział. - Wydaje mi się, że mamy wspólnego znajomego. Nazywa się chyba Sundelin.

Peron

- Zgadza się - powiedział Olsson i spojrzął na siedzącego obok.

Olsson miał dobrą pamięć wzrokową, od razu zapamiętywał wygląd zewnętrzny każdego. Zobaczył grubo ciosaną twarz, szarozielone oczy, krótko ostrzyżone włosy i szybki uśmiech odsłaniający białe zęby.

- Mam nadzieję, że pieniądze masz przy sobie - powiedział Bosse.

- Przecież dlatego tu jestem.

- Mogę je więc wziąć.

- No, nie tak od razu. Muszę mieć jakieś gwarancje, że dziewczęta zostaną uwolnione.

Bosse utwierdził się w podejrzeniu, że ma do czynienia z policjantem - i to bezczelnym policjantem.

- Możesz polegać na moim słowie.

- Nie chcę się wypowiadać co do wiarygodności twego słowa, ale potrzebuję trochę lepszych gwarancji. Gdzie one są?

Bosse bliski był powiedzenia „w mieście”, ale powstrzymał się.

- W dobrej kryjówce - zapewnił.

- Nie mamy nawet pewności, że żyją - powiedział Olsson, który w tym właśnie momencie zauważył, że Bosse ma pistolet pod wiatrówką.

Przez chwilę pożałował, że on sam jest nie uzbrojony. Natychmiast jednak odpędził tę myśl. Na co się zda zmartwie nie. Co się stało, to się stało.

- Wydaje mi się, że nie masz innego wyboru, tylko mi zaufać.

Teraz w głosie Bossego zabrzmiała ostrzejsza nutka. Olsson uchwycił tę drobną zmianę. Lepiej nie napierać. Jest widocznie zdenerwowany, pomyślał. Ale nie mogę przecież po prostu dać mu pieniędzy i iść sobie.

- Rozumiem oczywiście twój punkt widzenia - powiedział - ale spróbuj i ty mnie zrozumieć. Mam polecenie Sundelina, by przekazać ci pieniądze, ale dopiero kiedy będzie zupełnie pewne, że dziewczęta żyją.

- Jesteś policjantem, prawda?

- Tak, ale to nie ma nic wspólnego z tą sprawą. Nikt prócz Sundelina nie wie, że tu jestem.

- Skąd mogę mieć pewność?

- A skąd ja mogę mieć pewność, że Krystyna żyje?

Pistolet wciąż go niepokoił. Jeżeli jest tylko wsunięty i nie umocowany, istnieje możliwość. Postanowił zaryzykować. Niebezpieczeństwo duże, może się jednak uda.

Schylił się udając, że zawiązuje sznurowadło. Tamten siedział tak blisko, że ocierali się o siebie. Olsson wyprostował się, błyskawiczny ruch ręką i był w posiadaniu pistoletu. Bosse ani drgnął.

Nigdy nie czuję się pewnie w towarzystwie ludzi, którzy mają broń - powiedział Olsson.

Bosse wbrew woli odczuł podziw. Sprytny chłopak. Szkoda, że to policjant. I uparty. Przyznawał słuszość jego rozumowaniu. Spodziewał się wprawdzie, że otrzyma pieniądze od razu, ale przewidywał i możliwość takiego właśnie rozwoju sytuacji.

- Chciałbym zobaczyć, czy w torbie rzeczywiście są pieniądze - powiedział.

- Proszę bardzo - odpowiedział Olsson.

Rozsunął zamek błyskawiczny i pozwolił zajrzeć do wnętrza.

- Wygląda, że wszystko w porządku - powiedział Bosse.

- Nie tylko wygląda, jest w porządku. Nie mamy powodu do bluffowania. Premier chce odzyskać córkę. To wszystko.

- Niezupełnie - uśmiechnął się Bosse. - Chce też pewnie ochronić swe dobre imię i opinię.

- Nie rozumiem - powiedział Olsson robiąc zdziwioną minę.

- My dwaj nie musimy udawać. Równie dobrze jak ja wiesz, że tymi pieniędzmi chętnie by się zajął Urząd Podatkowy.

- Jak to wyniuchałeś?

- Przypadek. Ktoś za wiele mówił.

Ma kontakty w bankach, pomyślał Olsson. Pewnie jakaś dziewczyna.

- Chyba kobieta - powiedział.

- Nic się nie da ze mnie wyciągnąć. Nie warto próbować.

- A skąd pewność, że nie będziesz w dalszym ciągu szantażować Sundelina? - spytał Olsson.

- Trzeba pogodzić się z tą możliwością - brzmiała odpowiedź. - Sam się wpakował w tę sytuację.

- To groźba?
 - Nie. Stwierdzam tylko fakt.
- Bosse przyglądał się Olssonowi.
- Teraz poznaję cię - powiedział.
 - Czyżby?

- Widziałem cię w TV z Sundelinem któregoś wieczoru.

- I co z tego?
- Jesteś z Sapo.

Olsson wzruszył ramionami. Nie jest to głupi człowiek. Inteligentny, bystry. Ale wciąż zdenerwowany. Na pozór spokojny, zdradzają go jednak krople potu na twarzy, drganie powieki. Może to być oczywiście zmęczenie.

- Ilu was jest? - spytał Olsson, próbując taktyki zaskoczenia.

Bosse już otworzył usta, ale powstrzymał się od odpowiedzi. Dwie młode dziewczyny stanęły tuż przed nimi. Miały aparat tranzystorowy, dudniła w nim pop-muzyka.

- O rety, ale dobry - powiedziała jedna.

Ma prawdopodobnie na myśli pieśniarza, pomyślał Olsson.

- Nic nie zdradzę - powiedział Bosse. - Nie uda się wydobyc ze mnie żadnych wiadomości.

- No więc nie. Co robimy? Mamy jechać razem do miasta, czy jak?

- A kto mówił, że jeżeli mielibyśmy jechać, to do miasta. Ja w każdym razie nie.

- To się zdaje najprawdopodobniejsze.
- Dlaczego?

Olsson nie potrafiłby na to odpowiedzieć. Tak mu się wydawało. Chociaż tamten miał rację. Idealna kryjówka mogła się znajdować raczej nie w mieście.

- Żądasz więc dowodu, że dziewczęta żyją, zanim do-
ręczysz pieniądze - powiedział Bosse.

- Tak.

- Więc muszę się dostosować, nie ma rady. Możesz je-
chać ze mną do miasta.

- Ach, więc jednak tam są.

- Najbliższym pociągiem, zaraz nadjedzie.

Chwilę siedzieli w milczeniu. Bosse intensywnie myślał,
jak przekonać tamtego, że dziewczęta żyją. Może list. To
byłoby najlepsze, że też nie pomyślał o tym, zanim tu przyje-
chał.

Tranzystor dziewcząt wciąż hałasował. Nagle muzyka się
urwała i dobrze brzmiący głos powiedział:

- Teraz nastąpi krótka przerwa w programie, redakcja
najnowszych wiadomości nada komunikat nadzwyczajny.

Po krótkim milczeniu odezwał się znany głos lektora no-
wości. Odchrząknął jak zwykle i zaczął:

- Krystyna Sundelin i Annika Bogren zostały odnalezio-
ne. Stan ich zdrowia jest zadowalający. Wiadomość tę
policja sztokholmska podała przed paru minutami. Bliższe
szczegóły będziemy podawać w miarę napływu.

Olsson i Bosse spojrzeli na siebie. Twarz Bossego wydała
się nagle stara. Olsson przerwał milczenie:

- To zmienia nieco postać rzeczy.

Lecz Bosse się nie poddał. Komunikat nim wstrząsnął, ale
wciąż jeszcze miał w ręku atutową kartę.

- Nie sądzę - powiedział. - To tylko dowód, że mówi-
łem prawdę, dziewczętom nic złego się nie stało. Nic teraz nie
stoi na przeszkodzie, żebym dostał pieniądze.

- Zapominasz o tym, że już nie posiadasz narzędzia
szantażu.

- Tego bym nie powiedział. Wiem, że premier popełnił
przestępstwo podatkowe.

- To nie jest chyba warte pół miliona.
- Tak - spokojnie powiedział Bosse. - Mógłbym zażądać więcej, ale nie chciałbym go tak zupełnie obedrzeć.
- A nie obawiasz się, że - jeżeli jestem, jak sądzisz, policjantem - mogę cię zatrzymać.
- Masz powody, żeby tego nie zrobić. Sam przecież powiedziałeś: nikt nie wie, że tu jesteś. Nic jednak nie zyskamy siedząc tu i gadając. Dostanę pieniądze czy nie?

Olsson przez moment rozważał wszystkie za i przeciw. Doszedł do wniosku, że nie ma się co przeciwstawiać. Tamten ma rację. Dziewczęta są wprawdzie wolne, ale istnieje ktoś, kto wie o oszustwie podatkowym premiera. Jeszcze spróbował:

- Nie przypuszczam, żebyście mieli dowody na to, że Sundelin wywiózł pieniądze.
- A co to jest? - spytał Bosse wskazując na torbę.
- Zgadzam się, że pieniądze mają pewną wartość dowodową, ale wy się tym dowodem nie posłużycie. Za duże ryzyko, prawda?

- Owszem, ryzyko, ale i dla Sundelina nie mniejsze.

Szyny zadzwoniły.

- Pociąg nadjeżdża - powiedział Bosse. - Proszę dać mi torbę. Już się zorientowałeś, że nic innego do wyboru nie masz.

Jednocześnie niemal wstali i zeszli na brzeg peronu. Olsson postawił torbę, Bosse schylił się, by ją wziąć. W tej chwili z szybkością ponad stu kilometrów na godzinę wpadł pociąg pośpieszny. Wydawało się, że ledwie dotknął głowy Bossego, ale odrzuciło go ze cztery metry w głąb peronu.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by dojrzeć, że już żadna pomoc mu nie potrzebna. Głowa była strzaskana. Dziewczęta

z tranzystorem krzyczały. Łomot pospiesznego pociągu jeszcze było słychać.

Olsson wziął torbę i spokojnym krokiem ruszył do wyjścia.

- Zdarzył się wypadek - powiedział do strażnika. - Chyba śmiertelny. Ten pospieszny, który przeleciał, kogoś potrącił.

- Cholera - powiedział strażnik i zamknął budkę, potem unieruchomił obrotową barierę i pobiegł na peron.

Olsson odszedł. Miał szczęście. Taksówka była pod dworcem.

- Do miasta - powiedział.

Koniec

Zgodnie z wcześniej powziętym ogólnie postanowieniem policja nie zadawała sobie zbytniego trudu z prowadzeniem śledztwa. Zresztą nie było to potrzebne.

Wszystko się wyjaśniło. Nerwy Arnego Risefelta nie wytrzymały napięcia. Trudno to było udowodnić, ale wszystko przemawiało za tym, że najpierw zamordował swą narzeczoną, a potem odebrał sobie życie.

Annika Bogren wsparła tę wersję. W czasie przesłuchań, które rozpoczęły się w poniedziałek, potwierdziła, że sprawcami porwania byli Arne Risefelt i Ing-Marie Sandgren.

- A nie wydaje się pani, że mieli jakiegoś współnika? - spytał przesłuchujący.

- Mnie w każdym razie o tym nie wiadomo - powiedziała.

Wcale nietrudno było skłamać. A musiała: Sundelin i ten

młody miły człowiek z jego ochrony wytłumaczyli jej, że życie Krystyny i jej samej byłoby ustawicznie zagrożone, gdyby ujawniła tego trzeciego.

A ostatecznie niewielka to cena takie przemilczenie. Nie miała powodu, by się skarżyć. Podwyżka pensji i strumień propozycji tygodników, które gotowe były płacić, ile zechce, za wyłączność praw do jej historii.

W niedzielę późnym wieczorem nadszedł telegram do komendanta policji od eskorty Jensa Forsa.

Treść jego była następująca:

„PSEKASANE ZLATVIONE WSTKO WPRZĄDKU”.

Komendant szybko przeczytał ten tekst i zrozumiał: „Przekazanie załatwione, wszystko w porządku”.

Westchnął z ulgą, podszedł do barku i nalał sobie whisky.

Wspaniale, że już to mamy z głowy, pomyślał.

Tegoż wieczoru zaczęto przesłuchanie Jensa Forsa. Policja albańska postarała się o tłumacza znającego szwedzki. Fors był swobodny i pewny siebie.

- Nie zamierzam nikomu składać raportu - powiedział - tylko bezpośrednio przewodniczącemu Mao.

Tłumacz z początku był zmieszany. Potem postawił kilka pytań uzupełniających. Zwrócił się do ciemnowłosego urzędnika prowadzącego przesłuchanie. Zdał mu sprawę z wyników rozmowy. Następnie telefon.

Ta noc była dla Forsa pierwszą z nieskończonej ilości noc, jakie miał spędzić w albańskim szpitalu.

Zwłoki Bossego zidentyfikowano dopiero po miesiącu. Ktoś wpadł na pomysł, żeby sprawdzić w rejestrach kryminalnych. Dało wyniki.

Odciski palców Bossego figurowały tam od kilku lat. Ale kto by się tak bardzo troszczył o byłego kasjera, który nie oparł się chęci przywłaszczenia sobie pieniędzy pracodawcy i posiadział trochę.

Epilog

W kilka miesięcy później do wielkiego banku w city przyszedł młody człowiek. Rozejrzał się i skierował do działu akcji. Uprzejmie pozdrowił eleganckiego urzędnika za ladą.

- Czy mogę prosić o pomoc w umieszczeniu pieniędzy?
- powiedział.

- Oczywiście - brzmiała odpowiedź. - O jaką kwotę chodzi?

Jan Olsson zastanowił się. Trochę ukradzionych Sundelinowi pieniędzy już wydał. Zresztą, czy to była kradzież? To już nie były pieniądze premiera, bo on myślał, że dostał je trzeci z porywaczy.

Spis treści

Dziewczynka	5
Ojciec	7
Trio	15
Morderca	19
Powrót	24
Przestępstwo	29
Wychowawcy	34
Policjant	39
Arne	46
Hotel	51
Rozmowy	56
Långholmen	59
Ing-Marie	64
Bosse	68
Zaufanie	74
Bosse i Arne	81
Adwokat	86
Drugi list	90
Annika i Krystyna	95
Raija	99
Przeciek	103
Gustaw Enberg	108
Karlstad	114
W cztery oczy	119
Na wsi	124
Spotkanie	129
Czekać	135
Noc	140
Wiadomość	147
Stureby	153
Przenosiny	161
Sobota po południu	169

Sobota wieczór	174
Przesłuchanie	180
Morderca	188
Dialog	190
Niedziela przed południem	194
Dochodzenie	200
Pociąg	206
Odjazd	210
Policjant na obchodzie	216
Początek końca	221
Peron	226
Koniec	232
Epilog	234